tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 49 (1300)
2-8.12.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

NUMER 1300

Prof. Stefan Chwin
My, Polska endecko-ludowa cd.

Dr Jarosław Dobrzański
Gorbaczow a zjednoczenie Niemiec

Prof. Andrzej Romanowski
Historia wyniesiona z domu

Promocja, czyli pułapka na klienta

NAWROCKI W PAKIECIE KACZYŃSKIEGO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
49 >
9 771509 311409

SOS WIOSKI DZIECIĘCE
www.dziecisos.org
Dzieci, których rodzice zawiedli, wciąż wierzą w moc pierwszej gwiazdki.
Wpłać darowiznę i pomóż dzieciom na święta.
dziecisos

Jerzy Domański

Nie ma lewicy. Jest zysk

Im więcej pięknych słów o wartościach i prawach człowieka, tym cięższe jest życie wielu grup pracowników. Paradoks? Niekoniecznie. Powtarza się odwieczny cykl. Wygrywają bogatsi i sprytniejsi. Spójrzmy, jak rozbudowane i jak merytorycznie sprawne jest zaplecze pracujące na rzecz kapitału. By właścicielom żyło się lepiej, a załoga pracowała jak najwydajniej. Za najskromniejsze wynagrodzenie, jakie może zaakceptować. Myślę tu o filozofii postępowania w relacjach kapitał-praca, a nie o wysokości zarobków. Bo tam, gdzie stanowisko wymaga bardzo wysokich kwalifikacji, a konkurencja między firmami jest duża, te zarobki mogą być duże. A nawet bardzo duże. Tyle że wtedy dochody właścicieli są ogromne. Nieporównywalne z płacami tych, którzy te zyski wypracowują. W ostatnich dziesięcioleciach mało co tak się rozwinęło jak te dziedziny, których celem jest pomnażanie zysków najbogatszych ludzi globu. Dotyczy to nie tylko gospodarki i bezwzględnej konkurencji między koncernami, które za wszelką cenę chcą zająć pozycję monopolistyczną. I dyktować ceny na własne towary i usługi. Nie dlatego, że są one wyższej jakości i funkcjonują dłużej. Jest wręcz odwrotnie. Wie o tym każdy konsument towarów, które kończą swój żywot wraz z upływem gwarancji. I każdy, kto po reakcji swojego organizmu widzi, jak szkodliwe jest badziewie, które kupuje, by coś jeść.

Na globalnym rynku obowiązuje tylko jedna zasada. Zysk za wszelką cenę. Jedni zarabiają, bo trują ludzi. A drudzy, bo ich prywatnie leczą.

Na kogo mogą więc liczyć poszkodowani? Państwa są coraz bardziej bezradne wobec potęgi globalnych koncernów. W wielu krajach, nawet tych największych, partie i politycy nie są już realną władzą. Bo nie potrafią, a często już nawet nie mogą, wystąpić w interesie społeczeństwa. Minęły czasy, gdy taką funkcję pełniła lewica. Gdy lewicowi politycy orientowali się na grupy dotknięte ubóstwem i wyzyskiem. Czy polska lewica dociera dziś do tych 2,5 mln ludzi, którzy żyją w skrajnej biedzie? Nawet nie próbuje. A skoro nie jest im potrzebna, skoro miliony pracowników ze swoimi codziennymi problemami nie mogą na nią liczyć, to szukają pomocy gdzie indziej. Partyjna lewica w Polsce, i to bez wyjątków, kompletnie zawiodła. By ją zastąpić, trzeba się organizować, budować struktury, szukać liderów. Praca u podstaw.

Zacząć, gdzie biednie i problem goni problem. Kto tam zedrze zelówki, wróci kiedyś na Wiejską.

Jeżeli możecie wesprzeć nasz tygodnik, proszę o wpłaty na: Fundacja Oratio Recta Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BĄKOWSKI

eprasa.pl 6f5983c5b5

W NUMERZE

KRAJ

8 **Nawrocki w pakiecie Kaczyńskiego**
Nowy pupil prezesa

11 **Karol – rozwalacz pomników**
Dekomunizator na czele IPN

13 **Czarne promocje, zaśmiecona planeta**
Kupujmy rozsądnie

16 **Collegium aferzystów**
Tłumy po lewe dyplomy MBA

20 **My, Polska endecko-ludowa (cz. 2)**
– rozmowa z prof. Stefanem Chwinem

26 **Turysto, nie bój się!**
Do Głuchołazów warto przyjeżdżać

30 **Strażnik pamięci o Bytnarach**
– rozmowa z prof. Andrzejem Romanowskim

38 **Feminizm to niezgoda na dyskryminowanie mnie tylko dlatego, że jestem kobietą**
– rozmowa z Sylwią Chutnik

HISTORIA

34 **Pierestrojka a zjednoczenie Niemiec**
Gorbaczow dał się wykiwać

KULTURA

41 **Laury i medale w Klubie Krytyki Teatralnej**
Gloria Artis dla naszych współpracowników

48 **Trzeci Wokulski**
Leon Krupecki, bohater „Lalki"

50 **Artystką się bywa**
– rozmowa z Justyną Sieńczyłło

54 **Qulturalia**

66 **Kobieca Strona Sztuki V**

SPORT

42 **Wesele i pogrzeb**
Pożegnanie Furtoka w dzień chwały Lewego

ZAGRANICA

44 **Rewolucja w raju**
Kanada już nie kocha Trudeau

OBSERWACJE

55 **Czeski skarb zagrożony**
Młodzi i drożyzna dobijają piwo

58 **Cienie Inżynierskiej – fotoreportaż**

ZDROWIE

60 **Zębom na ratunek**
– rozmowa z dr Agnieszką Wal-Adamczak

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Nie ma lewicy. Jest zysk

19 **Jan Widacki**
Mamy kandydatów na prezydenta

23 **Roman Kurkiewicz**
Figuranci demokracji

47 **Tomasz Jastrun**
Kura i jajko

53 **Wojciech Kuczok**
Na co kicham

38
KRAJ

FEMINIZM TO NIEZGODA NA DYSKRYMINOWANIE MNIE TYLKO DLATEGO, ŻE JESTEM KOBIETĄ

– rozmowa z Sylwią Chutnik

42
SPORT

WESELE I POGRZEB

Pożegnanie Furtoka w dzień chwały Lewego

55
OBSERWACJE

CZESKI SKARB ZAGROŻONY

Młodzi i drożyzna dobijają piwo

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SYLWIA DĄBROWA/POLSKAPRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 6f5983c5b5

Prawica kocha Trumpa. Za wszystko

Pisze red. Robert Walenciak: „W postawie Dudy jest gotowość służenia amerykańskiemu prezydentowi w jego polityce rozgrywki z Europą”. A przecież praktycznie każda ekipa rządząca po 1989 r. starała się jak najlepiej przysłużyć się Jankesom. Przytoczę wrogie przejęcia polskich przedsiębiorstw podczas przemian ustrojowych, włączenie Polski w konflikt na Bliskim Wschodzie, czego skutki odczuwamy do dzisiaj, tajne więzienia, gdzie torturowano ludzi, pogorszenie stosunków z Rosją i bycie koniem trojańskim w Unii Europejskiej, wymuszane przetargi militarnego złomu czy obecnie napędzanie wojennych nastrojów. W opisywanej postawie Andrzeja Dudy, niestety, nie ma nic dziwnego, to po prostu nasza rzeczywistość.

KRAJ

PRAWICA KOCHA TRUMPA. ZA WSZYSTKO

PiS jest zewsiłkiwanie zastawione do Ameryki i nie wyobraża sobie innej polityki, niż ołukiewe USA

Michał Czarnowski

•

Chęć służenia obecnemu wielkiemu bratu cechuje także wszystkie ugrupowania obecnie sprawujące władzę.

Janusz Kubicki

•

„Nigdy wcześniej w polskim parlamencie nie widzieliśmy takich scen, takiej manifestacji, nie wykrzykiwano nazwiska zwycięzcy wyborów w innym kraju” – ja bym jednak proponował zrobić pewien research, np. wokół wizyty cara Aleksandra I w Warszawie w czerwcu 1815…

Konrad Banicki

Zlikwidować IPN

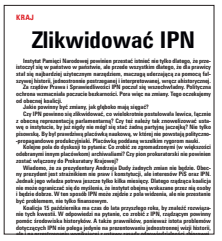
KRAJ

Zlikwidować IPN

Instytut Pamięci Narodowej powinien przestać istnieć ma tylko dlatego, że prezydencji się na państwo w państwie, ale przede wszystkim dlatego, że dla prawicy stał się wulkanitaj szyfracznym narzędziem, mocnym wkroczyć na pomoc. Informacje o tym, jak IPN wykorzystywał swoje publikacje, ujawniła w czwartek „Rzeczpospolita”.

Za czasów Prawa i Sprawiedliwości IPN przeszedł się wnet, dewiacjaty Platformy, ochrona wcześniejsza pocznata bankructwo. Pora więc na zmiany. Tego oczekujemy od obecnej koalicji.

Jakie powinny być zmiany, jak głębokie mają sięgać?

Czy IPN powinien się zlikwidować, co wnioskowała przedstawiła lewica, łącznie z obecną reprezentacją parlamentarną? Czy też należy tak zmowelizować ustawę o instytucie, by już nigdy nie mógł się stać żadna partyjna pacynką? Nie tylko pisowską. By był prawdziwą placówką naukową, w której nie powstają politycznie-propagandowe produkcyjniki. Placówką podlegą wszelkim rygorom nauki.

Koalicja pola do dyskusji to pytanie: Co zrobić ze ogromadzonymi (w większości ołukiewymi) tonnami placówkowych archiwaliów? Czy pion prokuratorski nie powinien zostać wrócony do Prokuratury Krajowej?

Wiadomo, że co przyzyskiwary Andrzeja Dudy żadnych zmian nie będzie. Obecny prezydent jest strasznie nie pewn i konstytucji, ale intensywne PiS oraz IPN. Jednak jego wiedza potrwa jeszcze tylko kilka miesięcy. Dlatego rządząca koalicja nie może ograniczać się do myślenia, że instytut stojącą wnikazane przez się zmiany i będzie dobrze. W tym sprzyt IPN może zajdzie z pola widzenia, ale nie przestanie być problemem, nie tylko finansowym.

Koalicja 15 października ma czas do lata przyszłego roku, by znaleźć rozwiązanie tych kwestii. W odpowiedzi na pytanie, co zrobić z IPN, rządzące powinny ponieść środowiska historyków. A także prawników, ponieważ istota problemów dotyczących IPN nie polega jedynie na przemieszczeniu jednostronnej wizji historii,

Jestem ZA! Ale red. Paweł Dybicz pisze: „Wiadomo, że za prezydentury Andrzeja Dudy żadnych zmian nie będzie”. Ja mam coraz większe wątpliwości, czy Donald Tusk i jego Platforma to partia obywatelska, czy tylko inna frakcja tej samej mafii co PiS. Gdyby Koalicja Obywatelska chciała zlikwidować lub ucywilizować IPN – nieodrodne dziecko PO-PiS – zrobiłaby to mimo prezydenta. A tak nawiasem mówiąc, kto decyduje o wysokości budżetu IPN czy Kancelarii Prezydenta RP? Czy nie sejmowa Komisja Finansów?

Józef Brzozowski

•

Zgadzam się z tą opinią. Zamiast zmniejszyć kwoty z budżetu dla pewnych instytucji (IPN), jeszcze je zwiększono. A zasłanianie się Dudą na dłuższą metę tylko dodatkowo zniechęci potencjalnych wyborców.

Iwona Barabaś

•

Przypominam, że (pseudo)Lewica ma teraz swojego przedstawiciela w Kolegium IPN. Jednak wszystko, co z jego strony przebiło się do mediów, to postulat... burzenia pomników żołnierzy Armii Czerwonej. Czyli nacjonalizm, antykomunizm, wysługiwanie się prawicy na całego.

August Grabski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski

W miejscu tragicznego zajścia na Inżynierskiej 6 w Warszawie policjanci oddali hołd zastrzelonemu koledze. W dzień pogrzebu o godz. 12 w całym kraju włączone zostały policyjne sygnały dźwiękowe i błyskowe. 29 listopada 2024 r. (fotoreportaż o ul. Inżynierskiej na s. 58).

eprasa.pl 6f5983c5b5

Do prawie **100 polskich miast** o liczbie mieszkańców przekraczającej 10 tys. **nie dojeżdża kolej.**

•

Marszałek Sejmu Szymon Hołownia zapowiedział, że **8 stycznia ogłosi datę wyborów prezydenckich** – powinny się odbyć w którąś z majowych niedziel. Kadencja Andrzeja Dudy kończy się 6 sierpnia 2025 r.

•

Sławomir Broniarz został ponownie wybrany na przewodniczącego Związku Nauczycielstwa Polskiego w kadencji 2024-2029. Do ZNP należy prawie 200 tys. nauczycielek i nauczycieli. Broniarz prezesuje związkowi od 1998 r. **Gratulujemy zaufania.**

•

Z ponad **6 mln domów jednorodzinnych** w Polsce aż **30%** nie ma ocieplonych ścian zewnętrznych.

•

Na rozbudowę Muzeum Powstania Warszawskiego państwo ma wydać kolejne 100 mln zł. Zanim to nastąpi, trzeba zapytać Polaków, **czy oprócz obecnego muzeum fotoplastykonu nie musi powstać muzeum golgoty ludności cywilnej,** np. na Ochocie czy na Woli, gdzie doszło do bestialskich mordów i gwałtów na ogromną skalę.

•

Jarosław Kaczyński prosi zwolenników PiS o darowizny na rzecz partii i ukrywa przed nimi gigantyczny majątek spółki Srebrna, którą zarządzają najbardziej zaufani ludzie prezesa. Ma ona w użytkowaniu wieczystym trzy nieruchomości przy Alejach Jerozolimskich i Srebrnej o powierzchni 8,5 tys. m kw.

•

Ilu było w Polsce prokuratorów na koniec 2023 r.? 80 w Prokuraturze Krajowej, 433 w prokuraturach regionalnych, 1574 w okręgowych i 3664 w rejonowych.

•

Sąd Rejonowy w Warszawie skazał **na karę grzywny Janusza Palikota (450 tys. zł) i Kubę Wojewódzkiego (400 tys. zł)** za reklamowanie alkoholu w mediach społecznościowych. Wyrok jest nieprawomocny.

•

Prawie 600 mln zł wydano na TV Biełsat prowadzoną od początku przez Agnieszkę Romaszewską-Guzy. Apetyty na finansowanie rosły w zawrotnym tempie. W 2021 r. budżet Biełsatu wynosił 44 mln zł, a w tym prawie 90 mln zł. Jak je wydawano, sprawdza CBA, które prowadzi śledztwo w sprawie zleceń na usługi informatyczne.

•

Od początku wojny (2022) Polska dostarczyła Ukrainie 44 transporty broni i amunicji o wartości 4 mld euro.

•

Trzy główne powody, dla których Polacy się rozwodzą, to niezgodność charakterów (28,7%), niedochowanie wierności małżeńskiej (26,1%) i nadużywanie alkoholu lub środków odurzających (15,1%) **(raport UCE Research).**

•

Największym eksporterem żywności i napojów jest Unia Europejska, której sprzedaż w 2022 r. wyniosła 182 mld euro. Wyprzedza USA, Chiny i Brazylię.

•

Średnia powierzchnia gospodarstw rolnych w Polsce wyniosła w 2024 r. **11,59 ha.** Największe gospodarstwa są w Zachodniopomorskiem **(33,5 ha)**, a najmniejsze w Małopolskiem **(4,36 ha).**

•

Po Chinach Polska jest największym światowym eksporterem tytoniu i jego namiastek.

PRZEBŁYSKI

Zdrowie wasze w gardło nasze

Stary toast Lecha Wałęsy „Zdrowie wasze w gardło nasze" świetnie pasuje do obchodów 40-lecia OPZZ. Z jednej strony, kolejne raporty o rosnącym ubóstwie wśród wielu grup Polaków, z drugiej – uroczysta gala i bankiet ich reprezentantów.

Przykro patrzeć, co zostało z organizacji zakładanej przez charyzmatycznych liderów świata pracy: Alfreda Miodowicza, Józefa Wiadernego i Jana Guza. Obecnego przewodniczącego myli nawet Związek Zawodowy Przemysłu Elektromaszynowego. Z Piotra Ostrowskiego zrobili na swojej stronie Macieja i nikt tego, poza naszym czytelnikiem, nie zauważył. Ostrowski został przewodniczącym dzięki sprytnej akcji Razem i osobiście Zandberga. Próba desantu się powiodła. Lecz to wszystko, na co było stać razemowców i Ostrowskiego. OPZZ się kurczy. Ale chęć na bankiety rośnie.

Obajtek, felietonista bolejący

Ekswójt Pcimia, czyli Dyzma w wersji z XXI w. chwilowo przebywający w Brukseli, odkrył u siebie kolejny talent. Postanowił zostać felietonistą. I został. Bo bracia Karnowscy nie mogli zamknąć łamów „Sieci" przed tak hojnym sponsorem tygodnika. Orlen za czasów Daniela Obajtka zamieścił tam tyle reklam, że przebił wszystkich.

Obajtek gapą nie jest i pisze o tym, co go boli. A bolą go przesłuchania, które nazywa polowaniem na czarownice. Taki się zrobił wrażliwy. Kocha Trumpa, więc powinien wiedzieć, że tam za taki Orlen, Lotos i miliardy stracone przez spółkę można dostać i 200 lat.

Biejat już walczy

Ostatni będą pierwszymi. Znamy tylko jedną osobę, która tak może tłumaczyć, dlaczego lewica ciągle nie ma swojej propozycji na wybory. Nie mylicie się. To Anna Maria Żukowska. Razem z Czarzastym opowiadają, że decyzja zapadnie 15 grudnia. Żartują, a może zapomnieli, co obiecali Magdalenie Biejat? Za wyjście z Razem dostała przecież od nich bilet do prezydentury. Uwierzyła w ten bilecik i zaczęła kampanię.

Skromnie. Od propozycji, by obniżyć mężczyznom wiek przechodzenia na emeryturę. Do 60 lat. W programie ma jeszcze dodatkowy miesiąc urlopu dla wszystkich. Do wyboru lipiec i sierpień. A na finał Biejat planuje ogłosić, że wszystkie poniedziałki będą wolne. Urocza jest ta garstka lewicy.

Kto pożyczał kasę Mejzie?

Pamięć ludzka jest krótka. O złodziejskich rządach dojnej zmiany też ludzie by zapomnieli. Na szczęście w skansenie PiS są tacy jak Łukasz Mejza. Genetyczny patriota. Nałogowy pożyczkowicz. Modelowy krętacz i oszust.

Swoje oświadczenia majątkowe wypełnił tak, że prokurator postawił mu 11 zarzutów. Mejza pamiętał, że pożyczał kasę od wielu osób. Ale zapomniał od kogo. 40 tys. zł, 50 tys. zł, 88 tys. zł, 100 tys. zł, siedem pożyczek na łączną kwotę 290 tys. zł. Któż mu tyle kasy pożyczył? Gdy CBA i dziennikarze zaczęli pytać o te pożyczki, robił korekty do oświadczenia. Częściowe. Bo pamięć ciągle zawodzi. Straci Mejza immunitet, to sobie przypomni. A jak go wsadzą, będzie miał na to więcej czasu.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (3), YOUTUBE

eprasa.pl 6f5983c5b5

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

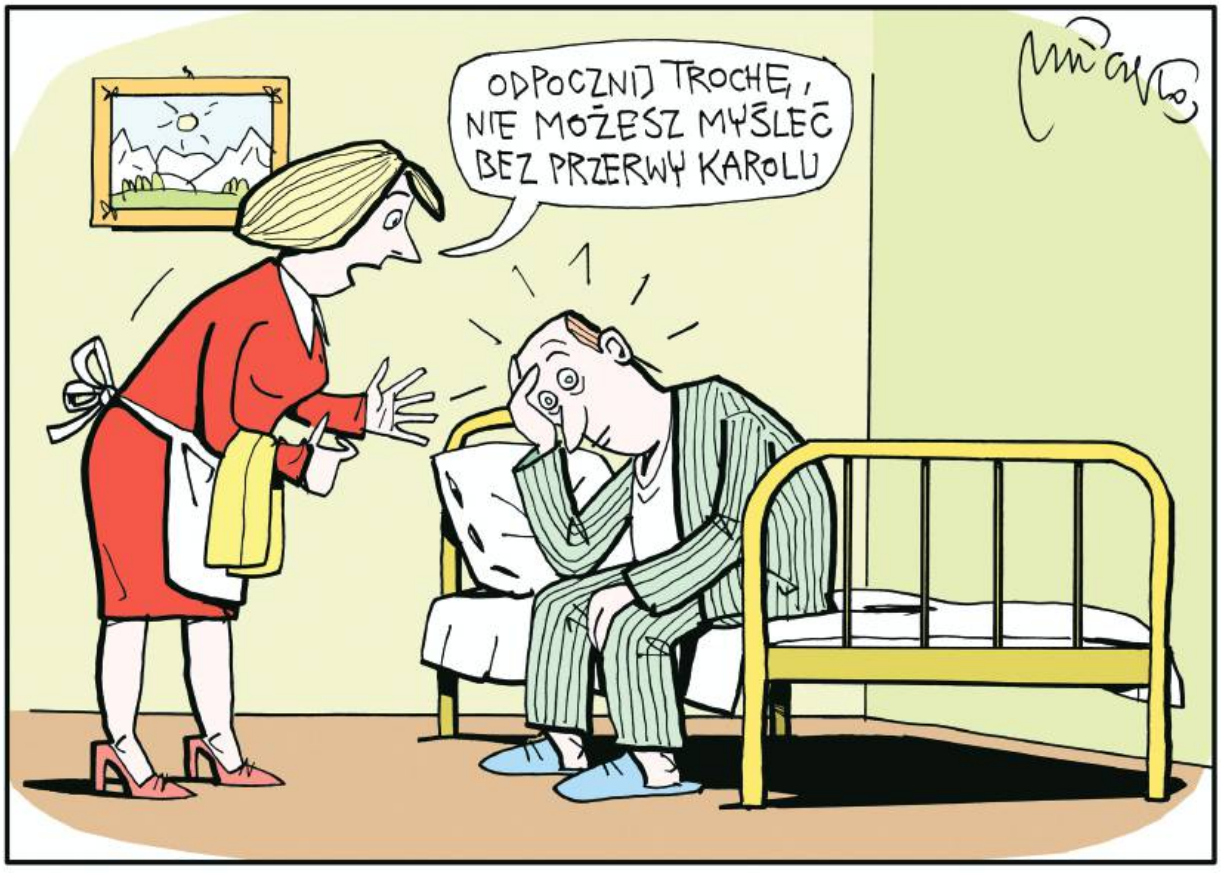

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak walczyć z uzależnieniem od komórki?

SŁAWOMIR BRONIARZ,
prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego

Wydaje się, że ten temat jest definiowany jedynie jako problem szkoły. To błąd. W kwestii życia cyfrowego dzieci powinna panować synergia działań domu i szkoły. Wszystkim zależy, aby proces cyfryzacji najmłodszych podlegał racjonalnej kontroli. Dyrektor, rada pedagogiczna i rada rodziców powinny podejmować wspólne decyzje. Obecność telefonów komórkowych w szkole ma wymiar nie tylko porządkowo-prawny, ale również obyczajowy. Świat cyfrowy niesie lawinę zagrożeń. Rolą edukacji powinno być przygotowanie uczniów do sensownego korzystania z internetu. Nie jestem zwolennikiem regulowania tego zakazami prawnymi. Warunkiem jest, aby rodzice wzięli na siebie odpowiedzialność za współpracę i uzgodnienie kwestii telefonów ze szkołą.

MAGDALENA BIGAJ,
prezeska Instytutu Cyfrowego Obywatelstwa

Na pytanie, jak walczyć z uzależnieniem od telefonów, zawsze najpierw odpowiadam, że nie trzeba być uzależnionym, aby odczuwać negatywny wpływ nowych technologii na nasze zdrowie i funkcjonowanie w społeczeństwie. Mamy do czynienia z pandemią problematycznego używania internetu i to już jest szeroka kategoria, w której poza uzależnieniem są takie zjawiska jak obniżona samoocena i zmniejszone poczucie sprawczości z powodu porównywania się z tym, co widzimy w internecie, negatywne doświadczenia związane z hejtem w sieci oraz przemoc seksualna w internecie, której ofiarami w największym stopniu są dzieci i młodzież. Stoimy przed wyzwaniem zbudowania świadomości społecznej w zakresie higieny cyfrowej. Aby zachęcić ludzi do zainteresowania się tym, udostępniliśmy bezpłatnie na stronie higienacyfrowa.pl Test Higieny Cyfrowej. Zachęcam, aby rozpocząć właśnie od anonimowej odpowiedzi na zawarte tam pytania, same w sobie będące zbiorem zasad. Które uznamy za najważniejsze? To już zależy od udzielanych odpowiedzi.

DR BARTOSZ KICIOR,
medioznawca, socjolog USWPS

Dotarliśmy do momentu, w którym pytamy nie o to, czy telefon uzależnia, tylko jak walczyć z fonoholizmem. Po pierwsze, musimy chronić najmłodszych. Chodzi o edukowanie medialne i higienę cyfrową. Po drugie, przestańmy redukować problem do dzieci, bo dotyczy on również dorosłych. Prosty eksperyment – popatrzmy, ile osób w tramwaju czy restauracji patrzy w telefon. Następnie przyjrzyjmy się sobie. Sprawdźmy, po jakim czasie zaglądamy do komórki bez konkretnego powodu. Po trzecie, trzeba się zająć tematem na poziomie instytucjonalnym. Czas zacząć patrzeć na ręce korporacjom, które dostarczają nam sprzęt i oprogramowanie. Cała odpowiedzialność nie może spoczywać wyłącznie na użytkowniku końcowym.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 6f5983c5b5

Nawrocki w pakiecie Kaczyńskiego

Karol Nawrocki – nowy pupil prezesa

Robert Walenciak

Czy Karol Nawrocki uratuje PiS? Od tygodnia jest oficjalnym kandydatem Jarosława Kaczyńskiego na prezydenta, ma wygrać z Rafałem Trzaskowskim. Kogo tym razem prezes chce Polakom sprezentować?

PiS przekonuje, że Karol Nawrocki to Andrzej Duda 2.0. Odważna teza. Po pierwsze, Andrzej Duda mimo wszystko jakimś politycznym CV mógł się legitymować. Był w karierze wiceministrem sprawiedliwości, europosłem, rzecznikiem klubu PiS, kandydatem PiS na prezydenta Krakowa i ministrem w Kancelarii Prezydenta. Karol Nawrocki może sobie zapisać w życiorysie tylko trzy pozycje: był szefem IPN w Gdańsku, potem dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej, które to stanowisko obejmował w atmosferze pisowskiego zamachu, no i prezesem IPN, którym jest do dziś. Doświadczenie, jeśli chodzi o funkcjonowanie państwa, o politykę międzynarodową i gospodarkę, ma praktycznie zerowe.

Ale machina PiS już ruszyła. Przedstawiają nam Nawrockiego jako patriotę, a on sam woła, że chce jednoczyć Polaków i że żyje skromnie. Tyle że to bajki.

Karol Nawrocki jako uczestnik 14. Patriotycznej Pielgrzymki Kibiców do Częstochowy, 8 stycznia 2022 r.

Opowieść o sowieckiej kolonii

Przede wszystkim Nawrocki nie zamierza nikogo jednoczyć. Posłuchajmy go. Prezentuje prymitywny antykomunizm, typowy dla kibola, zaskakujący w ustach historyka. Ma się wrażenie, że przemawia jakiś wiecowy zapiewajło. Pełen patosu, odmieniający przez przypadki miłość do ojczyzny, służbę narodowi, obronę Polski itd. I nie jest to błąd systemu czy spin doktorów, którzy kazali mu tak mówić. Jeśli posłuchamy jego wcześniejszych wystąpień, okaże się, że właśnie taki jest.

Traktuje antykomunizm religijnie, nie interesują go powody, dla których tysiące ludzi stawało pod czerwonym sztandarem, nie ma naturalnej dla historyka ochoty, by pewne procesy i decyzje analizować, wszystko ocenia zero-jedynkowo. Zachowuje się jak kibic wobec przeciwnej drużyny.

Gdy był przesłuchiwany w Sejmie jako kandydat na prezesa IPN, deklarował, że szanuje wszystkie ugrupowania przedwojenne – z wyjątkiem KPP, bo to rosyjska agentura. Odmawia jej zatem prawa do czegokolwiek. Polska Ludowa? Mówi o niej wprost: była komunistyczną kolonią sowiecką. Wojciech Jaruzelski zaś to komunistyczny zbrodniarz.

A Unia Europejska? Według Nawrockiego chce ograniczyć naszą suwerenność. Zwłaszcza Niemcy.

Wszystko jest więc złe, poza skrajną prawicą, która jest dobra. Krzyże, Dmowski, niepodległość, Polska skrzywdzona i cierpiąca, patrioci kontra agenci – w takim obszarze pojęciowym Nawrocki funkcjonuje, trudno wobec tego wyobrazić sobie, by mógł jednoczyć. Chyba że grupy kibicowskie.

Opowieść o skromności

Drugą bajką Nawrockiego jest ta przedstawiająca go jako człowieka

eprasa.pl 6f5983c5b5

z ludu. Nie jest zmyślona – Nawrocki wywodzi się z robotniczej dzielnicy Gdańska – ale została zmanipulowana. Manipulację zaczął Jarosław Kaczyński, który ogłosił, że Nawrocki jest kandydatem obywatelskim i niezależnym, popieranym przez PiS. Jakby chciał powiedzieć, że w hali Sokoła w Krakowie akurat odbywała się prezentacja kandydata, a on przechodził, zajrzał, zachwycił się i poparł. A że PiS zapłaciło za wynajem hali i zorganizowało całą imprezę, to już przypadek.

Kaczyński opowiadał też, że Nawrocki to kandydat z ludu. Zderzył go tym samym z kandydatem zepsutych elit, czyli Rafałem Trzaskowskim. No cóż, przypomnijmy prezesowi, jakich określeń używał wobec innego polityka z robotniczej rodziny z Gdańska – Donalda Tuska. Mówił o nim pogardliwie, że jest z podwórka. W przeciwieństwie do niego, wywodzącego się z inteligenckiego Żoliborza. Prawda, jak prezesowi łatwo przychodzi żonglowanie etykietkami?

Ale to określenie – człowiek z ludu – bardzo się podoba samemu Nawrockiemu. Podchwycił je i przekonuje: jestem jednym z was, żyję skromnie. No cóż, wszystko zależy od tego, jak granicę skromnego życia sobie wyznaczymy.

Karol Nawrocki jako prezes IPN ma pensję ustaloną ustawowo, na poziomie zarobków szefa Kancelarii Prezydenta, ministra, szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów itd., zgodnie z określonymi mnożnikami. Jeśli dobrze przeliczam, wynagrodzenie zasadnicze wynosi 14 029 zł, plus dodatek funkcyjny w kwocie 3757 zł oraz wysługa lat (1% zasadniczego wynagrodzenia za każdy rok pracy). W sumie ponad 20 tys. zł. Do tego dochodzą takie drobiazgi jak służbowy samochód i służbowe mieszkanie (Nawrocki jest z Gdańska). Ponadto tak jak posła chroni go immunitet. Oto skromne życie pisowskiego funkcjonariusza.

Opowieść o pistoletach

Nawrocki, jak wiadomo, jest byłym piłkarzem, byłym bokserem i kibicem Lechii Gdańsk. Wśród kibiców (czy raczej kiboli) ma wielu znajomych. Ma też bliskie kontakty m.in. z Patrykiem Masiakiem, ps. Wielki Bu, skazanym za porwanie, wiązanym również przez prokuratorów z gangiem sutenerów. Nawrocki i Wielki Bu widnieją na wspólnym zdjęciu. Gdy wyciekło do mediów („Rzeczpospolita" sugerowała, że za sprawą ludzi Mateusza Morawieckiego), Nawrocki tłumaczył się, że łączy ich tylko boks, że nic nie wiedział o kryminalnej przeszłości kompana. Przy innej okazji mówił natomiast, że rozmowy z Wielkim Bu traktował jako rodzaj jego socjalizacji. Wiedział zatem o tej kryminalnej przeszłości czy nie wiedział?

W każdym razie Nawrockiemu atmosfera siłowni, hal bokserskich i stadionów bardzo odpowiada. Sam ma pozwolenie na broń i chętnie z nią paraduje. Z kręgów ludzi Morawieckiego wywodzi się opowieść, jak któregoś dnia Nawrocki przyszedł na imprezę i usiadł obok premiera. Funkcjonariusze SOP zauważyli, że wystaje mu pistolet, więc szybko wyprowadzili go z sali. Dyskretnie, na szczęście.

Upodobanie do broni i demonstracyjnych gestów? Nawrocki jako prezes IPN za pieniądze instytutu wynajął sobie prywatną ochronę, która towarzyszyła mu w kraju i za granicą. Sprawę tę nagłośniła i opisała w raporcie Najwyższa Izba Kontroli. Dwóm ochroniarzom zapłacono 31 tys. zł. W IPN tłumaczono to koniecznością podniesienia poziomu bezpieczeństwa delegacji instytutu zarówno na miejscu, jak i poza Polską. Inspektorzy NIK zauważyli, że wynajmując ochroniarzy, IPN zakładał użycie przez nich w razie konieczności środków przymusu bezpośredniego i broni palnej. Tymczasem nie mieli oni wymaganej przepisami ustawy koncesji na świadczenie takiego zakresu usług. Dlaczego więc zostali wynajęci przez IPN?

Co ciekawe, jeżdżąc za granicę, Nawrocki także zabierał ochronę. IPN uzyskiwał pozwolenie na wywóz broni przez ochroniarza i opłacał mu noclegi, gdyż – jak tłumaczył prezes IPN – traktowano go jako gościa instytutu.

Opowieść o wydawaniu pieniędzy

Nawrocki chętnie opowiada, że ma zdolności menedżerskie i pomysł na funkcjonowanie IPN. W Sejmie mówił, że prawda się nie obroni, więc będzie chciał docierać do młodych w nowoczesny sposób, np. poprzez gry komputerowe. Jak to wszystko wypadło? Raport NIK na temat wydatków IPN jest bezlitosny.

„Najwyższa Izba Kontroli ocenia negatywnie wykonanie budżetu państwa w 2023 r. w części 13 – IPN. Prezes IPN, jako dysponent części 13-IPN budżetu państwa, wydatkował w 2023 r. środki budżetowe w kwocie 538 764,5 tys. zł zgodnie z planem rzeczowym i finansowym, przy czym środki na łączną kwotę 17 920,8 tys. zł wydatkowano z naruszeniem przepisów prawa, nierzetelnie lub niegospodarnie", czytamy.

Prezes IPN ma bliskie kontakty z Patrykiem Masiakiem, ps. Wielki Bu, skazanym za porwanie i wiązanym z gangiem sutenerów.

Kontrolerzy NIK zakwestionowali wiele wydatków; szczegółowo je wyliczyli, my zatem ograniczmy się do kilku przykładów. Wydano 4,34 mln zł na zakup licencji wyłącznej na grę „Warsaw Rising – Miasto Bohaterów", bez rzetelnego rozeznania rynku co do alternatywnych rozwiązań i oszacowania wartości

eprasa.pl 6f5983c5b5

nabywanej licencji na grę funkcjonującą od czterech lat na rynku gier komputerowych.

Za 120 tys. zł zamówiono wykonanie przeznaczonego dla IPN kroju pisma (Memoria), które miało służyć do „skutecznej identyfikacji wizualnej IPN". Mimo że różnorodnymi ozdobnymi krojami pisma instytut dysponował w ramach ogólnodostępnych oprogramowań biurowych.

Zakupiono poza tym prawa do nadania imienia nowej odmianie róży dziewiczej o nazwie hodowlanej ROJmemo – biały kwiat został Victorią 1920, przy czym, jak tłumaczył IPN, „imię nowej róży zostanie zastrzeżone unijnym znakiem towarowym na 10 lat". Zakupu za kwotę 34,4 tys. zł dokonano w ramach projektu edukacyjnego upamiętniającego Bitwę Warszawską i zwycięską wojnę z bolszewikami.

Takich dziwnych wydatków było dużo więcej. Układają się w pewien obraz IPN Karola Nawrockiego i sposobu jego działania. A polega ono na infantylizacji przekazu, jego maksymalnym spłycaniu, sprowadzaniu do postaci zero-jedynkowej „patrioci kontra zdrajcy". I nieliczeniu się z pieniędzmi.

Dodajmy jeszcze jedno – Nawrocki zawsze taki był. Jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej zasłynął zakupem noszy z Westerplatte. Muzeum zapłaciło za nie 25 tys. zł, Nawrocki chwalił się wspaniałym eksponatem, który miał być ozdobą kolekcji, zwłaszcza że nosze zabrudzone były zaschniętą krwią. „Spotykające się ze sobą ekspertyzy, historyczny kontekst, opowieść o tych noszach i opinia medyczna pozwalają wierzyć, że mamy do czynienia z eksponatem, który opowiada już nie o walce, ale o cierpieniu polskich obrońców z Westerplatte z września 1939 r.", wyjaśniał. Obiecywał, że muzealnicy ustalą, czyja to krew. Ale szybko się okazało, że nie ma co sprawdzać, bo nosze wyprodukowano po II wojnie światowej i służyły szpitalowi psychiatrycznemu w Gdańsku. Na szczęście udało się je zwrócić właścicielowi i odzyskać wydane pieniądze.

Opowieść o ludziach

Warto zwrócić też uwagę na to, co mówią o Nawrockim. Instytucja, którą kieruje, na swoich stronach zamieszcza panegiryki. Że wspaniały! Oto więc nowy prezes klubu Tęcza. Ten z „Misia". A inni?

Mariusz Wójtowicz-Podhorski, były kierownik jednego z oddziałów Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, ocenił, że Nawrocki jest „zdolny do wszystkiego": „Intrygant przypisujący sobie zasługi innych, wreszcie człowiek, który dla autopromocji zrobi wszystko". Równie twardą opinię ma prof. Paweł Machcewicz, pierwszy dyrektor Muzeum II Wojny Światowej. W programie „Tak jest" w TVN 24 mówił: „Usuwał (z muzeum) te wątki, które były uznawane za zbyt międzynarodowe, które dotyczyły cierpień innych narodów, a dodawał wątki o polskim bohaterstwie, o polskiej martyrologii, często niezgodnie z prawdą historyczną. Zawyżał np. niezgodnie z faktami liczbę Żydów uratowanych przez Polaków, to były manipulacje historią. Myślę, że żaden najbardziej szczytny cel, czyli podkreślanie bohaterstwa Polaków, nie może usprawiedliwiać fałszerstw historycznych".

Stwierdził poza tym, że „Nawrocki sam się szczycił tym, że doprowadził do odejścia z muzeum w ciągu kilku miesięcy kilkudziesięciu osób". Niektórych po prostu wyrzucał, zwalniał, innych zmuszał do odejścia. Często działo się to z naruszeniem prawa. Poświadczyły to wyroki sądów pracy.

Podobnie Nawrocki działał w IPN, z którego, jak przypomniał Machcewicz, wyrzucił dr. Sławomira Poleszaka za artykuł o ostatnim „żołnierzu wyklętym" Józefie Franczaku. Poleszak ustalił i napisał, że w czasie wojny, w 1943 r., Franczak dopuścił się aktów przemocy wobec Żydów. Za pokazanie rysy na portrecie, który miał być kryształowy, historyk został zwolniony z IPN.

Wszystko poza skrajną prawicą jest złe, trudno więc sobie wyobrazić, by Nawrocki mógł jednoczyć. Chyba że grupy kibicowskie.

Opowieść o PiS

Dobrze, powie ktoś, skoro Nawrocki jest tak małego formatu, jakim cudem Jarosław Kaczyński zdecydował się właśnie jego wyciągnąć z szeregów i rzucić do walki o prezydenturę?

To chyba proste – a miał inny wybór? PiS po oddaniu władzy jest formacją rozdygotaną, podzieloną. Jarosław Kaczyński ma 75 lat i coraz trudniej mu zapanować nad partyjnymi liderami. Dlatego prezes nie mógł się zgodzić, by PiS wystawiło w wyborach Mateusza Morawieckiego, bo oznaczałoby to podwójne niebezpieczeństwo. Po pierwsze, rozłam w partii, po drugie, Morawiecki jako kandydat, na którego pracują struktury, zacząłby partię przejmować, wyrywać z rąk Kaczyńskiego. Podobnie by się działo, gdyby kandydatem został Przemysław Czarnek, bardzo popularny w PiS. Podczas imprezy w krakowskiej hali Sokoła dostał największe brawa, wzbudzał największy entuzjazm aparatu partyjnego. Kaczyński to widział i wie, że gdyby Czarnek kandydował na prezydenta, zaraz po drugiej turze odebrałby mu partię.

Musiał więc wystawić w wyborach kogoś z dalekiego szeregu, ale na pewno wiernego, żeby nie wzmacniać żadnego ze swoich potencjalnych następców. Ten wybór to była także walka o przywództwo nad PiS. Czy zakończona? Wszyscy mówią, że nie. Nawrocki może wcale nie wzbudzić zachwytu wyborców i będzie miał słabe sondaże. Wtedy rozpocząłby się kolejny bój, o tzw. podmiankę. Żeby wycofać Nawrockiego i w jego miejsce ogłosić kandydatem kogoś rzeczywiście z pisowskiej pierwszej ligi. To całkiem prawdopodobne. Zwłaszcza w Polsce, gdzie sympatie wyborców falują i wszystko może się zdarzyć.

Zdaje się, na to ostatnie liczy Kaczyński. Nie na podmiankę, ale na to, że wszystko może się zdarzyć. No to zobaczymy.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f5983c5b5

Karol – rozwalacz pomników

Przekaz IPN jest prosty: okupację hitlerowską zastąpiła okupacja sowiecka

Paweł Dybicz

Wybór Karola Nawrockiego na prezesa Instytutu Pamięci Narodowej nie budził żadnych wątpliwości. Nie tylko dlatego, że w latach 2013-2017 Nawrocki był naczelnikiem Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Gdańsku, a potem nominatem wicepremiera Piotra Glińskiego, czyli PiS, na dyrektora Muzeum II Wojny Światowej. Sprawdził się na tym stanowisku wręcz znakomicie, zwolnił, kogo trzeba, tj. ludzi niewygodnych dla prawicy, i zmienił ekspozycję. W wyborze na prezesa IPN miał poparcie kolegium instytutu, w którym prym wiedli dobrzy znajomi z muzeum. Sławomir Cenckiewicz, Tadeusz Wolsza i Andrzej Nowak zasiadali jednocześnie w radzie muzeum. Trzeba też pamiętać, że do konkursu nie stanęli ludzie z odpowiednim dorobkiem i doświadczeniem, bo wiedzieli, że wszystko jest ustawione. A czterech kontrkandydatów Nawrockiego wywoływało bardziej uśmiech niż poważanie. Na uwagę zasługuje i to, że kolegium (całkowicie opanowane przez nominatów prawicy) jednogłośnie opowiedziało się za Nawrockim, choć np. jego poprzednicy, Janusz Kurtyka czy Łukasz Kamiński, w głosowaniach zwyciężali przewagą zaledwie jednego głosu.

Nie dziwi zatem, że 248 posłów poprzedniego Sejmu zagłosowało za kandydaturą Nawrockiego (198 było przeciw), a Senat (23 lipca 2021 r.) stosunkiem głosów 52 do 47 zaakceptował wybór. Jeszcze tego samego dnia Sejm przyjął od Nawrockiego ślubowanie.

Gdy promowany był na prezesa IPN, środowisko prawicowców podkreślało jego nieangażowanie się w bieżącą politykę i skupienie na pracy historyka, czego dowodem są choćby publikacje w „Polityce" czy „Do Rzeczy". Owa „niezależność" brzmi tak samo jak „obywatelskość" kandydata PiS na prezydenta RP.

Obalanie pomnika czerwonoarmisty w Siedlcu w Wielkopolsce. Nz. Karol Nawrocki (z prawej) i wójt Jacek Kolesiński. 20 kwietnia 2022 r.

Nikt myślący nie miał wątpliwości ani nie liczył na to, że nowo wybrany prezes zmieni instytut, że postawi na rozum i odrzuci ahistoryczne postrzeganie przeszłości. Nawrocki szedł tym samym kursem, co jego poprzednik Jarosław Szarek, też nominat PiS, i można nawet powiedzieć, że przyśpieszył tempo. A to za sprawą funduszy, którymi parlament, ten pisowski i ten obecny, obdarowywał instytut lekką ręką. Tym samym prezes Nawrocki mógł się czuć jak wielki pan, który dobrze płaci za wzmacnianie historycznego przekazu IPN.

Jaki jest ten przekaz? Najkrócej mówiąc, sprowadza się do wręcz prostackiego stwierdzenia, że jedną okupację, hitlerowską, zastąpiła druga – sowiecka. Armia Czerwona ma się kojarzyć nie z sukcesami na froncie i z ofiarami liczonymi w milionach, ale z gwałtami na Polkach i z wywózką polskich dóbr. Po wojnie Polską rządzili narzuceni przez Stalina komuniści. Za sprawą terroru aparatu bezpieczeństwa zawładnęli krajem, na który spływały wszystkie nieszczęścia. Takie jest przesłanie IPN. Wystarczy zajrzeć na jego stronę internetową, zobaczyć, jakie konferencje

FOT. KAROL PORWICH/EASTNEWS, WIELKIBUU/INSTAGRAM, ADAM JASTRZĘBOWSKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 6f5983c5b5

organizowano za prezesury Nawrockiego. Już same tematy potwierdzają forsowaną wizję przeszłości, choćby: „Represje władzy komunistycznej wobec społeczeństwa polskiego w latach 1944-1990”. Podobnie brzmiące tytuły pojawiają się stale w sprawozdaniach z działalności tej instytucji. Zresztą główne przesłanie tej konferencji, jak i całego IPN, najlepiej oddaje podsumowanie: „System stalinowski wprowadzony został także w Polsce, przynosząc utratę niepodległości, setki tysięcy ofiar śmiertelnych, setki tysięcy więzionych i szykanowanych. Przyniósł on także niszczenie polskiej tożsamości i tradycji narodowej, prześladowanie i eksterminację elit niepodległościowych, prześladowanie religii katolickiej, dewastowanie gospodarki i rolnictwa. Po śmierci Stalina system ten ulegał stopniowemu łagodzeniu, nie tracąc jednak, aż do 1990 r., swojego zbrodniczego charakteru”.

Trzeba podkreślić, że konferencje IPN organizowane są głównie siłami jego pracowników. To oni występują jako autorzy tekstów i prezentacji. Czy ktoś podległy Nawrockiemu mógłby przedstawić nieco odmienną wizję przeszłości? Byli tacy w IPN i już ich nie ma. I nie są to pojedyncze osoby. Począwszy od prof. Rafała Wnuka, przez dr. Mariusza Zajączkowskiego, po dr. Sławomira Poleszaka, autora krytycznego artykułu naukowego o jednym z „wyklętych”. Do rezygnacji z pracy zmuszony został również prof. Sławomir Łukasiewicz.

Dysponując ogromnymi funduszami, IPN wysoko opłaca także ludzi spoza instytutu, drukuje ich prace, a potem chwali się liczbą publikacji.

W zapowiedziach z czasów kandydowania na prezesa Karol Nawrocki podkreślał wagę pionu prokuratorskiego IPN. Ten dzisiejszy wcale mu nie przeszkadza. Nawet to, że rozliczenia prokuratorskie zaczynają być bardziej farsą niż elementem wymiaru sprawiedliwości. Nawrocki nie widzi potrzeby zmiany. Pion prokuratorski w tym roku skierował do sądu 17 (słownie: siedemnaście) aktów oskarżenia. Wśród nich są takie, które dotyczą przewin ludzi dziś już w podeszłym wieku. Jak akt oskarżenia przeciwko Aleksandrowi G., byłemu sędziemu Sądu Marynarki Wojennej w Gdyni, któremu zarzuca się, że „30 marca 1983 r. pełniąc funkcję sędziego Sądu Marynarki Wojennej w Gdyni w stopniu porucznika i przewodniczącego składu sądzącego, dopuścił się zbrodni komunistycznej w postaci bezprawnego pozbawienia wolności na okres powyżej 7 dni trzech osób – członków NSZZ »Solidarność« za niestanowiącą przestępstwa działalność, podejmowaną w okresie obowiązywania w Polsce stanu wojennego”.

W tym miejscu warto postawić parę fundamentalnych pytań. Czy IPN Nawrockiego przedstawił inną wizję historii niż tylko tę, w której dominują komuniści i kolaboranci? Czy pracownicy instytutu choć przez chwilę zastanowili się, dlaczego naród umęczony wojną, egzekucjami, wywózkami i Sybirem nie chciał nadal ginąć? Czy skoro Stanisław Mikołajczyk przyjechał do komunistycznej Polski, to był kolaborantem? Bo przecież w kraju de facto już wtedy głos decydujący miały nowe władze, cieszące się poparciem Stalina.

W wizji przeszłości prezentowanej przez Nawrockiego i IPN nie ma śladów po wypędzeniu hitlerowców, już nie mówię o radości z tego faktu. PRL to czarna dziura i koniec! Czy ktoś wyobraża sobie, że w IPN powstaną takie prace jak ta napisana przez prof. Lecha Mażewskiego, też z Gdańska? W obecnym IPN referaty i panele muszą mieć jednorodną wymowę. I pokazywać Kościół oraz kapłanów, szczególnie Solidarności, jako wiernych swojemu posłannictwu. W obrazie przeszłości Kościoła według IPN nikt nie znajdzie grzechów i grzeszków księży. Ciężkich, karalnych, i to nie mandatami, ale wieloletnimi pobytami w więzieniu. I jeszcze jeden mit lansowany przez IPN – że Polacy gremialnie pomagali Żydom w czasie okupacji. Pytania można by mnożyć, ale ipeenowcy nie odpowiedzą na nie.

Karol Nawrocki uchodzi za niezłomnego niszczyciela pomników wdzięczności. Uznał to wręcz za swoje posłannictwo. W lipcu 2023 r. mówił: „Marzę, że sprawę dekomunizacji przestrzeni publicznej uda się załatwić w czasie mojej kadencji jako prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, i z tych 30 obiektów, które jeszcze zostały, za trzy lata nie będziemy mieli już żadnego”. Realizuje to postanowienie konsekwentnie. Mało tego. Lubi się przyglądać burzeniu pomników, chce, by przy tej okazji jego osoba jaśniała pełnym blaskiem. Tak było w lipcu tego roku w Nowogardzie, gdzie rozwalono w obecności Nawrockiego pomnik Braterstwa Broni, przemianowany w latach 90. na pomnik Kombatantów, przedstawiający dwóch średniowiecznych rycerzy oraz czerwonoarmistę i żołnierza Wojska Polskiego. Wtedy pan prezes wręcz kipiał radością.

Aktywność prezesa nie polega jednak tylko na burzeniu prawdy historycznej czy pomników, ale i na budowaniu… jedności kiboli. Stąd zaangażowanie IPN w Ogólnopolskie Patriotyczne Pielgrzymki Kibiców na Jasną Górę. I stąd obecność szefa instytutu w Częstochowie.

Karol Nawrocki dobrze wie, że nawet jeśli nie zostanie w przyszłym roku prezydentem, posadę prezesa ma zapewnioną jeszcze na długo, może nawet do końca kadencji, do lipca 2026 r.

Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Nawrocki wie, że nawet jeśli nie zostanie w przyszłym roku prezydentem, posadę prezesa ma zapewnioną jeszcze na długo.

Prokuratorskie rozliczenia zaczynają być bardziej farsą niż elementem wymiaru sprawiedliwości. Ale prezes nie widzi potrzeby zmiany.

eprasa.pl 6f5983c5b5

Czarne promocje, zaśmiecona planeta

Dyrektywa Omnibus chroni przed przepłacaniem za zakupy, sprzedawcy szukają więc innych sposobów na zdobycie klientów

Kornel Wawrzyniak

Czarne piątki i cyberponiedziałki to amerykański zwyczaj dużych wyprzedaży, który został przeszczepiony do Polski kilkanaście lat temu. Chciwość sieci handlowych i miłość Polaków do promocji szybko sprawiły, że te dwa listopadowe dni przerodziły się w cały miesiąc niby intensywnych promocji. To jednak dopiero rozbiegówka przed grudniowym szałem wyprzedaży. Z drugiej strony emocje tegorocznego czarnego listopada ostudziły odrobinę inflacja i dyrektywa Omnibus, która pozwala klientom sprawdzić najniższą cenę produktu w ostatnich 30 dniach.

Zmasowany atak okazji

Po słabym dla sprzedawców wrześniu, kiedy sprzedaż detaliczna spadła o 3% w stosunku do zeszłego roku, polska klientela miesiąc później znowu się rozpędziła. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego sprzedaż detaliczna w październiku wzrosła o 1,3% rok do roku. Kolejną dobrą informacją dla handlowców jest konsekwentny wzrost sprzedaży w internecie. Według firmy doradczej Strategy& w tym roku Polacy mają wydać co najmniej 140 mld zł na zakupy online.

– Polski rynek handlu elektronicznego pod względem liczby nowo zakładanych firm należy do najszybciej rozwijających się w Europie – twierdzi Andrzej Rzym, szef tutejszego oddziału platformy Coolshop, która jest liderem skandynawskiego rynku e-commerce.

Coraz popularniejsza staje się przede wszystkim sprzedaż w aplikacjach na telefon. Według badania sklepu Komputronik aż troje na czworo konsumentów właśnie tak najchętniej robi zakupy. Sprzedaż internetowa to w czasie *black weeks*, czyli tygodni poprzedzających święta, serce wyprzedaży. Właśnie dlatego przeglądający portale internetowe w listopadzie i grudniu zalewani są reklamami wielkich promocji. Na sprzedaż online stawiają dzisiaj nawet takie sklepy jak IKEA, która w roku finansowym 2024 sprzedała 5 mln produktów przez internet. Ten kanał sprzedaży odpowiadał za 34,5% całego obrotu IKEA Retail w Polsce.

Reklamy czarnych promocji wyskakują w sieci wszędzie. Jednym z powodów jest prawdopodobnie spadek liczby klientów odwiedzających galerie handlowe. Według firmy marketingowej Proxi.cloud ruch w galeriach zmalał o 12% w 2024 r. w stosunku do roku ubiegłego. Przejście do „digitalu" wydaje się więc oczywistą strategią.

Dodatkowym narzędziem sprzedaży są wszelkiego rodzaju listy mailingowe. Jeśli ktoś ma ekspres na kapsułki albo pali elektroniczne papierosy, zaraz jest atakowany mejlami o kolejnych promocjach zachęcających do zakupu chociażby następnego ekspresu lub dodatkowego e-papierosa i wielu drobiazgów, które wyglądają jak świetny prezent. Tyle że później i tak nikt z nich nie skorzysta. Jeśli mejl nie przekona ewentualnych klientów, pozostają jeszcze zakupy na raty 0%, i to z odroczoną płatnością. Niektóre sieci proponują nawet niższe ceny produktów, jeśli weźmie się

FOT. ARKADIUSZ ZIÓŁEK/EAST NEWS

eprasa.pl 6f5983c5b5

je na raty. Popularną praktyką elektromarketów jest proponowanie klientom „spłaty” przez sklep dwóch pierwszych rat. Inny kuszący element to oczywiście „kup teraz – zapłać dopiero za pół roku”.

Król jest nagi, a promocje marne

Mimo amerykańskiego rodowodu listopadowe promocje w porównaniu z tymi zza oceanu są cieniutkie jak parzona minutę herbata. Król Friday okazał się nagi dzięki dyrektywie Omnibus. W latach poprzedzających wprowadzenie rzeczonego prawa sprzedawcy mogli zawyżać ceny produktów przed ogłoszeniem promocji, aby potem sprzedać towar w cenie „obniżonej”, ale niekoniecznie taniej. Dziś dzięki unijnej regulacji sklepy muszą pokazywać oprócz aktualnej ceny również najniższą cenę z ostatnich 30 dni. To dość skutecznie ostudziło zapał Polaków do rzucania się na promocje. Częściowo dlatego, że nagle promocje okazały się wcale nie tak korzystne lub wręcz żałośnie niewielkie.

Z badania przeprowadzonego wspólnie przez UCE Research i Grupę Offerista wynika, że już co czwarty polski konsument poszukuje obniżek cen o 40-50%. Co piąty według dziennika „Rzeczpospolita” oczekuje promocji rzędu 70% czy nawet 80%. Analitycy rynku wskazują jednak, że takie promocje zdarzają się niezwykle rzadko. Stracić na tym mogą sprzedawcy, którzy niejako sami ukręcili na siebie bat. Przez lata tworzyli pozory wielkich promocji, co było dalekie od prawdy. Obecnie, chcąc wyjść naprzeciw konsumentom, musieliby obniżyć ceny do poziomu, na którym nie tyle stracą, ile zarobią zbyt mało.

Badanie zlecone przez MediaMarkt pokazuje, że 74% Polek i Polaków zaplanowało promocyjne zakupy podczas czarnego piątku. Wśród respondentów w wieku do 25 lat chętnych na oferty promocyjne było aż 94%.

Nie można więc powiedzieć, że Polacy obrazili się na listopad pełen promocji. Jednak dziś, kiedy nie da się sztucznie zawyżyć ceny, bo klienci i tak o tym się dowiedzą, korporacje zaczęły szeroką współpracę z mediami. Przeglądarka Google Chrome ma wbudowaną funkcję Discovery – narzędzie, które podpowiada konkretne artykuły na podstawie historii wyszukiwania. Jeśli w ostatnim czasie oglądaliśmy w sieci jakieś produkty, to pomiędzy artykułami o polityce, sporcie i prognozami pogody zaczną wyskakiwać również „artykuły” lub „testy” dotyczące oglądanych niedawno sprzętów (np. produktów konkurencji z tej samej kategorii).

Dzięki unijnej regulacji sklepy muszą pokazywać oprócz aktualnej ceny najniższą cenę z ostatnich 30 dni.

W toku lektury często zaś okazuje się, że w takim materiale są linki do konkretnych sklepów.

Handlowcy mają problem

Na straży przestrzegania Omnibusa stanął Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, który patrzy na ręce handlowcom.

– W ciągu 12 miesięcy wpłynęło do nas ok. 100 skarg na szeroko pojęte promocje, zawyżanie cen czy niepokazywanie najniższej ceny z 30 dni przed obniżką. W dużej mierze zażalenia dotyczyły sklepów z elektroniką. Jeśli chodzi o promocje konkretnie związane ze świętem zakupowym Black Friday, dotarły do nas pojedyncze sygnały. W poprzednich latach było ich zdecydowanie więcej – informuje rzeczniczka prasowa UOKiK Kamila Guzowska.

Sprzedawcy musieli zatem bardzo stonować swoje działania i znaleźć inną strategię napędzania sprzedaży. Przeglądając reklamy przeróżnych produktów, można dostrzec, że w tym roku wszystkie kampanie „czarnych promocji” zachęcają konsumentów do pośpiechu. Wyznaczany jest niejako termin końca promocji, w którym trzeba się zmieścić. Króluje przekaz, że promocja trwa tylko do konkretnego dnia zamiast zachęty: „kup, zanim wyczerpią się zapasy”. Świetnym przykładem jest agresywna promocja wyprzedaży konsol do gier (idealny prezent świąteczny dla dzieci i dużych chłopców). Jeden z najpopularniejszych producentów odwrócił całą narrację, informując, że od 13 grudnia

LIST

Po raporcie MON na temat podkomisji smoleńskiej

Chociaż obie katastrofy – smoleńska i gibraltarska – są odległe w czasie i doszło do nich w różnych warunkach polityczno-militarnych, łączy je mgła nieodkrytych tajemnic. Jak to możliwe, że w Gibraltarze przeżył tylko kapitan samolotu, a niektóre ciała „wyparowały”? Jak to możliwe, że w Smoleńsku samolot znalazł się na poziomie pasa startowego w odległości ponad kilometra od niego i uderzył w brzozę? Nie zagadkowe jednoczesne wyłączenie się czterech silników czy mgła, lecz czynnik ludzki jest odpowiedzialny za dojście do tych katastrof i to nie podlega dyskusji. Zagrożenia meteorologiczne dla lotu do Smoleńska pojawiły się na długo przez starem Tu-154M z Warszawy, o czym wiedziała załoga, a także decydenci – dlatego start nastąpił z opóźnieniem. Uznano jednak, że jakoś to będzie, ale niestety stało się najgorsze. Dokumenty dotyczące Gibraltaru są do tej pory niedostępne, a Smoleńsk przekształcił się w religię, bo środowisko PiS stworzyło nadzwyczajny przebieg zdarzeń. Nawet opinie światowej sławy ekspertów nie są w stanie zmienić wiary osób przekonanych o zamachu. Tragiczne zdarzenia są nieuniknione i dlatego wymagają ciszy, zadumy i pojednania, a nie tworzenia podziałów i przerzucania odpowiedzialności. Niestety, podziały w społeczeństwie są kultywowane od lat, o czym świadczą kierowane sumieniem wypowiedzi prominentnych politykierów. Może jest to nasza cecha narodowa. Taki stan to symbol braku troski o dobro wspólne, czyli państwo.

PARADA KŁAMCÓW

Zbigniew Milewski

eprasa.pl 6f5983c5b5

cena wzrośnie o 400 zł, więc trzeba się pośpieszyć. Oficjalny sklep z klockami Lego zachęcał z kolei do stworzenia i zapisania sobie listy zakupów, zanim ruszą jakiekolwiek promocje.

– Znaczna część przedsiębiorców skorygowała dotychczasowe praktyki. Nadal jednak zdarza się, że w kierowanych do konsumentów informacjach wielkość obniżki jest obliczana nieprawidłowo. Czyli np. względem ceny regularnej lub innego punktu odniesienia. Przypominamy, że informacja o obniżce powinna dotyczyć najniższej ceny z 30 dni przed jej wprowadzeniem. Obserwujemy również problemy z czytelnością wywieszek cenowych. Urząd cały czas monitoruje przestrzeganie dyrektywy Omnibus. Prezes UOKiK prowadzi 17 postępowań wyjaśniających. Sześciu przedsiębiorców otrzymało zarzuty – mówi rzeczniczka prasowa UOKiK.

Główny zabójca planety

Sklepom nie pozostaje nic innego jak dawać największe rabaty na tzw. mało chodliwe produkty i końcówki serii. Mimo wszystko konsumpcja rozpędza się w ostatnich dwóch miesiącach roku. Nawet w obliczu inflacji, która wynosi 5%, nasza siła nabywcza rośnie. Według najnowszych danych GUS płace podnoszone są w tempie 10% rocznie. Polacy zaczęli jednocześnie zmieniać zachowania zakupowe. Także dane GUS dowodzą, że w tym roku konsumenci ostrożniej wydają pieniądze.

A jak to wszystko ma się do ekologii i zmian klimatu?

– Zachęca się nas do kupowania, kupowania i jeszcze raz kupowania. Black Friday to tylko preludium. Niedługo później są mikołajki, a potem Boże Narodzenie – najgorętszy czas zakupowy w roku. Od kilku tygodni obserwuję wysyp dekoracji świątecznych. Można kupić świąteczny kubek, dobrać do niego poszewki na poduszki, a nawet ściereczki. Święta obchodzimy każdego roku, ale czy za każdym razem potrzebujemy nowych dekoracji? Jak długo nam posłużą i kiedy trafią na wysypisko jak wiele innych rzeczy? – zastanawia się Marta Gregorczyk z Greenpeace Polska.

Kolejny problem to nadmiar rzeczy, które konsumenci gromadzą. W miejsce jednych ozdóbek pojawiają się drugie. Tak jak w przypadku tzw. jednorazowej mody, czyli ubrań, które wyrzuca się po sezonie, mamy mody na wystroje wnętrz zależnie od okazji. Dzisiaj to nie tylko Boże Narodzenie i Wielkanoc, ale również Halloween. Do tego dochodzą dekoracje mniej okazjonalne, czyli bibeloty, którymi ozdabia się mieszkanie w danej porze roku, a nie wyłącznie od święta.

– Już teraz mamy wszystkiego za dużo i ten nadmiar ląduje często na ogromnych wysypiskach śmieci. Dobrym przykładem jest moda, zwłaszcza ta w wydaniu ultrafast fashion. Jedna koszulka może kosztować kilkanaście złotych. Przemierza pół świata, żeby dotrzeć do Polski, zostawiając za sobą ogromny ślad węglowy i zanieczyszczone rzeki w Bangladeszu. Aby wyprodukować tylko ten jeden T-shirt, potrzeba 2,7 tys. litrów wody. Taka ilość wystarczyłaby jednej osobie do picia przez pięć lat. Koszulka niedługo później ląduje w koszu, bo po kilku praniach do niczego się nie nadaje. Później popłynie kontenerem do Ghany lub na ogromne wysypisko ubrań na pustyni Atacama w Chile. Hałdy ubraniowych śmieci są widoczne nawet z satelity – komentuje Marta Gregorczyk.

Nagle wyszło na jaw, że promocje nie są wcale tak korzystne, bywają wręcz żałośnie niewielkie.

Jak nie dać się ponieść promocjom

Polacy nie tylko uwielbiają promocje, ale też uważają się za mistrzów ich wyszukiwania. Nabywanie przecenionych produktów z gazetki to prawie sport narodowy, który uprawiają i młodsi, i starsi konsumenci. UOKiK doradza, jak nie wpaść w zakupowy szał w tym gorącym okresie, w którym każda sklepowa i internetowa witryna krzyczy do nas o wspaniałych promocjach.

Wspomniane odroczone spłaty to jedna z gorszych pułapek dla mniej rozważnych klientów. Podstawowe pytanie, które każdy powinien sobie zadać przed zakupem, brzmi: czy rzeczywiście czegoś potrzebuję, czy jedynie tego chcę z jakiegoś powodu (np. ekspozycji na reklamę). UOKiK zaleca także dobrze zaplanować budżet i zrobić listę naprawdę potrzebnych rzeczy. Niekiedy promocja jest wynikiem wyłącznie marketingu internetowego. Sklep opłaca kampanię reklamową w wyszukiwarkach, które podpowiadają nam, że dany produkt jest najtańszy w tym konkretnym sklepie. Warto jednak zawsze zweryfikować, czy aby nie jest to jedynie reklama, i sprawdzić cenę w innym sklepie.

Na koniec UOKiK podpowiada, że jednym z lepszych sposobów na urealnienie wydatków i kontroli nad nimi jest płacenie gotówką. Wydając w sklepie banknoty, widzimy, w jakim tempie pieniądze znikają. Odwiedzanie sklepów stacjonarnie ma jeszcze jedną, chociaż może mniej oczywistą zaletę, jeśli chodzi o pilnowanie wydatków. Musimy dźwigać siatki z zakupami, więc widzimy, ile tego już nakupiliśmy.

– Na każdym kroku jesteśmy bombardowani reklamami i przeróżnymi zachętami do zakupów. Obiecuje się nam lepsze samopoczucie, młodszy wygląd i zapełnienie każdej pustki. Nastrój może i się poprawi na moment, ale już wkrótce dociera do nas, że niewiele się zmieniło, że dzięki tej rzeczy wcale nie jesteśmy szczęśliwsi, nie odmienia naszego życia. Warto zadać sobie pytanie, czy istotnie czegoś potrzebujemy – podkreśla Marta Gregorczyk. – Czy jest sens poddawać się trendom, które zmieniają się szybciej niż kiedykolwiek w historii? Czy potrzebuję najnowszego modelu telefonu, skoro obecny działa bez zarzutu? Czy potrzebna jest mi kolejna para butów w szafie?

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f5983c5b5

Collegium aferzystów

Tej afery by nie było, gdyby rząd PiS nie zmienił zasad naboru do rad nadzorczych spółek skarbu państwa i nie wspierał oszusta od lewych dyplomów MBA

Andrzej Sikorski

Do 2016 r., aby zasiadać w radzie nadzorczej spółki skarbu państwa, trzeba było legitymować się odpowiednią wiedzą i wykształceniem. Taką rękojmię dawały: zdany egzamin państwowy organizowany przez ministra skarbu państwa, stopień doktora nauk prawnych lub ekonomicznych, wpis na listę adwokatów i radców prawnych, biegłych rewidentów lub doradców inwestycyjnych.

Przepustka do stanowisk

W listopadzie 2016 r. premier Beata Szydło skierowała do Sejmu projekt ustawy o zasadach zarządzania mieniem państwowym. W dokumencie, który miał uporządkować zarządzanie spółkami skarbu państwa po likwidacji Ministerstwa Skarbu Państwa zapisano, że członkami rad nadzorczych będą mogły zostać również osoby, które mają dyplomy MBA (Master of Business Administration).

W Polsce kilkadziesiąt uczelni organizuje studia MBA. Ich jakość jest zróżnicowana, a państwo nie kontroluje poziomu kształcenia. Niektóre szkoły zwęszyły niezły interes w masowej produkcji absolwentów MBA. Wystarczy zapłacić za kurs, który odbywa się zdalnie i trwa zaledwie kilka miesięcy. Tymczasem na renomowanych uczelniach, aby w ogóle dostać się na studia MBA, trzeba przejść selekcję. Przyjmowane są tylko osoby z minimalnym trzyletnim doświadczeniem zawodowym na stanowisku kierowniczym i biegle znające język angielski, które pomyślnie rozwiązały test kompetencyjny i zaliczyły rozmowę kwalifikacyjną. Prawdziwe studia MBA powinny trwać dwa lata i obejmować kilkaset godzin zajęć.

Otwierając drogę do rad nadzorczych posiadaczom dyplomów MBA, Beata Szydło w uzasadnieniu projektu ustawy napisała, że w ten sposób zostaną „podwyższone standardy nadzoru właścicielskiego, zarówno w obszarze doboru kadr, jak i formułowania oczekiwań wobec reprezentantów Skarbu Państwa", co było jawną kpiną. Jak wiadomo, intratne posady w spółkach dostało wielu nominatów partyjnych mających o zarządzaniu blade pojęcie.

PiS przepchnęło przez parlament ustawę „o zasadach zarządzania mieniem państwowym" w ciągu zaledwie trzech tygodni. Było to tempo szaleńcze, zważywszy, że należało znowelizować kilkadziesiąt innych aktów prawnych. Choć opozycja była przeciwko nowemu prawu, żaden poseł nie zwrócił uwagi na zapis o studiach MBA. 28 grudnia 2016 r. Andrzej Duda podpisał ustawę, która weszła w życie 1 stycznia 2017 r.

Szemrany naukowiec i politycy PiS

Zabiegi obozu rządowego zapewne bardzo ucieszyły Pawła C., teologa po studiach na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego i podyplomówce z pedagogiki na Papieskim Wydziale Teologicznym Bobolanum. Obrotny biznesmen (jest wspólnikiem w kilku firmach) w 2018 r. dostał zgodę Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego (ministrem był Jarosław Gowin) na utworzenie prywatnej uczelni oraz nadanie jej uprawnień do prowadzenia studiów pierwszego i drugiego stopnia z zarządzania. I tak w całej Polsce i za granicą zaczęły wyrastać filie i oddziały Collegium Humanum, a jesienią 2018 r. Paweł C. w towarzystwie mec. Jolanty Turczynowicz-Kieryłło (w 2020 r. była szefową kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy) uroczyście otworzył pierwszą edycję studiów MBA. W promocję uczelni bardzo zaangażował się europoseł PiS Ryszard Czarnecki, który brylował w towarzystwie rektora.

Wkrótce do Pawła C. zaczęły spływać listy gratulacyjne m.in. od Jarosława Kaczyńskiego, marszałek Sejmu Elżbiety Witek, ministra nauki i edukacji Przemysława Czarnka, ministra aktywów państwowych Jacka Sasina czy ministra w Kancelarii Prezydenta RP Piotra Ćwika. Dygnitarze państwowi byli zachwyceni Collegium Humanum i jego rektorem. Nikomu nie przeszkadzało, że kariera naukowa niespełna 40-letniego Pawła C. wyglądała mocno podejrzanie. Magisterium, doktorat, habilitację i profesurę zrobił o Kościele mariawitów. Doktorat obroniony na Wydziale Teologicznym Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie okazał się jednak plagiatem, habilitację i profesurę Paweł C. uzyskał na Słowacji, a do tego miał pięć tytułów doktora honoris causa przyznanych

Paweł C. przekształcił podległą sobie uczelnię w dochodowy biznes korupcyjny. W proceder przestępczy zaangażowani byli też jego współpracownicy.

eprasa.pl 6f5983c5b5

W promocję uczelni bardzo zaangażował się europoseł PiS Ryszard Czarnecki, który brylował w towarzystwie rektora Pawła C.

przez prowincjonalne uniwersytety rosyjskie, ukraińskie i słowackie.

Proceder przestępczy

Mając wsparcie polityczne najważniejszych osób w państwie, rektor Collegium Humanum czuł się nietykalny. W jego szkole można było nie tylko tanio i szybko uzyskać dyplom MBA (studia trwały ledwie kilka miesięcy), ale też w ramach tzw. indywidualnego toku kupić wymarzony dokument. W ten sposób Paweł C. przekształcił podległą sobie uczelnię w dochodowy biznes korupcyjny. Rektor nie działał sam, w proceder przestępczy zaangażowani byli także jego współpracownicy, m.in. prorektorzy Collegium Humanum Iwona G. i Michał J., jego żona Katarzyna J. (zajmowała się rekrutacją studentów), kanclerz uczelni Michał G. oraz Ilona A., która była kwestorką. Wszyscy oni mieli działać w zorganizowanej grupie przestępczej.

Paweł C. nie tylko brał łapówki, ale również je wręczał. Artur G., dyrektor biura Polskiej Komisji Akredytacyjnej (opiniuje ona utworzenie uczelni i przyznaje uprawnienia do prowadzenia studiów), miał przyjąć od rektora Collegium Humanum co najmniej 450 tys. zł. Marta G., żona Artura G., usłyszała zarzut przyjęcia korzyści majątkowej znacznej wartości w łącznej kwocie co najmniej 276 tys. zł oraz uzyskania korzyści osobistej w postaci zatrudnienia w Collegium Humanum w zamian za załatwianie pozytywnych decyzji Polskiej Komisji Akredytacyjnej.

Zdaniem prokuratury Paweł C. w ramach łapówki opłacił też europosłowi PiS Karolowi Karskiemu raport sondażowy – na kwotę niecałych 15 tys. zł – oraz bilbordy wyborcze do Parlamentu Europejskiego, te na ponad 22 tys. zł. W zamian Karski miał się powoływać „na wpływy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w celu uzyskania pozytywnych opinii na prowadzenie filii Collegium Humanum w Pradze, Bratysławie i Andiżanie, a w przypadku filii na Słowacji pozytywnego rozpatrzenia sprawy w przedmiocie wydania opinii na kierunku pedagogika".

Europoseł Ryszard Czarnecki także wykorzystał swoje wpływy w MSZ, aby umożliwić Pawłowi C. otwarcie fili w Uzbekistanie. W zamian dostał 92 tys. zł łapówki. Czarnecki usłyszał w prokuraturze zarzuty płatnej protekcji połączonej z korupcją oraz prania brudnych pieniędzy. Takie same zarzuty postawione zostały żonie polityka, Emilii H., która działała wspólnie i w porozumieniu z mężem. Kobieta została fikcyjnie zatrudniona (jej wynagrodzenie było łapówką) w Collegium Humanum i dostała dyplom MBA, choć nie uczestniczyła w zajęciach.

W śledztwie dotyczącym Collegium Humanum zarzuty usłyszało już ponad 50 osób. Są to m.in. organizatorzy procederu przestępczego, ci, którzy wręczali i brali łapówki, pośrednicy i naganiacze podżegający do popełnienia przestępstwa, czyli kupna dyplomu. Paweł C. (prokuratura zarzuca mu popełnienie kilkudziesięciu przestępstw) po dziewięciu miesiącach pobytu w areszcie i wpłaceniu 2 mln zł kaucji opuścił więzienne mury. Ponieważ były rektor poszedł na współpracę i składa obszerne zeznania, można się spodziewać, że lista podejrzanych będzie się wydłużać.

Ręka rękę myje

Wiele osób przyjęło z niedowierzaniem informację o zatrzymaniu przez

eprasa.pl 6f5983c5b5

agentów CBA prezydenta Wrocławia Jacka Sutryka. Zdaniem prokuratury włodarz miasta za pośrednictwem Mariana D. wręczył łapówkę rektorowi Collegium Humanum w zamian za dyplom MBA. Tą łapówką miały być 9,5 tys. zł (przekazane przelewem) oraz umowa z Pawłem C. na doradztwo dla miejskiej spółki. Według prokuratury umowa była fikcyjna, rektor żadnej pracy nie wykonywał, mimo to dostał 75 tys. zł. Oprócz zarzutu korupcji Jackowi Sutrykowi postawione zostały zarzuty oszustwa. Dzięki dyplomowi MBA zasiadał w radach nadzorczych trzech spółek, dorobił więc dodatkowo do swojej prezydenckiej pensji 230 tys. zł.

Wspomniany Marian D. to bardzo ciekawa postać. Ten zasłużony działacz sportowy, m.in. wiceprezydent Międzynarodowej Federacji Sportu Akademickiego, zasiadał we władzach Collegium Humanum (był członkiem konwentu). Jest dobrym znajomym Jacka Sutryka i szefem rady nadzorczej portu lotniczego we Wrocławiu, gdzie głównym akcjonariuszem jest miasto. W 2019 r. Marian D. został odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Oprócz zarzutu wręczenia łapówki rektorowi mężczyzna usłyszał też sześć zarzutów „polegających na poświadczaniu nieprawdy w dokumentach dotyczących ukończenia studiów podyplomowych przez inne osoby w zamian za przyjmowanie korzyści majątkowej".

Dyplom MBA kupił – za trochę ponad 10 tys. zł – Marek S., lekarz kardiolog, były już ekspert Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP. W tym przypadku załatwiaczem miał być Zbigniew D., wykładowca w Collegium Humanum i pełnomocnik w zakresie reprezentowania uczelni w obszarze studiów podyplomowych. W tej sprawie zarzuty usłyszała też Iwona O., była prezes uzdrowiska w Rymanowie-Zdroju, która miała podżegać do przestępstwa i skontaktować Marka S. ze Zbigniewem D.

Pośrednikiem w załatwianiu trefnych dyplomów MBA miał być także pisowski komendant Straży Ochrony Kolei Józef H., który został zatrzymany przez CBA w trakcie urzędowania w lutym 2024 r. Zaraz po postawieniu zarzutów Józef H. uciekł na emeryturę. O komendancie zrobiło się głośno, gdy pod jego kuratelą spektakularną karierę w SOK zrobił brat Sebastiana Chwałka, który za rządów PiS był wiceszefem w MSWiA i w MON oraz prezesem Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Otóż Józef H. zatrudnił w SOK Mateusza Chwałka, przez wiele lat bezrobotnego, i w krótkim czasie wbrew wewnętrznym przepisom wywindował go na wicekomendanta w Komendzie Regionalnej SOK w Kielcach. W nagrodę Józef H. zasiadł w radzie nadzorczej spółki PIT-Radwar, podlegającej zarządzanej przez Sebastiana Chwałka PGZ. Audyt przeprowadzony po rządach Józefa H. w SOK wykazał wiele nieprawidłowości. Między innymi wydano 100 tys. zł na imprezę, która była wiecem wyborczym wpływowych polityków PiS – Andrzeja Adamczyka i Marka Kuchcińskiego.

Kard. Kazimierz Nycz na inauguracji roku akademickiego 2023/2024.

Kto będzie następny?

Choć śledztwo w sprawie Collegium Humanum trwa już wiele miesięcy, nadal jest rozwojowe i wielowątkowe. Według doniesień medialnych z uczelni mogło wypłynąć nawet tysiąc trefnych dyplomów, a to oznacza co najmniej tysiąc osób z zarzutami – tych, które dawały łapówki, plus licznych pośredników.

Związki Pawła C. z politykami PiS, w tym z członkami rządu, sprawiły, że do Collegium Humanum po dyplomy pielgrzymowali ludzie kojarzeni z partią Jarosława Kaczyńskiego, ale nie tylko. Studia kończyli tam również politycy, samorządowcy oraz działacze partyjni związani z PO i PSL. Afera może uderzyć rykoszetem w Rafała Trzaskowskiego w trakcie kampanii prezydenckiej. Okazuje się, że podejrzane dyplomy ma wielu działaczy warszawskiej Platformy – burmistrzowie, radni i urzędnicy ratusza. Na tej niechlubnej liście są nawet wiceministra rodziny, pracy i polityki społecznej Aleksandra Gajewska i ministra w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Magdalena Roguska. Ta druga jest skarbniczką warszawskich struktur PO i bliską współpracowniczką Marcina Kierwińskiego, którego Donald Tusk ściągnął z Parlamentu Europejskiego, aby jako minister odbudowywał tereny dotknięte powodzią.

Pal licho polityków. Polska już nie takie afery z ich udziałem widziała. Jednak wśród absolwentów Collegium Humanum są urzędnicy ministerstw i instytucji państwowych, a także kilkudziesięciu dowódców wojskowych z generalskimi szlifami, wysokich rangą policjantów i strażaków, w tym komendant główny Państwowej Straży Pożarnej Mariusz Feltynowski. Za rządów PiS był on rektorem-komendantem Szkoły Głównej Służby Pożarniczej (przemianowanej w 2023 r. na Akademię Pożarniczą) i podpisał z Collegium Humanum porozumienie o współpracy, na mocy którego dowódcy straży pożarnej mieli „rozwijać kompetencje zarządcze", czyli kończyć kursy MBA. Gdyby się okazało, że mundurowi, którzy przysięgali wiernie służyć Rzeczypospolitej, przestrzegać prawa, stać na straży konstytucji, strzec honoru, godności i dobrego imienia służby, za łapówki kupowali dyplomy, świadczyłoby to nie tylko o degrengoladzie elit, ale i o upadku państwa.

Andrzej Sikorski

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, MICHAŁ ŻEBROWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 6f5983c5b5

Z Galicji

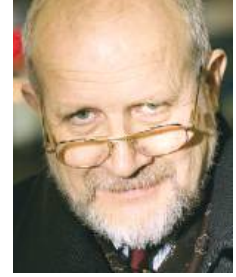

Jan Widacki

Mamy kandydatów na prezydenta

No to wszystko już jasne. Poza Lewicą wszystkie partie pokazały już swoich kandydatów na prezydenta Rzeczypospolitej, którego wybierać będziemy w maju.

W Koalicji Obywatelskiej od pięciu lat niekwestionowanym kandydatem na prezydenta był Rafał Trzaskowski. W ostatnich tygodniach jednak ogłoszono partyjne prawybory, w których obok Trzaskowskiego kandydował Radosław Sikorski. Zachodzili w głowę różni spece od polityki i komentatorzy, po co te prawybory. Złośliwi mówili, że po to, aby spuścić trochę powietrza z nadętego ambicją Sikorskiego, z obawy, aby go nie rozerwało. Aczkolwiek troska o całość cielesnej powłoki ministra spraw zagranicznych nie wydaje się wystarczającym powodem do organizowania prawyborów. Inni (też w sumie złośliwi) mówili, że Donald Tusk chciał w ten sposób upokorzyć Sikorskiego, dać mu lekko po nosie, aby go nie zadzierał i poznał swoje miejsce w szeregu.

Tak czy inaczej Rafał Trzaskowski z miażdżącą przewagą prawybory wygrał i znów, po krótkiej przerwie, jest kandydatem na prezydenta. Aby było dziwniej, przed wyborami kandydaturę Sikorskiego poparł… Aleksander Kwaśniewski, który z jakichś powodów wolał prawicowego Sikorskiego niż centrolewicowego Trzaskowskiego. Wszystko jedno, przynajmniej to mamy już za sobą.

W PiS jeszcze dziwniej. Tam kandydatów było wielu, chętnych do bycia kandydatem jeszcze więcej, miały być prawybory, ale ostatecznie do nich nie doszło, zastąpił je wybór dokonany przez prezesa. A ten wybrał prezesa IPN Karola Nawrockiego. Nie dość, że go wybrał, to jeszcze oznajmił, że nie jest to kandydat PiS, tylko kandydat obywatelski. W końcu prezes Kaczyński to też obywatel, a to on wybrał. Wszystko się zgadza.

O Nawrockim jako polityku nikt dotąd nie słyszał. Jako o prezesie od pamięci o „żołnierzach wyklętych", lustracji i ekshumacji, owszem, nawet sporo. Wybrany na kandydata przez prezesa (w dodatku jednomyślnie!) wygłosił w krakowskiej hali Sokoła dość drętwe przemówienie, które ponoć napisali mu Kurski z Bielanem. Wynikało z niego, że on, prezes instytucji od dzielenia Polaków, tym razem będzie ich łączył. A jeśli pod tym światłym kierownictwem i na jego zasadach się nie połączą, to tym gorzej dla nich.

Wcześniej jeszcze na kandydata zgłosił się marszałek Sejmu Szymon Hołownia. Ten przynajmniej wybrał się sam.

Kandydatem Konfederacji jest Sławomir Mentzen. Nawiasem mówiąc, prezes partii Nowa Nadzieja. Słyszał ktoś o tej partii? To taka partyjka skonfederowana w ramach Konfederacji. Mentzen parał się różnymi zajęciami, prowadził kantor, zrobił doktorat z ekonomii, a od kilku lat produkuje piwo. Osobiście żałuję, że Konfederacja nie wystawiła Grzegorza Brauna. Przynajmniej byłoby śmieszniej. A strażacy mieliby w tym sejmowym strażaku jakiś wzór osobowy. No ale nie został wystawiony. Trudno.

Wśród kandydatów na prezydenta mamy aż dwóch browarników. Gotowi są nawarzyć Polakom piwa.

Tym, którzy w wyborach prezydenckich oczekiwaliby jednak czegoś zabawnego, też stanie się zadość. Będzie kandydował Marek Jakubiak. Aktualnie przedsiębiorca browarniczy, w przeszłości żołnierz zawodowy w stopniu starszego chorążego. W wojsku kariery nie zrobił, jako browarnik owszem. Dostał nawet Medal Złotego Chmielu. Poza tym homofob, co uznał nawet sąd w wyroku. Jakubiak do polityki wszedł, kandydując do Sejmu z listy Kukiz'15. Uważa się za polityka dużego formatu, choć jest w tym poglądzie osamotniony. Lubi media, w których potwierdza, że jest zadowolony z siebie. Kiedyś kandydował nawet na prezydenta Warszawy, uzyskując aż… 2,99% głosów. W wyborach na prezydenta Rzeczypospolitej liczy na lepszy wynik. W każdym razie wśród kandydatów na prezydenta mamy aż dwóch browarników. Gotowi są nawarzyć Polakom piwa. Ale szanse na wybór raczej mają marne. Więc nie nawarzą.

Na koniec Lewica. Ta cierpi na nadmiar kandydatek i nie wie, na którą się zdecydować. Ale jedno jest pewne, w wyborach wystawi kobietę. Sytuacja na Lewicy jest trudna, bo od niedawna Razem jest osobno. Nawet tu o logikę trudno. ■

SKLEP PRZEGLĄDU
ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI
sklep.tygodnikprzeglad.pl
Bogata oferta i najlepsze ceny:
książki | e-booki | prenumerata elektroniczna | subskrypcja | Zdanie
Przegląd

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f5983c5b5

My, Polska endecko-ludowa (cz. 2)

Gdyby w partii nie nastąpiła gigantyczna zmiana mentalności, nie doszłoby do sierpnia 1980 r.

Rozmawia Robert Walenciak

(Ciąg dalszy rozmowy z nr. 48)

Gdy mówimy o pamięci społecznej, widać, że jedne sprawy się pamięta, a o drugich zapomina. Ta pamięć też się zmienia. 20 lat temu Jan Paweł II był święty, teraz jest inaczej. „Wyklęci" teraz są ważniejsi niż Armia Krajowa. Dlaczego to się zmienia? Ktoś tym zarządza?

– Różne grupy mają różną pamięć. Kościół ma swoją pamięć, prawica swoją, zresztą z różnymi odmianami. Bo jednak ONR-owcy czy konfederaci mają inną pamięć niż, nazwijmy to, prawica umiarkowana. Swoją pamięć mają też lewica i feministki, i ludowcy, i liberałowie. Rozmaite pamięci

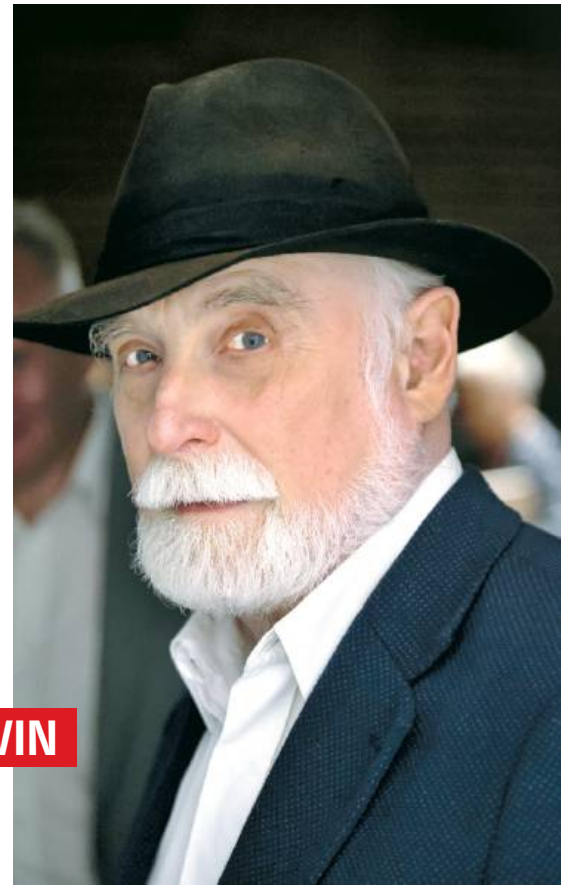

PROF. STEFAN CHWIN

tworzone są przez konkurujące ze sobą grupy. Wynika to z naturalnego w polityce pragnienia dominacji. Jakaś grupa chce innym grupom narzucić swoją pamięć, tak żeby one tę pamięć przyjęły jako własną. Jeśli przyjmą, uznają tym samym prymat tej konkretnej grupy, czyli ulegną jej w sensie psychologicznym. Utracą swoją tożsamość, której fundamentem jest odrębna, własna wizja przeszłości.

Pamięć to władza

Jeżeli jakaś grupa nie ma swojej pamięci, sama spycha się do drugiej ligi?

– Jeśli ma się wyrazistą własną pamięć, za jej pomocą można legitymizować swoje aktualne działania. Przykład: w Gdańsku pod pomnikiem Poległych Stoczniowców część czci datę 4 czerwca 1989 r., a inni absolutnie tego nie robią. Jakby naprzeciwko siebie stanęły dwa obce narody! Jedni tą datą pogardzają jako symbolem zdrady narodowej. Drudzy mówią, że to data autentycznego otwarcia, nowej szansy. Spotkałem też ludzi narzekających, że nie przeprowadziliśmy transformacji ustrojowej na sposób rumuński. Bo zamordowanie polskiego dyktatora, tak jak zamordowano Nicolae Ceaușescu, to dopiero byłaby transformacja prawdziwa. Tak samo z katastrofą smoleńską, która jest różnie pamiętana przez różne polskie grupy. Czy te różne pamięci kiedyś dojdą do porozumienia? A jakim cudem miałyby dojść?

Chyba że zapomną.

– Uważam, że życie społeczne polega niestety na tym, że jedni chcą dominować nad drugimi.

Że nie potrafią się dogadać?

– A po co się dogadywać? Chodzi o to, żeby dominować. Nie jestem zdania, że głównym celem dominacji politycznej jest zdobycie ziemi, kobiet i złota. Znacznie ważniejszą sprawą jest możliwość kształtowania świata, to znaczy poczucie, że o czymś naprawdę się decyduje. Kiedy ktoś zdobywa władzę, ma swój projekt zorganizowania świata. Możliwość choćby częściowego realizowania takiego projektu daje wielką satysfakcję, bo bardzo mało ludzi taką okazję ma. Dowodem tego są politycy, którzy podsumowują swoje życie słowami: „No tak, różne rzeczy się nie udały, ale, o, to zostało zrobione przeze mnie!". Chodzi o mistykę śladu w potoku przemijających rzeczy. Oto ja – inaczej niż większość ludzi, którzy nic nie znaczą – zdobyłem taką pozycję, że mogę zostawić swój

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 6f5983c5b5

ślad. W formie nowej organizacji życia, edukacji, pamięci narodowej, gospodarki, wojska itd.

Mówi się, że politycy dążą do władzy przede wszystkim, żeby się nachapać.

– To wytłumaczenie dla prostych ludzi. Bo znacznie niebezpieczniejsi są ci przejęci możliwością realizacji swojego projektu urządzenia świata.

Za pierwszego rządu Jarosława Kaczyńskiego przychodzi do niego dziennikarz z prasy prawicowej, rozmawiają, a Kaczyński wciąż niezadowolony. „Przecież rządzicie", mówi dziennikarz. A on na to: „Fakt, rządzimy, ale nie panujemy". Panować nad umysłami, emocjami – to było jego marzenie.

– Nie tylko prawica ma takie marzenie, także lewica i inni. Panować, czyli być sprawczym opiekunem ludzi, zmieniać ich, formować dla ich dobra. Nie wykonywać cudzych poleceń, tylko samemu wydawać polecenia innym. Zmieniać świat wedle własnego pomysłu. Paradoks historii polega na tym, że prawie wszyscy ludzie uważają, że czynią dobro. Do kogokolwiek się zbliżysz, ten chce cię przekonać, że miał najlepszy pomysł na urządzenie świata. Tymczasem te różne najlepszości są tak wrogie wobec siebie, że kończy się rozlewem krwi.

Jarosław Marek Rymkiewicz uważał, że musi lać się krew, bo wtedy się tworzy prawdziwy naród, który ma swoich bohaterów.

– Ktoś może sobie mistycznie majaczyć o przelewaniu krwi, ale jeśli zdarzy się realna sytuacja zagrożenia? Wtedy jest problem, co robić. Przypuszczam, że jeśli stanie się z nami coś niedobrego, wówczas nastąpi to, co na Ukrainie – natychmiast ucieknie z Polski na Zachód 10 mln ludzi, żeby uniknąć przelewania własnej krwi. Przecież z Ukrainy też uciekło 10 mln ludzi, może więcej. Ta ucieczka jest największym sukcesem aktualnej polityki rosyjskiej. Bez żadnych akcji „czyszczenia terenu" teren sam się oczyścił. Przypuszczam, że w Polsce może być podobnie. Niektórzy bardziej zasobni ludzie w rozmowach pytają mnie: „Już kupiłeś dom w Portugalii?". Słyszał pan takie pytania?

Słyszałem.

– Hiszpania, Portugalia, koniec świata; oni sobie wyobrażają, że jak wyjadą, to żadna rakieta tam nie doleci.

Tłum ci wytłumaczy

W „Wolności pisanej po Jałcie" zauważał pan, że Stanisław Barańczak czuł się rozgoryczony postawą Polaków wobec tych, którzy sprzeciwiali się władzy. To jego słowa: „Tłum ci wytłumaczy". Że naród tak właśnie wygląda: tu Święta Panienka, posążek Piłsudskiego na biurku, na ścianie Wojciech Kossak, a tu strach przed władzą i dajcie mi spokój, nie chcę się mieszać w te sprawy.

– Sytuacja dysydentów we wszystkich krajach socjalistycznych była podobna. Stanowili niewielką mniejszość, a ludzie patrzyli na nich ze zdziwieniem, lękiem, obawą, nawet z politowaniem, że niepotrzebnie się narażają. Podobne rzeczy robi się dziś w Rosji z kategorią tzw. innoagentów. To powtórzenie tamtego chwytu – organizuje się prawną i społeczną alienację tej grupy.

> Życie społeczne polega niestety na tym, że jedni chcą dominować nad drugimi.

Wypchnięcie poza społeczeństwo, łatka dziwaków, obcych, niebezpiecznych.

– Dziś podręczniki szkolne wyolbrzymiają znaczenie grup dysydenckich w PRL. Te z pewnością miały znaczenie moralno-pedagogiczne. Podtrzymywały ducha oporu, rozbudzały oczekiwania.

Ale władzy udało się zepchnąć je na margines.

– Pamiętam, jak zachowywały się załogi fabryk w marcu 1968 r. Na wiecach popierających władzę wykrzykiwano hasła wymierzone w studentów i paru opozycjonistów. Zaczynałem wówczas studia. To było moje przeżycie pokoleniowe. Barańczak był moim rówieśnikiem, znaliśmy się wtedy i chyba dobrze się rozumieliśmy. On nie miał takich złudzeń jak niektórzy endecy, wyobrażający sobie, że naród polski jest wiecznie zbuntowanym Chrystusem narodów. Nie wierzył w takie rzeczy. Uważał, że dysydenci są grupką samotnych, odważnych ryzykantów.

A przerażony ich odwagą naród w swojej masie trzymał się od nich z daleka.

– Ale stał się cud, że jednak PRL-owska władza ich nie wymordowała. Bo gdyby to było w czasach stalinowskich, Barańczak w ciągu jednego dnia trafiłby na Rakowiecką, miałby cichy proces i wiadomo, jak to by się skończyło.

Bo to już była niestalinowska władza.

– Uważam za wielki błąd historyków, że zwykle lekceważą historię wewnętrzną partii komunistycznej w Polsce po 1956 r. Nie ma dla niej miejsca w popularnych podręcznikach. A przecież, gdyby w partii nie nastąpiła gigantyczna zmiana mentalności, nie doszłoby do sierpnia 1980 r. W stalinizmie niewyobrażalna była sytuacja, że wicepremier rządu komunistycznego jedzie do miasta na północy Polski i prowadzi negocjacje z jakimiś, za przeproszeniem, strajkującymi robociarzami! W latach 70. w PZPR wyłoniła się nowa formacja, która nie stawiała się Moskwie, ale równocześnie straciła wiarę, że naśladowanie modelu sowieckiego doprowadzi Polskę do raju. Ta wiara przeminęła bezpowrotnie z pokoleniem stalinowskim.

I nie było już mowy o powrocie do Polski sprzed 1956 r.

– Dlatego pojawili się tacy ludzie jak Gierek, który prowadził politykę tolerancji – bardzo ograniczonej, ale tolerancji – dla różnych grupek opozycyjnych. Były oczywiście represje, zdarzały się rzeczy okropne, ale prawie wszystkie te grupy jakoś przetrwały. Uważam, że to sprawa niedoceniana i że „Przegląd" również o tym nie pisze – jak się zmieniała partia, jak byli niepodobni do siebie ci z pokolenia Kwaśniewskiego i ci z pokolenia Romkowskiego, Fejgina, Bermana… Przecież to była ta sama partia. Tak samo się nazywała. To bardzo ciekawa sprawa.

eprasa.pl 6f5983c5b5

Jak z krwawego stalinizmu, który też – dodajmy – był w Polsce inny niż w krajach sąsiednich, wykształciła się taka formacja. A to jest i w edukacji szkolnej, i w mediach całkowicie pomijane.

Błąd Herberta

Różni publicyści i politycy mówią o Polsce Ludowej, że tak samo było w 1951 r. i w 1988.

– Ja to nazywam błędem Herberta. Bo Herbert konsekwentnie do końca swojego życia upierał się przy tym, że wszystkie zmiany po 1956 r. były pozorne, że trwa stalinizm i koniec. Tymczasem stalinizm nie pozwoliłby np. na taki rozkwit polskiej kultury, jaki miał miejsce w latach 60. i 70. Gdy się mówi o polskiej szkole filmowej, to są szczyty światowej sztuki. Polski teatr tamtego czasu! Nazwiska reżyserów, przedstawienia, „Dziady" Swinarskiego! Mówimy o klasyce sztuki współczesnej. Oczywiście nie uważam, że wtedy było lepiej niż teraz. Umiar należy zachować. Niemniej jednak przeginanie w drugą stronę i robienie z Gomułki czy z Gierka krwawych siepaczy to przesada.

Pana ojciec mówił: „Widzisz tłum? Wracaj do domu. Nawet się nie interesuj, co tam się dzieje".

– Nie tylko mój ojciec tak mówił. Julian Kornhauser napisał wiersz „Jak zobaczysz tłum, wracaj szybko do domu", bardzo krytyczny i wobec tłumu, i wobec tej zasady. Mój ojciec po wszystkich przejściach okupacyjnych mówił: „Wyjdziesz na ulicę, zostaniesz kaleką albo zginiesz, a świat ani drgnie". Gdybyśmy wszyscy przyjęli taką zasadę, nic by się nie zmieniło.

Raz się udało.

– Czasem się udaje. Ale ja się nie radowałem w sierpniu 1980 r., tak jak wszyscy. Pod wpływem ojca, który od razu, pierwszego dnia, 14 sierpnia, powiedział: „Słuchaj, ja wiem, jak to się skończy. Oni już teraz kompletują listy tych, którzy organizowali ten strajk, zaczekają dwa, trzy miesiące i zrobią to, co zawsze". Ale moi koledzy chcieli wierzyć, że nastąpiła radykalna zmiana świata, której nie da się cofnąć, i byli zaskoczeni, że nagle stalowa ściana zasunęła się. 13 grudnia 1981 r.

W ten sposób milionom Polaków Jaruzelski zabrał ich świat?

– Jaruzelski? Jedną z twardych prawd polskiej pamięci zbiorowej do dzisiaj jest to, kto wprowadził stan wojenny. W 2008 r. napisałem do „Gazety Wyborczej" artykuł „My, Ablowie czyści jak łza", w którym stwierdziłem, że stanu wojennego nie wprowadził żaden gen. Jaruzelski. On go tylko ogłosił. Stan wojenny wprowadziło 70 tys. poborowych, którzy wykonali wszystkie polecenia generała. Wśród nich było też sporo członków Solidarności powołanych do wojska.

> Paradoksem historii jest to, że prawie wszyscy ludzie uważają, że czynią dobro. A kończy się rozlewem krwi.

Zepsuję humor lewicy

W ten sposób zepsuł pan humor tysiącom zwolenników Solidarności, odbierając im ich osobisty obraz świata.

– Chętnie zepsuję również humor lewicy. Poważną kwestią, której nie chcecie przemyśleć, jest to, że lewica ma dziś tak mikroskopijne poparcie. Ktoś powinien wami potrząsnąć. Owszem, doceniam szlachetną obronę praw mniejszości. Ale w ten sposób nie wygrywa się wyborów! W moim przekonaniu prawdziwa lewica to formacja, która przede wszystkim toczy walkę o prawa pracownicze. I to taką, że robi po prostu grandę. Głośno wychodzi na ulice, organizuje potężne strajki, także w korporacjach. A ja mam wrażenie, że obecna lewica to grupka zradykalizowanych studentów, która sama się skazuje na lewicowe getto. Ale ktoś im o tym mówi?

Wszyscy wokół im to mówią.

– To dlaczego oni nie biorą tego pod uwagę? Przecież sami ciągną się na dno! Robienie w społeczeństwie katolickim awantury wokół małżeństw homoseksualnych jest aktem samobójczym. I jeszcze forsowanie tego na zasadzie szantażu politycznego? Próbując wymusić na Platformie, która jest partią liberalno-chadecką, ustawowe usankcjonowanie radykalnych zmian obyczajowych? To szykowanie klęski globalnej, czyli wygranej PiS. Nie rozumiem tego. Jak się gada z tymi ludźmi, nic do nich nie przemawia! Tam panuje jakiś fanatyzm ideologiczny.

A może brak wiedzy, brak wyczucia? Weszli w te gry polityczne i uważają, że muszą trwać przy swoim, że jak odpuszczą, stracą nawet to, co mają. Są niewolnikami swoich małych baniek. Ich doświadczenie z miejsca pracy też jest nieduże.

– Zderzenie z miejscem pracy jest fundamentem doświadczenia lewicowego. Mamy tyle bardzo bolesnych rzeczy w relacjach pracownik-pracodawca, gdzie ten pierwszy jest po prostu niczym. Może więc warto byłoby poświęcić się i budować to, co na Zachodzie – silne lewicowe związki zawodowe, które potrafią potrząsnąć całym krajem. Bo u nas elementy programu lewicowego zręcznie przejmuje prawica, włącza do swojej maszynerii wyborczej i wygrywa wybory! Główną sprawą jest to, żeby pracownik miał poczucie, że ktoś za nim stoi, jakaś siła, która naprawdę może poprawić jego sytuację. Że nie można nim pomiatać, upokarzać go, eksploatować ponad miarę. Że należy mu zapewnić dobre warunki pracy. Tym lewica powinna się zajmować, ale panie z lewicy uważają, że to poniżej ich poziomu.

Za to odważnie walczą o prawo do aborcji.

– Paradoks polega na tym, że duża część elektoratu pisowskiego to kobiety, które, głosując na PiS, same głosują przeciwko prawu do aborcji.

A lewica nie potrafi do nich dotrzeć.

– Lewica studenckiej kontestacji lubi rozmaite akcje, szczególnie takie, które mają charakter szyderczo-bluźnierczy, prowokacyjny. Ale jak tu z prowokacyjnymi bluźnierstwami iść do kobiet PiS, żeby je do siebie przekonać?

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f5983c5b5

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Figuranci demokracji

Zaczęło się. Musiało się zacząć. Tak to już jest z wyścigami. Zawsze mają start, przeważnie metę, wynik, rezultat, sukces lub porażkę, swoich pewniaków i farciaków, faworytów i niedoszacowanych, zasłużonych i przypadkowych. Problem polega na tym, że demokracja nie jest dyscypliną sportową. A może już jest? Właściwie zasadne wydaje się nawet pytanie, czy wybory prezydenta w kraju takim jak Polska są jeszcze zjawiskiem politycznym, czy już wyłącznie marketingowo-sprzedażowym. Jak w USA, tylko wciąż taniej niż tam.

Znamy już nazwiska kandydatów dwóch głównych sił polityczno-partyjnych. Żaden z nich nie jest liderem politycznym własnej formacji. Bliskie prawdy absolutnej jest stwierdzenie, że raczej obrazują antypody swoich liderów, choć bardziej zdecydowanie uwaga ta dotyczy pisowskiego pomazańca, Nawrockiego. Gdyby zrobić test wzrokowy, jak w niektórych zabawach określających inteligencję, i postawić w jednym rzędzie Jarosława Kaczyńskiego, Przemysława Czarnka, Mariusza Błaszczaka, Beatę Szydło i Karola Nawrockiego, a potem zapytać, który element nie pasuje, nie byłoby żadnej wątpliwości, że to obecny szef IPN. Im bardziej się różni od liderów albo ich akolitów, tym lepiej. I jeszcze nazwanie go przez najbardziej partyjniacką polską partię polityczną kandydatem obywatelskim! Wilk jest owcą! Złodziej sędzią! Maluda wielkoludem! Murarz piekarzem! Doktor nauk robotnikiem!

Od kilku dni już jestem osaczony przez Nawrockiego, o którym nigdy niczego wiedzieć nie chciałem. A teraz wiem, że wychowuje pasierba (dobrze wypadł na prezentacji produktu: „Tata na prezydenta"), że ma źle dobrane klapy w marnej marynarce, że boksuje, że intrygant, że lubi najbardziej takie słowa jak: obóz patriotyczny, polskie wartości, zamach smoleński, Chrystus. A to dopiero początek, kampania formalnie nie ruszyła. Nie mogąc wystawić przywódców partii, gdyż ci mają za duży negatywny elektorat, są za „starzy", nie znają języków obcych, nie boksują i gardzą ludźmi z „podwórek", PiS wystawia podróbkę Andrzeja Dudy. Nie lubiąc Szymborskiej, choć pisowcy cenią wszystko, co polskie, zapewne nie słuchają jej słów: „Nic dwa razy się nie zdarza". Mogliby pamiętać przynajmniej o Heraklitejskim: „Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki".

Ale to wszystko mogłoby ważyć, gdybyśmy mieli do czynienia z uprawianiem polityki. Tymczasem mamy kampanię sprzedażową nieznanego produktu, z którego fachowcy od sprzedaży wszystkiego zrobią produkt niezbędny, wymarzony. Wszystko jest kwestią kasy, środków i braku hamulców etycznych. I tak to działa. Gdzie indziej i także nad Wisłą. Taki jest współczesny świat – pogódźmy się z tym.

Sami się pogódźcie. Tak być nie musi, nie powinno, nie będzie. Daliśmy się zapędzić w model demokracji, która jest areną i widownią cyrkową. Na arenie albo lwy, albo gladiatorzy. I który wojownik przeżyje, będzie cesarzem. Abstrahując od tego, że czas cesarzy minął, od zawsze byłem przeciwnikiem samej instytucji prezydenta – z minimalnego dystansu widać, że tak wyłaniani kandydaci są marionetkami, udawaczami, ale opakowanie mają cokolwiek bardziej jadalne. Właściwie ten styl wyłaniania kandydatów na „najwyższe stanowisko w Polsce", owej „głowy państwa", jest bezmyślnym spektaklem reklamowo-jarmarcznym, w którym nie ma znaczenia, kogo się wystawi, bo wszystko można sprzedać. Reguły medialnego wsparcia armatniego dla tej formy ćwierćigrzysk są takie, że nigdy się nie dowiem, co się kryje za „polskimi wartościami" w głowie takiego Nawrockiego, chyba że chodzi o wódkę i bigos. Na jakiej podstawie używa określenia „zamach smoleński"? Czy w jakiejkolwiek sprawie ma inną opinię niż naczelny dyspozytor Jarosław Kaczyński? Ale kręcić się będzie. Za tydzień czy dwa poznamy opinię z warzywniaka, w którym Karolek kupował ziemniaki, potem peany katechety i wyrazy uznania z ust sparingpartnera, zachwyt promotora doktoratu (tu trzeba uważać – nie jest to przygoda Andrzeja Dudy).

> Daliśmy się zapędzić w model demokracji, która jest areną i widownią cyrkową.

Kampania rozpocznie się w styczniu, ogłosił marszałek Sejmu, który sam kandyduje, a ja już jestem wykończony. Męczy mnie każdy odgłos w tej sprawie i nic nie wzbudza zainteresowania. Ja, który od dekad jestem zwierzęciem politycznym, nie mam najmniejszej ochoty na ten wyścig imitatorów, figurantów, klaunów bez poczucia humoru, sztywniaków, którzy będą sączyć jad patriotyzmu, wartości chrześcijańskich i innych konserwatywnych banałów obowiązkowych. Na dodatek część z nich lub wszyscy wierzą, że są tymi, którzy po prostu powinni wygrać. A przegrywamy my. Nasza polityczność. Nasza przyszłość. Kiedy i gdzie marionetki coś stworzyły? Tak oto demokracja – nasze bóstwo, marzenie, ziszczenie – przeistacza się w marny teatrzyk handlarzy mydłem i powidłem. Z całym szacunkiem dla mydła i powideł.

Czy lewica wystawi swoją kandydatkę niemarionetkową? Mam nadzieję. Nawet jeśli nie wygra – ale właściwie dlaczego nie? – usensowni ten spektakl. A może go uratuje. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f5983c5b5

CZAS NA PREZENTY!

Przegląd

95 zł

OSOBISTA RELACJA Z OSTATNICH DEKAD NASZEJ HISTORII. KSIĄŻKA, KTÓRA POMAGA JE ZROZUMIEĆ

58 zł

BŁYSKOTLIWA ANALIZA „AMERYKAŃSKIEJ DUSZY" I POLITYCZNYCH WYBORÓW

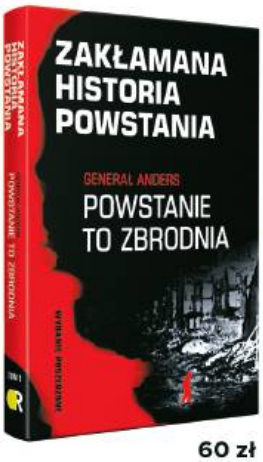

60 zł

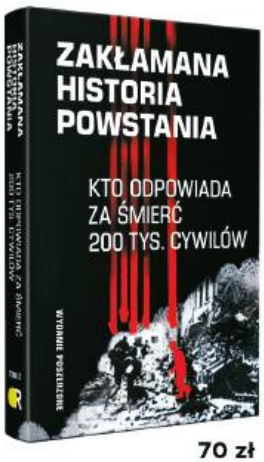

70 zł

Pakiet 110 zł ~~130 zł~~

200 TYSIĘCY OFIAR I RUINY MIASTA UPOMINAJĄ SIĘ O PRAWDĘ

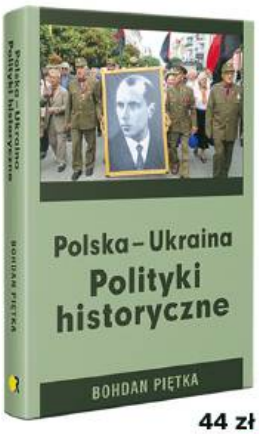

44 zł
~~50 zł~~

KULT BANDERY I SZUCHEWYCZA. POLSKO-UKRAIŃSKI SPÓR O HISTORIĘ

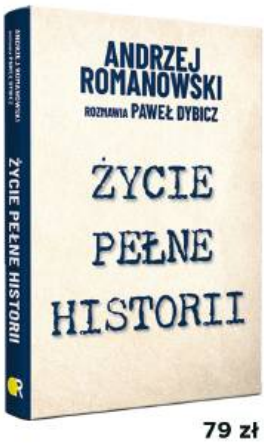

79 zł

PROF. ANDRZEJ ROMANOWSKI W PASJONUJĄCEJ ROZMOWIE Z PAWŁEM DYBICZEM

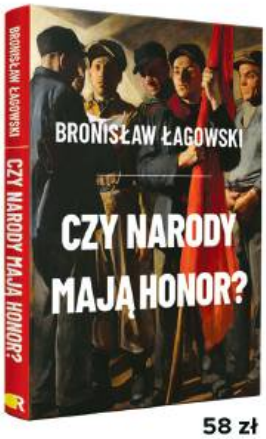

58 zł

HISTORIA POLSKI OBARCZONA BYŁA FATALIZMEM ZACOFANIA

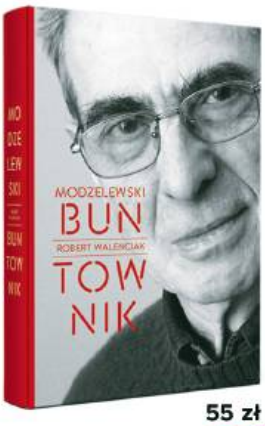

55 zł
~~65 zł~~

CZŁOWIEK, KTÓRY NIGDY NIE ZDRADZIŁ SOLIDARNOŚCI

Promocja ważna do 31.12.2024 r. lub do wyczerpania zapasów.

2 + 1 GRATIS

Przy zakupie 2 dowolnych książek „Zakłamana historia powstania" t. IV W PREZENCIE

eprasa.pl 6f5983c5b5

Pora na książki PRZEGLĄDU

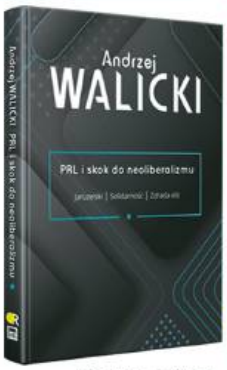

Tom I 75 zł

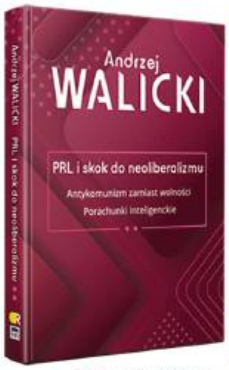

Tom II 76 zł

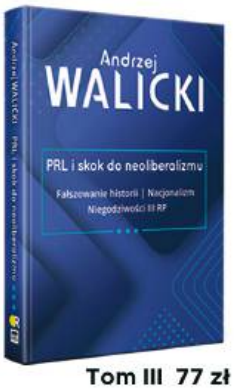

Tom III 77 zł

Pakiet 190 zł ~~228 zł~~

LEKTURA OBOWIĄZKOWA DLA KAŻDEGO INTELIGENTA

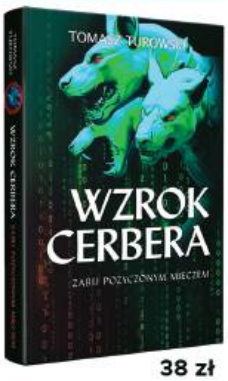

38 zł

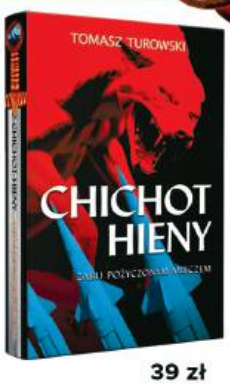

39 zł

ZABIJ POŻYCZONYM MIECZEM – SERIA POWIEŚCI SENSACYJNYCH TOMASZA TUROWSKIEGO

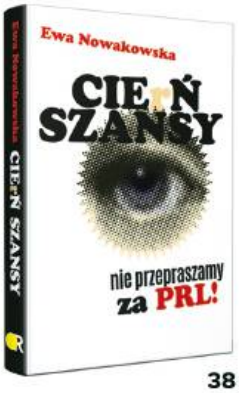

38 zł
~~48 zł~~

OD PRL DO III RP OCZAMI ZNANEJ DZIENNIKARKI EWY NOWAKOWSKIEJ

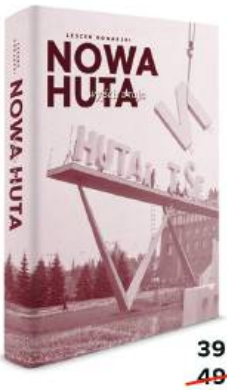

39 zł
~~49 zł~~

KSIĄŻKA LESZKA KONARSKIEGO, JEDNA Z 15 FINALISTEK GRAND PRESS KSIĄŻKA REPORTERSKA 2020

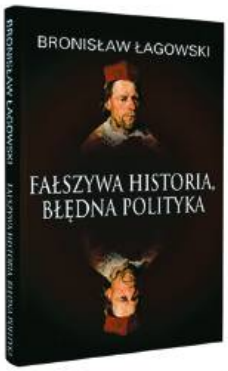

37 zł
~~47 zł~~

WIELKI KOMPLEKS OBOZU SOLIDARNOŚCI. CIĄGLE WALCZY Z PRL, KTÓREJ NIE MA JUŻ OD ROKU 1989

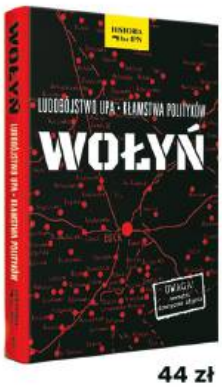

44 zł

OFIARY RZEZI UPA I REHABILITACJA ZBRODNIARZY

41 zł
~~51 zł~~

REWOLUCJA W ROSJI BEZ FAŁSZÓW I UPRZEDZEŃ

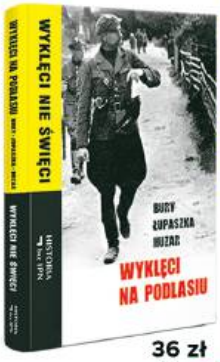

36 zł
~~44 zł~~

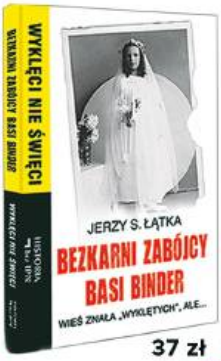

37 zł
~~45 zł~~

35 zł
~~43 zł~~

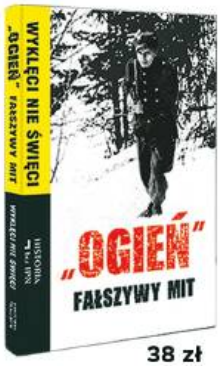

38 zł
~~46 zł~~

Pakiet 130 zł ~~178 zł~~

CZTERY TOMY HISTORII BEZ IPN

Wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
*Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.
Lub zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl, gdzie istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +15,50 zł, Orlen Paczką +11,00 zł, do paczkomatu InPost +15,00 zł lub dostawy kurierem InPost +16,00 zł.

*DOSTAWA ZA 0 ZŁ!

eprasa.pl 6f5983c5b5

TURYSTO, NIE BÓJ SIĘ!

Głuchołazy odbudowują się po powodzi. I zapraszają gości. Oferują trasy spacerowe, noclegi i most, jakiego nie ma w Polsce

Beata Dżon-Ozimek

– Nikt nie widzi złotych zboczy Gór Opawskich, Parku Zdrojowego w kolorach jesieni, Biskupiej Kopy (wchodzącej w skład Korony Gór Polskich), skąd rozciąga się widok na całe Jesioniki, a przy dobrej widoczności ponoć można dostrzec Sky Tower we Wrocławiu. Nikt nie widzi miasteczka, do którego jeszcze przed wojną zjeżdżały tłumy kuracjuszy pooddychać świeżym luftem, złapać moc promieni słonecznych i poprzechadzać się po łagodnych zboczach gór. To tu przyjeżdżali turyści z Austrii, z Czech i Ślązacy na wypoczynek i rehabilitację. Dlatego jeden z budynków pensjonatowych przy Górnym Stawie otrzymał po wojnie nazwę Górnik vel Wczasy Górnika. Niegdyś zwany Waldesruh, przyciągał turystów położeniem i zaciszem pobliskiego lasu na końcu Parku Zdrojowego powyżej Górnego Stawu. Stoi nadal i czeka na swoją kolej – na Głuchołazy patrzymy oczami Joanny Krawczyk-Gluch z Domu Artysty.

Powoli z krajobrazu miasteczka znikają mundury. Grupa ok. 100 (rotacyjnie) niemieckich żołnierek i żołnierzy zakończyła działania na terenie gminy. Było trochę takich, którzy mieli pewne zastrzeżenia co do obecności Niemców, ale gdy się przekonali, jak sprawnie i dokładnie Bundeswehra wykonywała swoją robotę, wszelkie wątpliwości zniknęły.

– Udało się przekonać ludzi, że to nie są jacyś potencjalni najeźdźcy, ale nasi sojusznicy – mówi burmistrz Głuchołazów dr Paweł Szymkowicz. Żołnierzy pożegnano uroczyście w szkole w bardzo zniszczonym powodzią Bodzanowie. Każdy otrzymał indywidualny dyplom, oficerowie okolicznościowe medale i podziękowania. Podobno dużo wiedzieli o miejscu, do którego dotarli z pomocą, chociaż planowany przewodnicki spacer nie doszedł do skutku. – Zwróciłem im uwagę na biało-błękitne szachownice na ich plakietkach. Takie szachownice możemy zobaczyć u nas w kościele na kartuszu herbowym, to barwy Bawarii, ale również znak królewskiej rodziny Wittelsbach, z której wywodził się bp Franciszek Ludwik von Neuburg, fundator przebudowy tego kościoła. On też ufundował kościół w Bodzanowie, przy którym pracowali żołnierze – wyjaśnia burmistrz, historyk, a zarazem licencjonowany przewodnik nie tylko po regionie, ale i np. po czeskiej Pradze.

Ludzie sobie jakoś radzą, bo chcą zimować u siebie.

Żołnierze z Bawarii pracowali wszędzie, gdzie im wskazano, zaskarbiali sobie sympatię i popularność, w pewnym momencie doszło wręcz do rywalizacji kół gospodyń wiejskich, które ma dla nich gotować. Zdarzyło się, że przywożono obiady z trzech kół, przy trzecim powiedzieli, że już więcej nie zjedzą, chociażby nie wiem jak chcieli. A trzeba wspomnieć, że wszystkie lokalne koła gospodyń gotują znakomicie!

– Nie możemy się nachwalić żołnierzy z Niemiec – słychać od wielu powodzian. Podobnie zresztą mówią o polskich mundurowych, przed którymi otwierały się nie tylko drzwi, ale i serca. Barbara i Andrzej Rajcowie ze starego budynku tuż za Białką, w którym woda sięgnęła sufitów parteru, częstowali żołnierzy kawą z miodem z własnej pasieki. Tyle w tych trudnych warunkach mogli zaproponować.

Przyjdą panowie w suchych butach

– Woda śni mi się co noc, ta woda jest cały czas ze mną, szumi, otacza. Ale to znaczy, że śpię, co też jest dobre – przyznaje burmistrz Szymkowicz. Jego urzędowanie zaczęło się od mocnych akcentów: wycieku gazu, awarii części wodociągów i pożaru. Myślał więc, że dotknęły go już wszystkie żywioły, a tu we wrześniu nadeszła powódź. Na początek pierwszej kadencji przyszło mu administrować i zarządzać jednymi z najbardziej poszkodowanych gmin i miast w Polsce.

– To taka sytuacja i taka skala zniszczeń, że nie ma możliwości generalizowania. Każdy przypadek trzeba rozpatrywać osobno. Różne są zniszczenia w mieszkaniach, nawet sąsiadujących ze sobą, z najróżniejszych przyczyn – zaznacza burmistrz.

Urzędnicy nie tylko w Głuchołazach przegrywali z biurokracją. Interpretacja przepisów się zmieniała, potem weszła specustawa i określono sposób wyliczania kwoty, która ma być przelana powodzianom. Procent oszacowanych strat razy 2 tys. zł, przy 100% zniszczeń wyjdzie 200 tys., a nie automatycznie 100 i 200 tys.

– To nie była powódź typowa dla tego terenu, czyli na przełomie czerwca i lipca. Wydarzyła się

eprasa.pl 6f5983c5b5

Nie ucierpiała drewniana infrastruktura spacerowa. Nz. punkt widokowy w Parku Zdrojowym.

Modernistyczny budynek szpitala w Głuchołazach przy Parku Zdrojowym.

Dawna architektura Domu Artysty.

w końcówce lata, a pierwszy przymrozek był tu już 30 września, dwa tygodnie po zalaniu. Zależy nam, żeby wypłacać te dotacje szybciej, ale prawo jest takie, a nie inne. Gdybyśmy mieli powołać rzeczoznawcę – a w gminie jest słownie jeden rzeczoznawca, skala zniszczeń zaś to 1,2 tys. adresów – skończyłby szacowanie koło połowy przyszłego roku. Z tym problemem mierzy się każda poszkodowana gmina. Myśmy się nie umawiali, że nie będziemy wypłacać tych pieniędzy, tylko każda gmina obawiała się, czy robi to zgodnie z prawem – wyjaśnia burmistrz.

Samorządy na terenach zniszczonych powodzią współpracują ze sobą. Każdy tydzień zaczyna się od wideokonferencji. Urzędnicy nieoficjalnie mówią, że już straszy się ich kontrolami. Krąży nawet powiedzenie, że „przyjdą panowie w suchych butach i będą wyciągać konsekwencje".

Trudne wywiady środowiskowe

– Najważniejszy problem przed zimą to jak najsprawniej rozdysponować środki na odbudowę i remont. Czyli do 200 tys. zł na lokale mieszkalne i do 100 tys. zł na pomieszczenia gospodarcze. Niektóre rodziny nie są zdecydowane, jak wykorzystać pomoc: na remont czy może na zakup działki, na której będą się budować. Jeśli tego nie wskażą w decyzji we wniosku, nie można zrobić przelewu. W dokumentach trzeba także podać datę, do kiedy będą wydane środki. Żeby to ułatwić, wpisujemy koniec 2025 r., by nikt nie musiał się śpieszyć – mówią urzędnicy.

Realną przeszkodą są wywiady środowiskowe. Podczas spotkania z marszałkiem Sejmu Szymonem Hołownią padł od razu wniosek, by zrezygnować z wywiadów środowiskowych zbieranych jedynie przez pracowników socjalnych. Nowelizowana specustawa powodziowa uprościła bowiem procedury, ale wymagała wywiadów.

– Nie każdy w naszym ośrodku pomocy społecznej jest pracownikiem socjalnym – na 42 osoby jest ich dwanaścioro, wśród nich powodzianie. Pracuje sześć osób – wylicza

eprasa.pl 6f5983c5b5

burmistrz. Cieszy się, że nadjechał „desant" z Sopotu, Gdyni, za chwilę dotrą też ludzie z Gdańska: – Jak jest pięć osób więcej, to mam praktycznie 100% większe kadry w terenie do przeprowadzania wywiadów środowiskowych.

Urzędnicy szukają różnych rozwiązań, by zwiększać liczbę ludzi pracujących w terenie. Zachęcali nauczycieli z uprawnieniami pracownika socjalnego, bo to szansa na dodatkowy zarobek. Zgłosiły się dwie panie, jedna się wycofała. Okazuje się, że to zadanie bardzo obciążające i niewdzięczne. Czasami trzeba odmówić przyznania środków, bo ktoś nie jest tak poszkodowany, jak mu się wydaje, albo przyznaje się kwoty, które kogoś nie zadowolą. Powszechnie się uważa, że cała suma, te 200 tys. zł, jest wypłacana automatycznie. Tymczasem mówimy o wypłatach DO 200 tys. zł. O pretensje, żale, nawet nieprzyjemności nietrudno.

– Panie, które przyjechały z zewnątrz, powiedziały wprost: my nie jesteśmy stąd, nikogo nie znamy, nie lubimy bardziej lub mniej, popracujemy tydzień czy dwa i wyjedziemy, to zupełnie inne obciążenie. Miejscowi pracownicy mają trudniej, bo ktoś w rozżaleniu może obarczać innego winą, że przez niego stracił pieniądze. OPS ma bardzo dużo zadań statutowych do wykonania na co dzień. Tuż przed powodzią doszedł jeszcze bon energetyczny, a teraz ogrom pracy związany ze zniszczeniami – przyznają urzędnicy.

Pomoc zresztą przybiera zaskakujące nieraz formy. 20 października w Teatrze Wielkim Operze Narodowej w Warszawie odbył się koncert charytatywny „Usłysz Śląsk" z muzyką Wojciecha Kilara, Henryka Mikołaja Góreckiego, Bolesława Szabelskiego i Eugeniusza Knapika, zorganizowany w partnerstwie z Filharmonią Śląską.

– A było to tak, że spotkali się u nas, w Nowym Świętowie, prof. Arkadiusz Nowak, szef PAN Ogrodu Botanicznego, dyrektor marketingu Radia Opole Adam Ramczykowski, zastępca dyrektora Teatru Muzycznego w Poznaniu Andrzej Hamerski i zastępca dyrektora Teatru Wielkiego Opery Narodowej Tomasz Tadrała. Jako wolontariusze w szkole skuwali tynki i wykonywali inne prace fizyczne. I tam się zmówili, że można by zrobić koncert. Zebrano całkiem sporą kwotę na rzecz szkoły, w której się spotkali. To takie fajne, dosłownie ramię w ramię pracowali profesor, student i bezrobotny. Inna historia – na samym początku stanęliśmy przed problemem, że jako gmina nie będziemy mieli możliwości przemieszczania się, bo nie tylko nie ma mostów, ale na dokładkę nasze jedno auto utonęło w powodzi, a stan drugiego też napawał lękiem. Zadzwoniłem do prezydenta Katowic Marcina Krupy. Usłyszałem, że nie ma problemu. Ich dostawczaki przejechały swoje, miały być wycofane, ale niech ktoś przyjeżdża, spiszemy umowę i cztery auta możemy zabierać. To nam uratowało życie. Samochody jeżdżą i są niezawodne. Podziękowałem Marcinowi i dziękuję moim Katowicom, bo mieszkałem na Ligocie podczas studiów przez pięć lat – uśmiecha się „czasowy" katowiczanin Paweł Szymkowicz.

Zależy nam, żeby wypłacać dotacje szybciej, ale prawo jest takie, a nie inne. Każda gmina obawiała się, czy robi to zgodnie z przepisami.

Testem będą święta

Biuro Informacji Turystycznej w Głuchołazach. Ciepło, ale to ogrzewanie doraźne, cały system grzewczy został zniszczony przez powódź. Na ścianach ciemne zacieki. Jesteśmy pod zabytkową basztą, jakieś pół kilometra od rzeki Białki i wojskowego, wyczekanego mostu tymczasowego.

– Warunki mamy bojowe, powodziowe, ale działamy! Wody nie było dużo, jednak wystarczyło, żeby narobić szkód – mówi Mariusz Wyszkowski, inspektor w Wydziale Promocji, Turystyki i Sportu Urzędu Miejskiego w Głuchołazach. Koniec października i listopad to zwykle martwy sezon, drugi taki trudny okres to marzec. – Czas dla naszych właścicieli ośrodków, żeby się wyremontowali, zrobili naprawy itd. Oczywiście obecnie jest mniej turystów, przyjeżdżają inni ludzie. Głuchołazy były na ustach całej Polski, we wszystkich mediach, ludzie przyjeżdżają z ciekawości. Po wolontariuszach, wszystkich, którzy nam pomagali, z OSP, terytorialsach, mamy gości, którzy chcą zobaczyć, jak tu po powodzi wygląda. Najczęściej to jednodniowe przyjazdy, w okolicach weekendu, ale faktycznie turystów trochę przybyło. Testem będą święta i turnusy świąteczno-noworoczne. Nie wszystkie nasze ośrodki są otwarte, część – jak Skowronek i Czerwony Kozioł – bardzo ucierpiała. Ale jesteśmy gotowi, większość miejsc jest przygotowana, a baza coraz bardziej uporządkowana. Restauracje także się remontują, właściciele się starają. Pieniądze od rządu spływają, jak spływają, w tej chwili jest kwestia ludzi, którzy przeprowadziliby te remonty – uważa Mariusz Wyszkowski.

Wysoko w Parku Zdrojowym, nieco w ukryciu, wyrasta Dom Artysty – dawna Waldschule, odrestaurowana z pietyzmem i dbałością o szczegóły. Tam nieprzerwanie można znaleźć klimatyczne noclegi w pokojach o różnej stylistyce, w ciszy, bliskości natury. Można liczyć na spotkania autorskie, wystawy, plenery malarskie, warsztaty artystyczne i koncerty. Choćby ten ostatni, Johannesa von Ballestrema, potomka pierwotnych właścicieli tego kompleksu wypoczynkowego.

– Od ponad 100 lat miejsce to pełniło funkcję ośrodka wczasowego, czy powódź 2024 miałaby to zmienić? Tu jest bezpiecznie, woda nie wdarła się do budynków, zniszczyła część infrastruktury parkowej, ale nadal jest pięknie, wciąż mieszkają tu salamandry, podkowce, puchacze i dzięcioły, rosną stareńkie buki i ogromne cypryśniki, pomiędzy którymi słońce o poranku daje popis promieni. Nadal powietrze jest tu najczystsze w okolicy, Góra Parkowa zaprasza na spacery.

eprasa.pl 6f5983c5b5

Burmistrz Paweł Szymkowicz angażuje się w różne działania, np. w sprzątanie gór.

Mural w centrum Głuchołazów.

Czekamy na gości, którzy chcieliby odkryć to miejsce, zachwycić się jego pięknem, jak my kiedyś. Tu przyroda z historią tworzą harmonijną całość – z pasją przekonuje Joanna Krawczyk-Gluch.

To prawda, ścieżki, drewniana infrastruktura przejść, mostków, punktów widokowych wiszących niemal w powietrzu obok modernistycznej bryły historycznego szpitala, niekończące się niespodzianki architektoniczne z czasów uzdrowiska nie pozostawiają spacerowicza obojętnym.

Proszę przyjeżdżać!

– Proszę przyjeżdżać, nie bać się. Żyjemy w epoce komunikacji obrazkowej i ludzie zapamiętali zdjęcia z września. Nasze schronisko na Biskupiej Kopie stało miesiąc bez turysty. Fakt, zamknięto szlaki i lasy były niedostępne. Ale miesiąc po powodzi poszedłem do schroniska, żeby tam nakręcić filmik, że można dojść, schronisko czeka, gotują, można się przespać. I słyszę, że odżyło, bardzo dużo ludzi na weekendy przyjeżdża, widzę też po wpisach u mnie na profilu społecznościowym: „No to, Paweł, jedziemy do ciebie tam do schroniska" – cieszy się Paweł Szymkowicz, po godzinach burmistrzowania w Głuchołazach wędrowiec i miłośnik Gór Opawskich.

– To prawda, że powódź poczyniła ogromne zniszczenia i spowodowała wiele tragedii, ale są miejsca, które ominęła, gdzie można przyjechać, odpocząć i dać nadzieję ludziom, że będzie lepiej, że będzie praca. W ten sposób można pomóc w powrocie do normalności, w odbudowie ich małej ojczyzny – zachęca Joanna Krawczyk-Gluch.

mieszkańcy gminy wspominają z czułością i wdzięcznością.

W budynkach powoli uruchamiane są piece, wnętrza się osuszają, pojawiają nowe okna i drzwi, czasem z rozbiórek, z darów. Ludzie jakoś sobie radzą, bo chcą zimować u siebie. Mokre ściany po dwóch miesiącach gdzieniegdzie stają się suche. Barbara i Andrzej Rajcowie z uroczego domu z historią mieszkają na piętrze, ale praca na parterze wre, surowa

Kilka dni temu zauważyłam, że zostawione na stole chleb czy ciasto schną. Od połowy września pieczywo było wilgotne, a teraz schnie. Nasz dom staje się suchy!

– Myślę, że to odżyje, to nie jest pierwsza powódź, którą tutaj przeżywam, bo przeżyłem tę z 1997 r. i tę z 2014 r. Turystyka wciąż działała i inaczej się nie da. W przeciwnym razie trzeba by zamknąć ten interes, usiąść na krawężniku i płakać – mówi z przekonaniem Mariusz Wyszkowski.

Atrakcją jest także błyskawicznie oddany miastu w ramach operacji „Feniks" pierwszy z dziewięciu wojskowych mostów. Trzeba po nim się przejść lub przejechać. To świetna inżynierska robota Wojska Polskiego. A mundur, polski, ale i niemiecki,

cegła pokazuje się w całości, oddała z siebie hektolitry wody. Poniemiecka posadzka i schody się trzymają, piwnica czeka na oczyszczenie.

– Kilka dni temu zauważyłam, że pozostawione na stole chleb czy ciasto schną. Od połowy września pieczywo było cały czas wilgotne, a teraz schnie… Nasz dom staje się suchy! A my trwamy dzięki tym wszystkim ludziom, którzy przyjeżdżają i pomagają. Powódź nam ich darowała – wzruszają się Rajcowie.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BEATA DŻON-OZIMEK (2), K. KASZYCKA, FUNDACJA BENEVOLENS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6f5983c5b5

Strażnik pamięci o Bytnarach

W mojej patriotycznej rodzinie, rodzinie z tradycjami akowskimi, niemal nic się nie rozmijało z tym, co mówiła szkoła

Rozmawia Paweł Dybicz

(...) Porozmawiajmy o micie „Rudego", który był tak silny w twojej rodzinie. Wychowałeś się na opowieściach o nim.

– W tym tkwiła pewna dwuznaczność, bo małżeństwo babci z Jakubem Bytnarem się rozpadło, on założył w Łodzi (gdzie od jakiegoś czasu mieszkali) nową rodzinę. Babcia w roku 1935, z dnia na dzień, zgarnęła swoje manatki, zabrała dwoje dzieci, starszą Lidkę,

PROF. ANDRZEJ ROMANOWSKI

moją mamę, i młodszego od niej o dwa lata Zdzicha, i wyjechała do Krakowa, gdzie dał jej oparcie najmłodszy brat jej ojca, stryj Jan Bursztyn. Zamieszkali na Pędzichowie pod nr. 11, potem na Krowoderskiej, też pod nr. 11, gdzie przeżyli lata okupacyjne. Babcia nigdy nie wspominała dziadka, i to do tego stopnia, że kiedyś w dzieciństwie powiedziałem: „Mój dziadek umarł", a wtedy mama się oburzyła i krzyknęła: „Nie umarł! Żyje w Łodzi!". Nie dopytywałem, dlaczego w Łodzi, a nie z nami, rozumiejąc, że jest tu jakaś tajemnica.

Jednak i babcia, i my wszyscy, cała nasza szóstka, byliśmy w wielkiej zażyłości z żoną kuzyna Jakuba Bytnara, a matką „Rudego", Zdzisławą Bytnarową. To była moja ukochana ciocia Zdzicha. Stosunkowo często do nas przyjeżdżała. Z Warszawy. Bo mieszkała w tym samym domu,

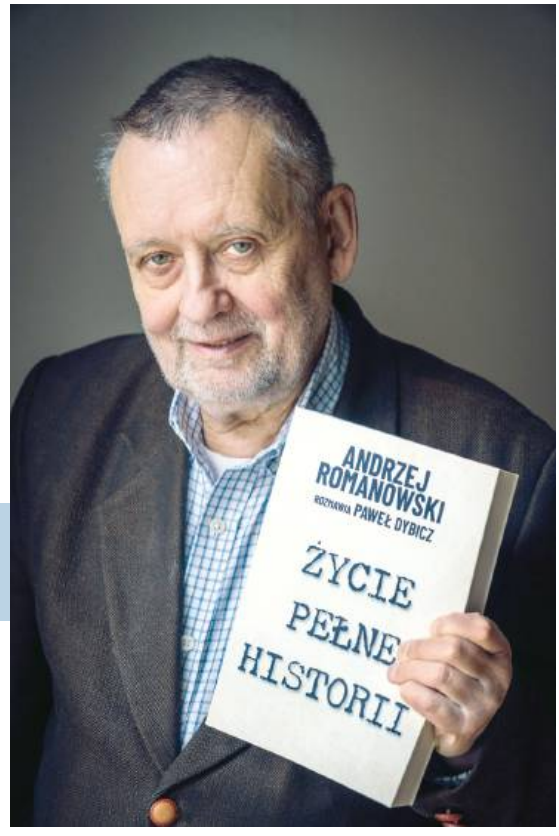

z którego Gestapo zabrało jej męża i syna. Aleja Niepodległości 159/63 – na tej kamienicy jest teraz tablica pamiątkowa. Ciocia Zdzicha była drobniutka, filigranowa, zawsze w czerni, trochę staroświecka, o arystokratycznych manierach, może w nieco prowincjonalnym guście. Pamiętam jej oczy, które przy opowieściach o dawnych czasach robiły się jakby większe, zachodziły łzami. (...)

Ciocia Zdzicha opowiadała ci o „Rudym"?

– Nie, ona jednak mieszkała w Warszawie. O „Rudym" mówiła mi głównie ciocia Stefa, mieszkająca do śmierci z nami. I opowiadała mi to w najwcześniejszym dzieciństwie. Bo wtedy, gdy usłyszałem, że „Janka Niemcy pobili, a potem koledzy go odbili", zrozumiałem, że bili jedni i drudzy.

Kiedy się dowiedziałeś o konsekwencjach akcji pod Arsenałem?

– Nie pamiętam. Kiedyś jednak dotarło do mnie, że w ramach represji za odbicie „Rudego" i innych więźniów Niemcy rozstrzelali 140 osób. A „Rudego" i tak nie uratowano, bo zmarł, straszliwie skatowany. Zawsze pamiętam o tym niemieckim odwecie.

Czy w Polsce Ludowej matka „Rudego" brała udział w kultywowaniu mitu syna? Uczestniczyła w spotkaniach organizowanych przez różne władze, szkoły, ZHP?

– Zawsze, zawsze. Ta drobna kobieta dźwigała na swych ramionach cały mit „Rudego". Była świetną mówczynią, trochę egzaltowaną, ale robiła wrażenie i bardzo lubiła takie spotkania. Odbyła ich na pewno dziesiątki, myślę, że i setki. Człowiek instytucja. Barbara Wachowicz nazwała ją „matulą polskich harcerzy".

Czy mówiła o tych rozstrzelanych?

– Tego nie pamiętam, ale nie mogła o nich nie wiedzieć. A we mnie pokładała duże nadzieje, widziała we mnie tego, kto będzie strażnikiem pamięci o Bytnarach. (...)

Mit „Rudego" miał największy wpływ na twoje zainteresowanie historią?

– Niekoniecznie. Było jednak w nim coś potwornego, opowieść o zakatowanym człowieku.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 6f5983c5b5

Wychowałem się raczej na opowiadaniach mamy, ale początkowo, też w ślad za mamą, chciałem być botanikiem, interesowałem się przyrodą, najpierw gadami kopalnymi, potem entomologią. Łapałem motyle do siatki i miałem dwie gabloty: w jednej motyle, w drugiej ćmy. Motyle w gablotach kupowaliśmy w sklepie zoologicznym nieopodal ulicy Dietla, jeden kosztował 6 zł i tylko jedwabnik dębowy, duma mojej kolekcji, kosztował 25 zł. Historią zainteresowałem się dopiero w czwartej klasie podstawówki. Być może dlatego, że uczyliśmy się z bardzo wartościowego podręcznika, autorstwa Anny Klubówny i Jadwigi Stępieniowej „W naszej ojczyźnie: podręcznik historii dla klasy IV".

Wartościowego? Już słyszę protesty pracowników IPN.

– Poszedłem do szkoły we wrześniu 1958 r., więc wkrótce po Polskim Październiku. Ministrem oświaty był Władysław Bieńkowski, bliski współpracownik Władysława Gomułki. Ponieważ ciocia Stefa, nauczycielka z powołania, objęła mnie swą pasją dydaktyczną i nauczyła czytania i pisania, przesunięto mnie po dwóch tygodniach do drugiej klasy. Tak więc 2 września 1958 r. zameldowałem się w klasie I c, a 16 września byłem już w klasie o rok wyższej, II a. Historii uczyliśmy się od klasy czwartej, toteż zetknąłem się z nią jako przedmiotem szkolnym jesienią 1960 r., jako dziewięciolatek. Ale ten ilustrowany podręcznik Klubówny i Stępieniowej powstał wcześniej, na fali popaździernikowej, i stał się moim pierwszym wprowadzeniem w historię Polski. Niektóre jego frazy pamiętam do dziś. Na przykład: „Krwią i łzami spłynęła ziemia polska pod uciskiem zaborców". Albo: „Wiecie już, jak źle było Polakom pod zaborem rosyjskim. Pod zaborem pruskim też nie było lepiej". Powstanie listopadowe ilustrowano frazą z „Pieśni Janusza" Wincentego Pola: „Grzmią pod Stoczkiem armaty…" oraz reprodukcjami polskiego malarstwa batalistycznego Juliusza i Wojciecha Kossaków. Znamienne, że podręcznik urywał się na rozbrojeniu Niemców w listopadzie 1918 r., choć oczywiście nie było mowy ani o POW, ani o Piłsudskim. A ostatnie zdanie książki brzmiało: „Po II wojnie światowej Polska wróciła do swych starych, piastowskich granic". Nagły przeskok, o 20-leciu ani słowa. Autorki najwidoczniej uznały, że zbyt dużo musiałyby przemilczeć.

O przeszłości czytałeś tylko w podręczniku czy jeszcze gdzieś indziej?

– Ciocia Stefa miała w szufladzie swej biblioteczki podręcznik jeszcze lepszy: dla klasy piątej, autorką była Władysława Hoszowska. Ach, cóż to była za książka! Nie mogłem odżałować, że nim przeszedłem do klasy piątej, już wycofano ją ze szkół. (…).

I co takiego było w podręczniku Hoszowskiej?

– Opowiadano np. o przewagach Stefana Batorego w wojnie z Moskwą. Ale oprócz Jana Zamoyskiego była w nim mowa o piechocie wybranieckiej i o bohaterskich czynach chłopów polskich, piorących Moskali. Na przykład o czynach kotlarczyka Wąsa, który dzielnie stawał pod Połockiem. Chytre to było, pokazywano, że z Moskwą – wbrew rosyjskiej i sowieckiej historiografii – walczył także polski lud. A oprócz podręczników… Czytałem „Płomyczek" redagowany przez zapomnianego dziś Stanisława Aleksandrzaka. Pamiętam, jak z wypiekami na policzkach czytałem, chyba w 1958 r., opowieść o Stanisławie Skalskim, pilocie, który strącił ileś tam samolotów niemieckich, a potem wrócił do Polski i tu był poddany politycznym szykanom.

Skalski był więziony w czasach stalinowskich i skazany na karę śmierci...

– …i ułaskawiony przez Bolesława Bieruta. Tego w „Płomyczku" nie było, ale ubolewano nad tym, co Skalskiego w Polsce spotkało. Przytaczając takie przykłady, chcę powiedzieć, że szkoła popaździernikowa była bardzo patriotyczna, i to w takim tradycyjnym, powiedziałbym nawet międzywojennym duchu. Choć oczywiście mówiono sporo o 1. Dywizji im. Tadeusza Kościuszki (przemilczając jednak nazwisko jej dowódcy, Zygmunta Berlinga) i często śpiewano na akademiach „Płynie, płynie Oka, jak Wisła szeroka" (bardzo to lubiłem, ku niezadowoleniu mamy). Nie przypominam sobie natomiast szkolnych opowieści o Monte Cassino. W ogóle wiedza o II wojnie światowej była ograniczona do tego, że były AK i AL – zawsze w tej kolejności i zawsze wymawiane łącznie – no i PPR, której 20-lecie powstania obchodzono uroczyście, gdy byłem w piątej klasie.

Masz przywilej późnego urodzenia. Nie doświadczyłeś okresu stalinowskiego, czasu terroru. Ale czy żyłeś w jego cieniu?

– Ależ, Pawle, ja tęsknię do stalinizmu!

Nie żartuj!

– Co cię tu dziwi? To nie moja wina, że rodzice poczęli mnie w jakąś listopadową noc 1950 r., w samym apogeum stalinizmu. Urodziłem się za życia Stalina. „Urodzony w niewoli, okuty w powiciu" – to prawda. Ale moje dzieciństwo to jest stalinizm. To sygnał radiowy, takie cienkie młoteczki, po którym padało: „Tu Stalinogród". To literki, z których składałem napis „ulica Józefa Stalina" (ulica w sąsiedztwie Dietla, dziś to Westerplatte). To kalendarze robotnicze, skądś się biorące w domu, z wykazami członków Biura Politycznego PZPR i KPZR… Choćby dom nie wiem jak chciał mnie ochronić, to rzeczywistość zza okien wciskała się wszystkimi szparami. No bo jak tu nie słuchać radia? A tam moja ulubiona piosenka „Nad Wisłą wstaje warszawski dzień. I mknie tramwajem warszawski dzień!". Dla ludzi po powstaniu warszawskim jakże ta piosenka musiała być krzepiąca! Podobnie jak „Małe mieszkanko na Mariensztacie, to moje szczęście, to moje sny".

W opowieściach bądź przemilczeniach rodziny stalinizm rysował się jako coś bardzo złego, ale nigdy nie zrównywano go z hitleryzmem. Nigdy!

eprasa.pl 6f5983c5b5

O Nowej Hucie też były piosenki.

– „O Nowej to Hucie piosenka, o Nowej to Hucie są słowa". I teraz czekam, jak jakiś prawak wyciągnie moje słowa, że ja tęsknię za stalinizmem. Tak jak Tuskowi wyciąga się od dziesiątek lat z jego pięknego, patriotycznego szkicu słowa, że „Polska to nienormalność". No ale ja tęsknię za prawakiem jak za stalinizmem! W Młodej Polsce pisano, by „epatować mieszczucha", ja robię wszystko, by epatować prawaka.

No już dobrze. Ale o co naprawdę chodzi z tym stalinizmem?

– W opowieściach bądź przemilczeniach rodziny stalinizm rysował się jako coś bardzo złego, ale nigdy go nie zrównywano z hitleryzmem. Nigdy! Zawsze postrzegany był jednoznacznie negatywnie, z całą jego grozą, ale słabo zwerbalizowaną, bo np. o moim wuju, straconym po wojnie, nic mi nie mówiono. O grozie mówiło się półgębkiem. Czy to w odniesieniu do ZSRR, czy do Lwowa, za którym moja babcia ojczysta rozdzierająco tęskniła. Wszystko jednak było niedomówione, wiszące gdzieś w domowym powietrzu. Tak więc nie powiedziałbym, że cieszę się łaską późnego urodzenia, bo dla mnie Październik '56 to jakby wczoraj. Doskonale pamiętam jego atmosferę, przemówienie Gomułki, którego rodzice słuchali z uszami przyklejonymi do radioodbiornika.

Aż tak wrył ci się w pamięć?

– Pięcioletnie dziecko dużo pamięta. Cały dom żył atmosferą Października '56, komentowano wszystkie wiadomości. A ja, chory wtedy na szkarlatynę, w przerwach między bolesnymi zastrzykami, stawałem na środku pokoju i ku uciesze wszystkich naśladowałem Gomułkę. W domu bardzo przeżywano powstanie węgierskie. Pamiętam moment, gdy mama powiedziała: „Wiesz, na Węgrzech jest teraz dużo sierot. Myślę, żeby wziąć węgierskiego sierotę na wychowanie". Mama zawsze bardzo poważnie mnie traktowała, dzieliła się ze mną swymi przemyśleniami. Oczekiwałem tego Węgra, ale mama już potem do tematu nie wracała. Pewnie dlatego, że kiepsko nam się wiodło, była już na świecie moja siostra, a na utrzymaniu mieliśmy jeszcze babcię Bytnarową. W każdym razie, choć może trudno uwierzyć, Październik '56 to moje formacyjne przeżycie. (…)

Wspominałeś o nauczaniu historii w szkole, ale czy to, co mówiono na lekcjach, rozmijało się z tym, co mówiono w domu?

– Nic się nie rozmijało! No, prawie nic, bo mama nie lubiła pieśni o Oce ani AL czy PPR. Tak czy siak, w mojej patriotycznej rodzinie, rodzinie z tradycjami akowskimi, niemal nic się nie rozmijało z tym, co mówiła szkoła. Owszem, szkoła nie mówiła wszystkiego, np. temat Katynia to było tabu, ale przecież w domu też nie epatowano mnie Katyniem, nie jątrzono, nie rozdrapywano ran. Rodzice najwyraźniej uważali, że do tych zakazanych prawd sam prędzej czy później dojdę. Póki byłem dzieckiem, chcieli mnie chronić, bali się, żebym czegoś w szkole nie wypaplał. Ale czasem było i tak, że to nie dom, lecz szkoła waliła prawdę bez ogródek. Mój nauczyciel historii, niezapomniany Stefan Podkowiński ze Szkoły Podstawowej nr 7… Dedykowałem mu (oraz Bogusławowi Pendzejowi z liceum) moją książkę „Jak oszukać Rosję?". Do dziś widzę Podkowińskiego, gdy na lekcji opowiada o rzezi Pragi: ręce uniesione do góry, lekko rozwiany siwy włos i wykrzyknienia o żołnierzach Suworowa: „Te zwierzęta, te bydlaki!".

A Pendzej to był nauczyciel historii w II Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Jana III Sobieskiego. Genialny dydaktyk. Na każdą lekcję przynoszono mapę i każdą najmniejszą miejscowość uczeń musiał na niej wskazać. Pendzej urządził pracownię historyczną, a w niej powiesił portrety prezydentów Rzeczypospolitej: Gabriela Narutowicza, Stanisława Wojciechowskiego, Ignacego Mościckiego i – uwaga – Władysława Raczkiewicza.

Portretu Bolesława Bieruta nie było?

– Jasne, że nie było. Zresztą Bierut był w czasach Gomułki źle widziany – to były „błędy i wypaczenia". Mój młodszy kolega, rocznik 1975, nie chciał mi uwierzyć, że w PRL-owskiej szkole wisiał sobie oficjalnie portret Raczkiewicza.

W szkole państwowej, dodajmy. W żadnej prywatnej.

– Oczywiście, państwowej. Prywatnych niemal nie było, choć istniały w ówczesnym Krakowie dwa licea prowadzone przez zakony: dla chłopców przez pijarów, dla dziewcząt przez prezentki. (…)

Jakiej proweniencji byli twoi nauczyciele? Jeszcze przedwojenni?

– Nie tylko przedwojenni, ale w niektórych przypadkach jeszcze sprzed I wojny światowej.

Czyli to oni przenieśli ten etos narodowy, patriotyzm?

– Stefan Podkowiński urodził się w 1897 r. w Kamionce Strumiłowej, w Galicji Wschodniej. Bogusław Pendzej był z Wołynia, ze Zwiahla (Nowogrodu Wołyńskiego). Nauczycielka matematyki w podstawówce, Maria Garbaczewska, była z rocznika 1890, pracę w szkole zaczęła przed I wojną. Największym ewenementem była moja nauczycielka matematyki w ogólniaku, Jadwiga Turkowska, córka powstańca styczniowego. Urodziła się w 1889 r. w Omsku na Syberii i tam zaczęła karierę pedagogiczną, na długo przed I wojną. Na matematyce oczywiście się nie mówiło o Raczkiewiczu czy Piłsudskim, ale w osobach tych matematyczek, Turkowskiej czy Garbaczewskiej, było jakieś tchnienie dawnego świata. Natomiast wychowawczyni, nauczycielka języka rosyjskiego, Janina Lewicka (rocznik 1900), teściowa historyka sztuki prof. Tadeusza Chrzanowskiego, spędziła dzieciństwo w przedrewolucyjnej Rosji i bardzo kochała kulturę rosyjską. Ona była cała sprzed rewolucji, lecz w dawnej Galicji znajomość rosyjskiego wśród nauczycieli była znikoma, więc zatrudniano i takich ludzi. Co oczywiście nie znaczy, że złych czy niekompetentnych,

Szkoła nie mówiła wszystkiego, np. temat Katynia był tabu, ale przecież w domu też nie nie rozdrapywano ran.

eprasa.pl 6f5983c5b5

lecz niepewnych ideologicznie, może nawet bardzo niepewnych. Lewicka swym poglądom nie dawała wyrazu, lecz gdy ją odwiedziłem, będąc już na studiach, zapytała z widocznym obrzydzeniem: „Dużo tam macie tego… marksizmu?”.

Ale jest jeszcze jedno. W moim liceum opiekował się kółkiem teatralnym Tadeusz Kudliński. Znany już przed wojną pisarz, krytyk teatralny. Mam go wciąż przed oczami: wysoki, postawny starszy pan. Miał stały kontakt z młodzieżą. My tego wtedy nie wiedzieliśmy, ale to był człowiek, który spędził siedem lat w stalinowskich więzieniach. Ktoś mu na ten kontakt z młodzieżą pozwolił.

A nauczyciele z powojennego zaciągu? Różnili się od tych, którzy karierę zaczynali przed wojną?

– Oczywiście, takich też miałem. Czy się różnili? Moja polonistka w liceum, Zofia Rychel, z domu Romanowska…

Rodzina?

– Nie, zupełnie nie. To była córka kmdr. Bolesława Romanowskiego, który walczył w marynarce wojennej na Zachodzie, a po wojnie wrócił do kraju. Ona, rocznik 1935, wstąpiła do PZPR i była dość zaangażowana.

Także ideowo?

– Była aktywną działaczką partii, żoną chyba esbeka, przed którym nawet przestrzegał mnie ojciec. To był jednak bardzo miły pan. Jak to u esbeków. Ale uwaga: na żadnych lekcjach nie było aż takiej swobody wyrażania poglądów jak na lekcjach pani Rychel, partyjnej nauczycielki. Wszystko można było powiedzieć.

Na przykład?

– Na próbnej maturze wybrałem temat „Wpływ socjalistycznych idei rewolucyjnych na kształtowanie polskiej literatury okresu międzywojennego”. To wypracowanie mam w domu. Oto próbki mojej terminologii i języka: „przewrót bolszewicki, który przywykliśmy nazywać Rewolucją Październikową”; „trudno się dziwić zdecydowanie wrogiemu nastawieniu Polaków do programu bolszewików”; „odraza do rewolucji”; „nieszczęście rewolucji komunistycznej”; „w latach międzywojennych Związek Radziecki był w pojęciu ówczesnych Polaków tym, czym w pojęciu dzisiejszych jest Niemiecka Republika Federalna”. (…)

Może jednak na lekcjach polskiego przemycała partyjne treści?

– W żadnym wypadku. Owszem, trzymała się programu, to naturalne. (…)

Po 1989 r. nie budziły twojego sprzeciwu coraz silniejsze nawoływania, by odsunąć partyjnych? I na ich miejsce wstawić własną, solidarnościową kadrę, która często nie miała pojęcia, o czym miała decydować?

– Pamiętam moją rozmowę z roku 1990 z prof. Zofią Kurzową. Powiedziała mi: „Odsuwa się ludzi kompetentnych, fachowców”. Odpowiedziałem, że trwa rewolucja, że muszą powstać nowe kadry. Pamiętam też z tego czasu moje wystąpienie na jakimś licznym zebraniu nauczycieli. Wygłosiłem rewolucyjne przemówienie, że teraz edukacja powinna być przede wszystkim w rękach tych, którzy robili podziemną oświatę. Słuchacze, wśród których było kilkoro ludzi mi znanych i uczciwych, bardzo się rozżalili i oburzyli. Po tym wystąpieniu długo miałem wyrzuty sumienia. Czyli coś zaczęło do mnie docierać.

Pamiętam atmosferę Października ’56, przemówienie Gomułki, którego rodzice słuchali przyklejeni do radia.

Nie pomyślałeś wtedy choćby o nauczycielce języka polskiego z twojego liceum? Że nie wolno wszystkich wrzucać do jednego worka?

– Pamiętaj, że z Ryśkiem Terleckim byłem w latach 80. bardzo zaangażowany w oświatę niezależną. (…) W roku 1989 uważałem, że mam prawo tak mówić. Ale to był ten krótki okres mojego rewolucjonizmu. Byłem wtedy tak naładowany odwetem, że mój kolega z rusycystyki, dr Grzegorz Przebinda (dziś profesor, poznał mnie z nim Andrzej Drawicz), zareagował słowami: „Czyli według ciebie komuniści powinni być wyjęci spod prawa?”. Dopiero wtedy otrzeźwiałem. (…)

Fragmenty wywiadu rzeki Pawła Dybicza z prof. Andrzejem Romanowskim „Życie pełne historii”, wydanego przez „Przegląd”

Przegląd

KSIĄŻKA Z AUTOGRAFEM!

W pasjonującej rozmowie **prof. Romanowski** wspomina spotkania z Giedroyciem, Miłoszem i Michnikiem. A także z Terleckim, Rokitą i... Rydzykiem.

Dostępna także w formie e-booka **79 zł**

Zamów na **sklep.tygodnikprzegland.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

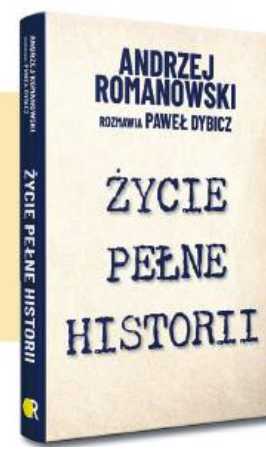

eprasa.pl 6f5983c5b5

PIERESTROJKA A ZJEDNOCZENIE NIEMIEC

Od 1989 r. kierownictwo ZSRR nie było już w stanie nadążać za dynamiką zmian

Jarosław Dobrzański

Gdy na obszarze czterech stref okupacyjnych utworzonych przez aliantów po zakończeniu II wojny światowej powstały w 1949 r. dwa odrębne państwa niemieckie, nikt nie przypuszczał, że oderwana od macierzy Niemiecka Republika Demokratyczna wraz z Berlinem Wschodnim stanie się geopolityczną bombą z opóźnionym zapłonem. Bombą, która wybuchnie za 40 lat, odwracając porządek jałtański i pozbawiając Związek Radziecki owoców wojennego zwycięstwa nad Niemcami. Obalenie muru berlińskiego (9 listopada 1989 r.) było tego więcej niż przejawem.

Z perspektywy kolejnych sekretarzy generalnych KPZR powojenna konfiguracja polityczna Europy wydawała się – pod groźbą następnej wojny światowej – nieodwracalna. W tym błogim przekonaniu utrzymywała ich zideologizowana, moralistyczna wizja historii, której rzekome prawa (i sprawiedliwość) ustanowiły taki porządek. Z kolei poniesione ofiary i ostateczny triumf wojenny nad hitleryzmem były dla ZSRR dodatkową, obok ideologii, podstawą zbiorowej tożsamości i legitymacji jego władzy, zarówno wewnątrz Kraju Rad, jak i na arenie międzynarodowej. Wydawać by się mogło, że w tak domkniętym układzie w bardzo długiej perspektywie żaden wyłom nie będzie możliwy.

Tymczasem po drugiej stronie żelaznej kurtyny, która podzieliła Europę na dwa zwalczające się obozy, a niedawnych aliantów przekształciła we wrogów, prawie żaden spośród przywódców politycznych najważniejszych państw nie traktował podziału – ani Europy, ani Niemiec – jako sprawy na zawsze przesądzonej. Toteż ponowne zjednoczenie Niemiec nie spadło z nieba mocą niezbadanych wyroków opatrzności czy dyktatu historii. Było wynikiem wieloletnich oczekiwań i zabiegów, których urzeczywistnieniu pomogły sprzyjająca koniunktura polityczna i umiejętności głównych graczy, potrafiących wykorzystać nadarzającą się okazję – *window of opportunity*, które otworzyło się na chwilę na przełomie lat 1989 i 1990. Zachód od dawna, metodycznie przygotowywał się na taką ewentualność, prowadząc wyrafinowaną grę ze Związkiem Radzieckim. W jej trakcie relacje między stronami oscylowały od wrogości na granicy gorącej wojny do odprężenia i kooperacji. W ostatecznym rozrachunku geopolityczna gra zakończyła się sukcesem Zachodu.

Zjednoczenie Niemiec było wynikiem wieloletnich oczekiwań i zabiegów, a pomogły w nim koniunktura polityczna i umiejętności głównych graczy.

Jednak bezprecedensowa sytuacja polityczna i towarzysząca jej radykalna zmiana polityki ZSRR wobec państw satelickich, którą w 1989 r. można było obserwować na przykładzie reakcji na wydarzenia w NRD, nie była przyczyną nowego podejścia. Przeciwnie – była jego objawem i skutkiem. Zainicjowana przez Gorbaczowa pierestrojka nie skupiała się wyłącznie na sprawach wewnętrznych, lecz rozmachem reformatorskim objęła także sprawy międzynarodowe. Kluczową frazą porządkującą od teraz ten obszar stało się *nowoje politiczeskoje myszlenije*, zapowiadające głęboką przebudowę wyobraźni politycznej klasy rządzącej.

Program zmian

Zmiany paradygmatu myślowego miały charakter głęboki i rewolucyjny i przełożyły się na sferę praktyki politycznej oraz dyplomatycznej. Zaproponowany przez nowego genseka program zmian był gruntowny i rozpoczynał się od bezprecedensowej reformy edukacji politycznej. Po raz pierwszy w programach studiów uniwersyteckich pojawiły się międzynarodowe stosunki polityczne. W nauczaniu polityki zerwano z ograniczeniami ideologicznymi i otwarto się na zachodnie wzorce, do tej pory z góry odrzucane i potępiane jako „nauka burżuazyjna" służąca interesom imperialistycznym. Idee Lenina postawiono na głowie, głosząc poglądy na wskroś rewizjonistyczne, by nie powiedzieć kontrrewolucyjne.

W pewnym momencie można było odnieść wrażenie, że największym przeciwnikiem ideowym nie jest już dla Gorbaczowa Ronald Reagan, który, strasząc wizją „gwiezdnych wojen", chciał zakończyć istnienie „imperium zła" (nie mówiąc o liderach państw zachodnioeuropejskich, w których towarzystwie przywódca

eprasa.pl 6f5983c5b5

W relacjach Michaiła Gorbaczowa z Erichem Honeckerem właściwa hierarchia zależności została odwrócona.

radziecki czuł się jak w domu). Takim przeciwnikiem stał się np. szef partii i państwa w NRD Erich Honecker, który nie dość, że kurczowo trzymał się konserwatywnego stylu z poprzedniej epoki, to jeszcze pozwalał sobie pouczać publicznie, z pozycji zasłużonego i zaprawionego w ideologicznych bojach z imperializmem komunisty seniora, młodszego kolegę, wyliczając i piętnując karygodne jego zdaniem zachowania niektórych towarzyszy radzieckich na arenie międzynarodowej. Nienawykły do bycia karconym Gorbaczow musiał wysłuchiwać – i to przed własną publicznością, w Moskwie – tyrad Honeckera rozwścieczonego licznymi wystąpieniami w telewizji zachodnioniemieckiej niedysydenckich pisarzy radzieckich.

W relacjach Gorbaczowa z Honeckerem właściwa hierarchia zależności – pomimo formalnej podległości przywódcy państwa satelickiego wobec hegemona – została odwrócona. Nieformalną podstawą takiego stanu rzeczy było uzurpowanie sobie przez niemieckiego towarzysza starszeństwa w międzynarodówce komunistycznej, a co za tym idzie, większego kapitału doświadczenia, zasług i wiedzy. Honecker nie był pod tym względem wyjątkiem. Todor Żiwkow, Gustáv Husák, Miloš Jakeš czy Vasil Bilak również pozwalali sobie pouczać młodego sekretarza KPZR w sprawach ideologii czy w materii stosunków z państwami kapitalistycznymi. Ale przede wszystkim krytykowali jego domniemane przyzwolenie na bierność polskich towarzyszy w obliczu przetaczającej się przez PRL kontrrewolucji, zagrażającej erozją podstaw socjalizmu w całym obozie. O Nicolae Ceauşescu nawet nie wspominam.

Gorbaczow dość długo był utrzymywany w błędnym przekonaniu o wiodącej wśród państw bloku wschodniego roli NRD jako państwa „dojrzałego socjalizmu", będącego wzorem do naśladowania, zwłaszcza pod względem rozwoju technologicznego i przemysłowego oraz porządku społecznego i stabilności ustrojowej.

Jeszcze w lipcu 1987 r. zjednoczenie Niemiec wydawało się Gorbaczowowi odległą wizją. To, co wedle jego opinii, wygłoszonej wtedy w Moskwie w obecności prezydenta RFN Richarda von Weizsäckera przy okazji jego wizyty państwowej, nie miało się wydarzyć wcześniej niż za sto lat, stało się faktem w ciągu zaledwie trzech lat. Gdyby potraktować to twierdzenie Gorbaczowa jako miarę realizmu jego myślenia politycznego, trzeba by przyznać, że sekretarz generalny dysponował poczuciem rzeczywistości w formie szczątkowej. Prawdopodobnie jednak ta nader optymistyczna teza była nie tyle przewidywaniem czy zapowiedzią przyszłości, ile pokrzepiającym pobożnym życzeniem wygłoszonym w obliczu przeczuwanej porażki.

Od tego momentu sprawy zaczęły nabierać rozpędu, a od 1989 r. kierownictwo ZSRR nie było już w stanie nadążać za dynamiką zmian. Kiedy jednak przyglądamy się przebiegowi negocjacji w „kwestii niemieckiej", to pomimo upływu tylu lat wciąż zdumiewa, że ekipa reformatorów przystąpiła do nich tak słabo przygotowana. Właściwie bez precyzyjnego planu rozpisanego na etapy i głosy poszczególnych uczestników ze strony Moskwy. Bez koordynacji działań i uzgodnienia własnego stanowiska, bez antycypowania i zrozumienia celów drugiej strony, tzn. Niemiec i USA, ale także pozostałych uczestników rozmów w zaproponowanym przez Zachód i przyjętym przez Rosję formacie 2+4. Format ten w ostatniej fazie, po szybkim przełamaniu oporów Wielkiej Brytanii i równie sprawnym dostosowaniu się Francuzów do opinii większości, przekształcił się w nierówną walkę pięciu na jednego.

Pierestrojka nie skupiała się wyłącznie na sprawach wewnętrznych, lecz rozmachem reformatorskim objęła też sprawy międzynarodowe.

FOT. AKG/EAST NEWS

eprasa.pl 6f5983c5b5

Osiem opcji

W puli potencjalnych korzyści Rosjanie mieli do wygrania następujące opcje:

1) wycofanie sił amerykańskich z Europy Zachodniej (na zasadzie wzajemności i ekwiwalencji w zamian za wycofanie wojsk radzieckich z Europy Wschodniej);

2) demilitaryzację Niemiec;

3) neutralność Niemiec;

4) całkowite wycofanie Niemiec z NATO;

5) wycofanie Niemiec ze struktur wojskowych NATO;

6) pozostawienie na obszarze RFN wojsk USA, ale nieprzyjmowanie Niemiec do NATO;

7) zakaz rozmieszczania sił NATO na obszarze byłej NRD;

8) wpisany do porozumienia zakaz czy dobrowolną deklarację nieprzyjmowania do NATO byłych członków Układu Warszawskiego w przypadku jego dezintegracji.

Na pytanie sekretarza stanu Jamesa Bakera, na której z tych opcji najbardziej mu zależy, Gorbaczow odpowiedział, że jeszcze nie ma wyrobionego zdania, ale niebawem w Moskwie odbędzie się dyskusja na te tematy w gronie ekspertów i kierownictwa. Ostatecznie Rosjanie nie uzyskali żadnej z tych opcji. Moskwa nie skorzystała też z okazji, by poprzeć czteropunktowy plan premiera Hansa Modrowa, zakładający „militarną neutralność RFN i NRD w drodze do federacji". Warunki, na które Amerykanie i ich sojusznicy ustnie przystali – przede wszystkim zaniechanie wschodniej ekspansji NATO („ani o jeden cal na wschód", jak zapewniał Baker, co poświadczył obecny przy tej rozmowie ambasador USA Jack Matlock) – okazały się gołosłownymi obietnicami, których nikt nie zamierzał dotrzymać.

Argumentem, który przekonał Gorbaczowa do rezygnacji z obu wcześniej podtrzymywanych żądań – neutralności Niemiec i wyłączenia ich ze struktur NATO – było przypuszczenie, że neutralne i uwolnione od nadzoru aliantów Niemcy mogłyby samodzielnie dążyć do rozbudowy potencjału militarnego, a nawet do posiadania broni nuklearnej. Lepiej więc z góry oddać je pod kontrolę Amerykanów, przesuwając przy tym amerykańską jurysdykcję wojskową na cały obszar likwidowanej NRD i zbliżając NATO do własnych granic. Gorbaczow uważał, że bezpieczeństwo zapewni mu kontynuacja Układu Warszawskiego po przekształceniu jego formuły w „oparty na demokratycznych zasadach pakt suwerennych i równych państw". Toteż jeszcze 12 czerwca 1990 r., referując przed Radą Najwyższą ZSRR wyniki waszyngtońskiego szczytu amerykańsko-radzieckiego, był przekonany, że oba rywalizujące pakty militarne przetrwają „dłużej, niż można to sobie wyobrazić". A przecież już w lutym tego roku, podczas wizyty Václava Havla w Moskwie, podpisane zostało porozumienie ministrów spraw zagranicznych obu państw w sprawie wyprowadzenia Centralnego Zgrupowania Sił Układu Warszawskiego z Czechosłowacji do końca maja 1990 r. oraz wycofania wszelkiego wyposażenia i obecności wojskowej do czerwca 1991 r.

Gorbaczow długo był utrzymywany w błędnym przekonaniu o wiodącej wśród państw bloku wschodniego roli NRD jako państwa „dojrzałego socjalizmu".

Koszty zarządzania imperium zaczęły przeważać nad korzyściami z jego posiadania.

Unieważniona doktryna

Po faktycznym, dobrowolnym i jednostronnym unieważnieniu „doktryny Breżniewa", po wielokrotnych i solennych zapowiedziach powstrzymania się od interwencji, po wycofaniu poparcia dla komunistów z NRD (zarówno zachowawczych, jak i zreformowanych), gdy w imieniu obu państw niemieckich jednogłośnie wypowiadały się już tylko konserwatywne rządy, bezapelacyjna wygrana Amerykanów i Niemców stała się automatycznie jedyną możliwą opcją. Gdy dokładnie przyjrzymy się przebiegowi wydarzeń, w postępowaniu ekipy Gorbaczowa uderza brak jednoznacznie i zrozumiale określonego własnego stanowiska i pożądanego celu, całkowity brak logiki w argumentacji i brak konsekwencji. Nade wszystko zaś niezrozumiała i dziwna okoliczność, która sprawiła, że ostateczne ustępstwo i zgoda Rosjan na głębokie przeobrażenie powojennego ładu europejskiego – dotyczące spraw najważniejszych z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa – doszły do skutku właściwie w wyniku jakiegoś niedopowiedzenia, nieporozumienia czy przejęzyczenia się Gorbaczowa, którego nikt nie odważył się czy nie był już w stanie wycofać lub skorygować. A rozwiązanie, pod którym podpisała się strona rosyjska, było przecież – z każdego punktu widzenia – równoznaczne z unieważnieniem porządku jałtańskiego, naruszeniem dotychczasowej równowagi geopolitycznej i utrwalonych zasad wzajemnego bezpieczeństwa oraz przekreśleniem owoców udziału ZSRR w zwycięstwie w II wojnie światowej.

Nic dziwnego, że Amerykanie słusznie odebrali to – i świętowali – jako całkowitą kapitulację ZSRR. Najważniejsze z ich punktu widzenia były trzy cele: zgoda na bezwarunkowe zjednoczenie Niemiec przy uzyskaniu przez nie pełnej i nieograniczonej suwerenności, niezgoda na neutralizację zjednoczonych Niemiec i włączenie zjednoczonych Niemiec do NATO jako pełnoprawnego członka Sojuszu z natychmiastowym zastosowaniem art. 5 i 6 Traktatu Północnoatlantyckiego. Wszystkie te cele zostały osiągnięte.

Ze swojej strony Gorbaczow, w imieniu ZSRR i państw członkowskich dogorywającego Układu

eprasa.pl 6f5983c5b5

Warszawskiego, zgłosił następujące absurdalne propozycje: „podwójne członkostwo" zjednoczonych Niemiec w obu paktach wojskowych (tj. NATO i UW) lub równoczesne przyłączenie do NATO razem z Niemcami ZSRR. Oczywiście te kuriozalne propozycje zostały odrzucone.

Marzenie Gorbaczowa o „wspólnym domu" – pojawiające się w różnych wariantach, zależnie od tego, gdzie i do kogo przemawiał: we wspólnym europejskim domu, gdy brylował w stolicach Europy Zachodniej, we wspólnym podbiegunowym domu, gdy w Murmańsku adresował swoje postulaty do Skandynawów, czy we wspólnym domu azjatyckim, który przywoływał we Władywostoku – oznaczało niespełnione pragnienie wyjścia z logiki konfrontacji. Z uwarunkowań i ograniczeń świata dwubiegunowego ku wspólnej planecie, humanitarnemu współistnieniu, współodpowiedzialności i współdziałaniu. Ostatnia utopia, którą Gorbaczow próbował zastąpić zawiedzione marzenia pierwszych pokoleń komunistów o światowej rewolucji.

Z negocjacyjną amatorszczyzną i niedbalstwem Rosjan ostro kontrastowała postawa drugiej strony, która doskonale, metodycznie przygotowała się do rozpisanej na wiele etapów i osób serii rozmów. I trzymała się do końca starannie przemyślanego oraz wypracowanego planu. Składały się na niego błyskotliwe i chwytliwe fortele, takie jak atrakcyjne powiązanie dziewięciu pojedynczych celów w jeden spójny „pakiet dziewięciu gwarancji" dla ZSRR. Ten zestaw rzekomo korzystnych „gwarancji" (w istocie były one bardzo korzystne, ale tylko dla Niemiec i USA) wywarł duże wrażenie i bardzo przypadł do gustu Gorbaczowowi, czego Amerykanie – gratulując sobie pomysłu – nie omieszkali zauważyć.

Inną metodą było systematyczne „urabianie" członków delegacji rosyjskiej przez kolejnych rozmówców z poszczególnych państw, reprezentujących różne szczeble w hierarchii – od wysokich rangą doradców, przez szefów dyplomacji, po głowy państwa – którzy powtarzali i utrwalali w umysłach swoich radzieckich partnerów te same schematy argumentacji, wcześniej sprawdzone i przećwiczone. Takiej strategii sprzyjała okoliczność, że wszyscy zaangażowani w ten proces zachodni dyplomaci i przywódcy byli doświadczonymi w swoim fachu profesjonalistami, najczęściej prawnikami, jak George Bush senior czy sekretarz stanu James Baker. Wszyscy dobrze się znali, wielu współpracowało ze sobą od lat.

Po drugiej stronie, naprzeciw tego „seminarium", stanął dość przypadkowy zespół złożony z nowicjuszy i aparatczyków z drugiego czy trzeciego rzędu, którzy na fali pierestrojki robili przyśpieszone kariery z partyjnego nadania. Nie odebrali elitarnego wykształcenia na najlepszych uniwersytetach, nie praktykowali przez lata prawa w prestiżowych firmach, nie ćwiczyli się w pracy politycznej w nowoczesnych partiach i administracjach państw zachodnich. Nie bywali na Zachodzie, nie rozumieli go, nie znali panujących tam reguł czy zwyczajów. Zabrakło wśród nich odstawionych na boczny tor zaprawionych w bojach dyplomatów starej szkoły, takich jak Andriej Gromyko – legendarny „Mister Niet". Eduard Szewardnadze przy nim był tylko przestraszonym żółtodziobem. Poza Gorbaczowem nie znalazła się w tej ekipie ani jedna postać wielkiego formatu, a i sam Gorbaczow nie dorastał przecież wyrobieniem, obyciem i doświadczeniem do prestiżu, jakim cieszył się w zachodnich mediach.

Istotnym czynnikiem fundamentalnej zmiany było też nierzucające się w oczy, ale stale postępujące przekształcenie, jakiemu od ponad dwóch dekad podlegało społeczeństwo ZSRR. Profesjonalizacja inteligencji, upodabnianie się stylu życia warstw wykształconych w miastach – początkowo tylko powierzchowne – do zachodniego, naśladowanie obcych modeli konsumpcji, reorientacja społecznych aspiracji, potrzeb i pragnień, których pełne zaspokojenie wydawało się przekraczać możliwości dotychczasowego ustroju gospodarczego i politycznego, to tylko niektóre spośród wielu symptomów tego spontanicznego przekształcenia. Wynikająca stąd utrata pewności elit, podważanie tradycyjnych podstaw legitymizmu – młode pokolenia nie przeżywały już wspomnienia wielkiej wojny ojczyźnianej jako formatywnego doświadczenia tożsamościowego – i równoczesne podważanie ideologicznej legitymacji władzy skutkowały utratą zaufania i szacunku wobec państwa.

Powojenne zdobycze terytorialne ZSRR, które poszerzyły jego strefę wpływów, pozwoliły odbudować i rozbudować imperium, ale z upływem czasu stały się obciążeniem. Wystąpiło zjawisko, które specjaliści określili mianem imperialnego nadwyrężenia (*imperial overstretch*). To komplikacje i trudności będące rezultatem nadmiernego rozciągnięcia i rozmachu imperialnego, które przekroczyły zdolność centrali do skutecznej kontroli oraz ukróciły możliwość czerpania korzyści z pozycji hegemona. Koszty zarządzania imperium zaczęły przeważać nad korzyściami z jego posiadania. Gorbaczow tak jak jego poprzednicy zdawał sobie z tego sprawę, ale środki, które zastosował w ramach strategii naprawczej – szeroko zakrojona modernizacja i humanizacja imperium na wzór zachodni – przyniosły skutki odwrotne do zamierzonych. Gorbaczow uruchomił łańcuch procesów, nad którymi stracił kontrolę. Wymykająca się kontroli dynamika tych procesów doprowadziła ostatecznie do rozpadu imperium. Zjednoczenie Niemiec, podobnie jak włączenie ich do struktur wojskowych NATO, okazało się jedną z niezamierzonych konsekwencji programu naprawczego, który w zamysłach reformatorów miał wzmocnić państwo radzieckie.

Środki, które zastosował Gorbaczow w ramach strategii naprawczej, przyniosły skutki odwrotne do zamierzonych.

Jarosław Dobrzański

eprasa.pl 6f5983c5b5

troje na jedną

JEDNA:
SYLWIA CHUTNIK
TROJE:
PATRYCJA DOŁOWY
JOANNA HAŃDEREK
PAWEŁ SĘKOWSKI

FEMINIZM TO NIEZGODA NA DYSKRYMINOWANIE MNIE TYLKO DLATEGO, ŻE JESTEM KOBIETĄ

Fragmenty rozmowy, która ukazała się w najnowszym numerze „Zdania" (3/2024) – w wersji papierowej do nabycia w Empikach, w wersji elektronicznej na sklep.tygodnikprzeglad.pl.

PATRYCJA DOŁOWY: Ważnym tematem dla ciebie są prawa osób LGBT. Ten temat zawsze się przewijał w twoim aktywizmie. Dzisiaj jesteś jedną z twarzy ruchu, prowadzisz podcast. Chciałam cię zapytać o twój coming out, oczywiście jeśli to jest dla ciebie w porządku i nie masz nic przeciwko.

SYLWIA CHUTNIK: Spoko. Mój out miał miejsce cztery lata temu, kiedy nie tylko rządził PiS, ale trwała totalna nagonka na osoby nieheteronormatywne. Transfobia, homofobia sączyły się z TVP, z ust rządzących, samego prezydenta. „Strefy wolne od LGBT". Jednocześnie coraz głośniej mówiono o samobójstwach i problemach ze zdrowiem psychicznym, zwłaszcza u młodych osób. I to mnie już totalnie odpaliło. Wiele rzeczy mogłam znieść, ale te dzieciaki wywalane z domów albo które popełniają samobójstwo, włączyły we mnie chyba matkę. Chodziłam i dostawałam szału. Nigdy nie byłam osobą, która mówi o swoich prywatnych rzeczach, czy w związku hetero, czy w związku queerowym. I wcale mi się nie uśmiechało robić tego outu, bo nie jestem osobą, która w mediach społecznościowych wrzuca zdjęcia z osobą, z którą jest, nawet na prywatnych social mediach. Więc dla mnie ta decyzja była przekroczeniem siebie. To nie było jakieś super. Wiedziałam, co się z tym outem wiąże. Nie wiedziałam, że aż na taką skalę, że publicznie zacznie być analizowane moje życie seksualne, np. w komentarzach na Pudelku. Natomiast zwyciężyło we mnie poczucie odpowiedzialności: muszę o tym powiedzieć. Cena nie jest aż tak wysoka w porównaniu z wagą sprawy. Jestem niezależna ekonomicznie, mieszkam w dużym mieście, mam wolny zawód, w tym sensie, że nie mam nad sobą żadnego szefa czy szefowej i nigdy w życiu nie miałam. I niech tak zostanie. Jestem dorosła, mam prawie dorosłego syna. A nawet, gdybym miała coś na tym stracić, to mój wkurw był silniejszy. Przecież jesteśmy w Unii Europejskiej – i naprawdę nikt nie reaguje?!

Ciekawe w tym wszystkim jest to, że ja nigdy nie ukrywałam relacji z kobietą, którą wtedy miałam. A mimo wszystko ludzie kojarzyli mnie jako sojuszniczkę, a nie osobę ze środka ruchu. Myślę, że wpłynął na to fakt, że mam syna, działalność w Fundacji MaMa. Przed moim outem zdarzało się, że szłam w marszu równości, zresztą z moją ówczesną partnerką, i np. podchodzi jakaś młoda osoba queerowa i mówi: „Pani Sylwio, bardzo dziękujemy za wsparcie naszej community". Na to moja partnerka w śmiech i że super, że nas wspierasz, i dzięki za to! Przez długi czas funkcjonowałam jako zewnętrzna osoba wspierająca ruch LGBT.

DOŁOWY: Ta, co z każdym może współpracować: z jednej strony katolickie rodziny 3+, z drugiej ruch LGBT…

eprasa.pl 6f5983c5b5

CHUTNIK: Tak, z wszystkimi pogada: do tańca i do różańca! Ten mój out był po to, żeby pokazać tym wszystkim zaszczuwanym dzieciakom, że tak można.

PAWEŁ SĘKOWSKI: Czy to był out lesbijki, czy osoby biseksualnej? Wikipedia naucza, że zrobiłaś „coming out jako lesbijka".

CHUTNIK: Jako osoba panseksualna, czyli niezależnie od tożsamości genderowej i orientacji seksualnej. Nie mówiłam, czy jestem lesbijką, czy osobą biseksualną – po prostu, że jestem w związku z kobietą. Nie nazywałam tego. Mówienie, że jestem panseksualna niczego ważnego by nie wnosiło do sprawy, a chodziło mi przede wszystkim o sygnał, że jestem jedną z was. Jak ktoś chce, mogę być dla niego lesbijką.

SĘKOWSKI: Na etapie autoryzacji naszej rozmowy sama już uznasz, jak chcesz to mieć w druku.

CHUTNIK: Myślę, że panseksualizm też jest dobry dla sprawy. Jestem osobą niezważającą na płeć biologiczną, z którą dana osoba się identyfikuje. Po prostu jestem z osobą. W 2020 gdy zrobiłam out, wiedziałam, że muszę być tą lesbijką, bo inaczej przepalą się bezpieczniki, nie będzie wiadomo, o co chodzi. Nie wykorzystywałam potem mojego outu w celach autopromocyjnych, a była taka pokusa i wiele możliwości, ponieważ bardzo szybko mogłabym stać się „medialną lesbijką". Mogłabym w mediach społecznościowych prowadzić kącik „Jak żyją lesbijki". Trochę oczywiście ironizuję. Natomiast z różnych względów nie chciałam nieść tego kagańca oświaty lesbijskiej, bo są od tego inne dziewczyny, np. Renata Lis. No i super, bo ona robi to wspaniale. Ona wzięła niedawno ślub ze swoją wieloletnią partnerką, a ja jestem lesbijką, która mogłaby też być z mężczyzną.

SĘKOWSKI: Z całej naszej dzisiejszej rozmowy jasno wynika, że jesteś osobą jednoznacznie lewicową. Nawet powiedziałaś – zanotowałem sobie cytat: „Jestem aktywistką, z sercem mocno po lewej stronie". Zanim przejdziemy do tego, co to dla ciebie oznacza, zapytam o twoją opinię o polskiej lewicy instytucjonalnej, takiej jaką realnie mamy...

CHUTNIK: Mogłabym oczywiście rozpocząć od żartu: przepraszam bardzo, ale czego dotyczy to pytanie? Ale nie będę taką świnią, bo jednak są osoby, które są rzeczywiście lewicowe i doceniam je, nawet jeśli czasem się z nimi nie zgadzam. Zauważam ich pracę. W czasie strajku kobiet patrzyłam bardzo życzliwie w stronę tzw. kobiet lewicy. Wydawało mi się wtedy, że coś z tego będzie, bo coś krążyło między nimi. Pamiętam, że kiedy pod koniec 2020 r. dostałam nagrodę Ambasadorki LGBT+ Diamonds Awards, to razem ze mną nominowane były m.in. posłanki lewicy. Miałam wtedy poczucie, że trwa jakiś superczas, dzieją się wielkie rzeczy. To się potem rozproszyło albo może ja nie jestem świadoma jakichś rzeczy. Może te same polityczki lewicy dalej robią dobre rzeczy, tylko mniej spektakularnie? Bo często jest tak, że ludzie wykonują robotę, a nam się wydaje, że nic nie robią.

JOANNA HAŃDEREK: Ogólnopolski Strajk Kobiet – jako organizacja – niewątpliwie jest dzisiaj w kryzysie, są różne wewnętrzne niesnaski...

CHUTNIK: Tak, ale idea czerwonej błyskawicy pozostała. Jeżdżąc po Polsce, a bardzo dużo jeżdżę, także do mniejszych ośrodków, widzę sporo różnych działań, nawet koła gospodyń wiejskich. Są to często dziewczyny, które się zebrały albo zaktywizowały w czasie strajku kobiet. Uważam, że to gdzieś pulsuje w narodzie, wytworzyła się jakaś energia. Więc ta lewicowość jest. Natomiast gdybym miała odnosić się do wyników wyborczych, to jest zupełnie niesamowite, co się u nas dzieje. Młodzi ludzie są z natury zbuntowani i radykalizm ich przyciąga, czy to na lewo, czy na prawo. Bardzo mi utkwiły w głowie te badania sprzed kilku lat na temat postaw młodych kobiet i mężczyzn, ta dramatyczna przepaść między ich poglądami. Myślę sobie wtedy o moich koleżankach, które ciągle nie mogą znaleźć partnerów, mimo że są cudowne, świetne, mądre, niezależne, zabawne, piękne. Co rusz z facetów, którzy wydawali się tacy postępowi i lewicowi, wyłażą różne konserwatywne schematy i patriarchalne myślenie. Bardzo mnie niepokoi ten rozdźwięk: widzę progresywność, otwartość, chęć zmian, ciągłe edukowanie się i pracowitość kobiet, zwłaszcza młodych, a z drugiej strony to zawieszenie czy nawet regres młodych mężczyzn. Żeby lewica polityczna była silniejsza, musi być więcej lewicowości w naszym funkcjonowaniu społecznym, po prostu w codzienności. Paradoksalne jest, że widzę dużo lewicowości u moich znajomych, którzy mają za sobą przeszłość harcerską albo w Klubach Inteligencji Katolickiej. To jest niebywałe, trzeba by o tym zrobić jakieś badania!

> Ten mój coming out był po to, żeby pokazać wszystkim zaszczuwanym dzieciakom, że tak można.

SĘKOWSKI: A co z tą lewicą mainstreamową: parlamentarną? Ciekawe, że sporo mówisz o ruchach społecznych, inicjatywach oddolnych, a pomijasz tę rzeczywistość partyjną, parlamentarną. Nie chodzi mi o rzucanie

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 6f5983c5b5

nazwiskami, tylko o pytanie: czy uważasz, że jest jakaś nadzieja dla lewicy politycznej? A może, jak twierdzi wiele osób, wystarczy Koalicja Obywatelska, ze swoim lewym skrzydłem, która w końcu zje lewicę?

CHUTNIK: Koalicja Obywatelska już zjadła lewicę, tę partyjną. Ale kto ma być tym lewym skrzydłem w KO?

SĘKOWSKI: Choćby Marek Borowski, który sam tak o sobie mówił w rozmowie „Troje na jednego", półtora roku temu [„Zdanie" 1/2023 – przyp. red.]. Albo Barbara Nowacka i Inicjatywa Polska. Ja nie mówię, że tak jest, ale społeczeństwo zaczyna tak myśleć.

CHUTNIK: Ktoś kiedyś powiedział, że polska lewica jest odpowiednikiem centroprawicy wszędzie indziej w zachodniej Europie. I chyba tak jest. Nic tutaj mądrzejszego bym nie dodała. Oczywiście mam nadzieję, że nie oczekujecie, żebym teraz podała receptę na polską lewicę parlamentarną, bo tego wam nie powiem. Nie wiem, co by się miało wydarzyć, żeby wyniki wyborów były lepsze. Bo rozumiem, że program lewicy jest sensowny, dla mnie jest.

SĘKOWSKI: Może polskiej lewicy potrzeba wiarygodnej kobiety na czele?

CHUTNIK: Tak, to na pewno skutkowałoby jakimś zjednoczeniem kobiet w wyborach. Szkoda, że to się nie stało tuż po strajku kobiet, żeby wykorzystać tamten potencjał. Chociaż i tak uważam, że akcja profrekwencyjna skierowana do kobiet przed wyborami 15 października zeszłego roku była wielkim sukcesem. Przypominam sobie różne badania, dlaczego ludzie chcieli zmiany politycznej w Polsce, i aborcja była zawsze na jednym z najwyższych miejsc. Czasami gorzko sobie myślę, może lewica jest już niepotrzebna we współczesnym społeczeństwie konsumpcyjnym, w którym 75% widzi samych siebie jako klasę średnią – to wyniki niedawnych badań. Może ta klasa średnia nie jest lewicowa, tylko jest właśnie za Koalicją Obywatelską, czyli za naszym polskim centrum, które według mnie jest cywilizowaną prawicą. Może po prostu takie jest nasze społeczeństwo.

DOŁOWY: Czy masz jakieś marzenie, jaka powinna być lewica? Zakładając, że jednak powinna dalej istnieć. To jest w innej formie pytanie o to, czym tak naprawdę jest lewica dla ciebie.

CHUTNIK: Moją lewicę widzę jako aktywność oddolną. Jestem trochę rozczarowana osobami, które przeszły drogę od ruchu społecznego i NGO-sów, poprzez samorząd, do Sejmu czy europarlamentu. Swoją drogą uważam, że taka właśnie powinna być droga do parlamentu. Ale te NGO-sy nie powinny być trampoliną do osobistej kariery, tylko niezbędnym doświadczeniem na drodze do sprawczego, decyzyjnego zmieniania świata w polityce krajowej i europejskiej. Ta oddolność i związane z nią ideały są dla lewicy najważniejsze, tego nie można potem zagubić, bo inaczej przestaje się działać lewicowo. Ja mogę jedynie się przyczynić do wprowadzania tych lewicowych wartości „miękkimi" środkami, oddolnie. Nie będę ściemniała, że mam jakąś inną cudowną receptę na lewicę.

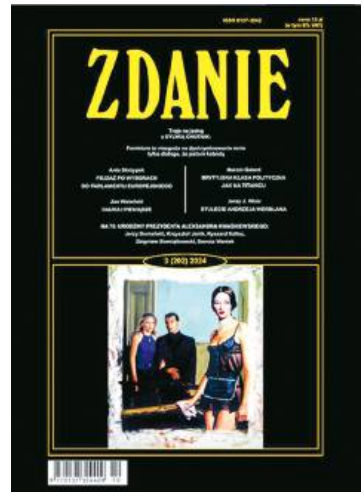

SĘKOWSKI: A strajk kobiet nie był właśnie czymś takim? On wprawdzie nie przemeblował sceny politycznej, a nawet wewnętrznie nie przebudował partyjnej lewicy, ale wydaje mi się, że zasiane zostało ziarno, rozpoczęły się ważne zmiany mentalne, zwłaszcza w młodym pokoleniu.

CHUTNIK: Zmianę przyniósł na pewno, ale to nie było miękkie, tylko właśnie w duchu girl power. To nie wyglądało przecież tak: „Ssłuchaj, co myślisz o prawach kobiet?", tylko to było wielkie uderzenie. Co nie zmienia faktu, że bardzo wierzę w strajk kobiet, że to jest efekt wulkanu: mocno walnęło, ale cały czas słychać jeszcze ruchy tektoniczne, ziemia wibruje. Może mniej to widać z perspektywy Krakowa czy Warszawy, ale znakomicie widać w mniejszych ośrodkach. Po prostu pojawiła się aktywizacja kobiet. Czy one pójdą do samorządu, czy do rad kobiet, czy do NGO-sów, czy będą się nieformalnie spotykać na kawie raz w tygodniu i wypuszczać frustracje, dyskutując, jak być powinno, to w tym wypadku nie ma znaczenia. Wydawało mi się, że to nie będzie dotyczyło tylko kobiet, bo przecież w protestach kobiet szli wszyscy.

Widzę progresywność, otwartość, chęć zmian, ciągłe edukowanie się i pracowitość kobiet, zwłaszcza młodych, a z drugiej strony to zawieszenie czy nawet regres młodych mężczyzn.

Oczywiście można powiedzieć, że moja koncepcja oddolnej lewicy jest jakimś regresem, bo jednak należy iść po władzę. Ale mocno czuję, że gdyby wszyscy wrócili trochę i przypomnieli sobie, o co w tym wszystkim chodzi, to może by to jakoś ruszyło. A o co chodzi? O system wartości, który jest mi bardzo bliski i wokół którego często się obracam. Zresztą bardzo często te wartości są bliskie wartościom chrześcijańskim.

SĘKOWSKI: Z jednej strony lewicowa solidarność społeczna, z drugiej solidaryzm wywiedziony z katolickiej nauki społecznej.

CHUTNIK: Tak i na tym gruncie pojawiają się różne, czasem bardzo nieoczywiste współprace. I to jest super, bo wtedy wychodzi się z tych wojenek i robi się razem bardzo konkretne rzeczy. Więc nie chodzi mi o jakieś abstrakcyjne dyskusje, szukanie wspólnego rdzenia ideowego itp. Żaden tam poziom meta – po prostu wspólne działanie.

Patrycja Dołowy, Joanna Hańderek, Paweł Sękowski

eprasa.pl 6f5983c5b5

Laury i medale w Klubie Krytyki Teatralnej

Gloria Artis dla współpracowników „Przeglądu”

W warszawskim Domu Literatury spotkali się członkowie Klubu Krytyki Teatralnej Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Rozmawiali o młodej krytyce po 11. edycjach Konkursu im. Andrzeja Żurowskiego na recenzję dla młodych krytyczek i krytyków.

Konkurs ten, w którym uczestniczyło już ponad 300 młodych krytyków, od początku wspierają urząd miasta i Teatr Miejski im. Witolda Gombrowicza w Gdyni. A od drugiej edycji także Urząd Marszałkowski Województwa Pomorskiego. Adres patronów nieprzypadkowy – w Trójmieście bowiem pracował przez lata patron imprezy, wybitny szekspirolog i wieloletni prezes Klubu Krytyki Teatralnej Andrzej Żurowski.

Druga część spotkania miała charakter uroczysty – troje członków klubu, związanych z konkursem od jego zainicjowania, otrzymało prestiżowe wyróżnienia.

Zarząd klubu nagrodził swoją honorową przewodniczącą i jurorkę konkursu, prof. Bożenę Frankowską, w 50-lecie jej pracy pedagogicznej Laurem im. Marty Fik. Wyróżnienie to zostało przyznane po raz pierwszy; nawiązuje do praktykowanego dawniej honorowania doświadczonych krytyków za ich dorobek życia. Prof. Frankowska, mająca na koncie kilka tysięcy recenzji i wiele publikacji książkowych, m.in. „Encyklopedię teatru polskiego” (2003), wywierała przez lata znaczący wpływ na uprawianie recenzji w Polsce. Miała też swój udział w nadawaniu kierunku scenie teatru lalek. W laudacji mówił o tym jeden z uczniów laureatki, Konrad Szczebiot.

Alina Kietrys i Tomasz Miłkowski odznaczeni Medalami Zasłużony Kulturze Gloria Artis.

Tomasz Miłkowski: W ostatnich dekadach wielokrotnie wręczałem nagrody i wyróżnienia. Nie przypuszczałem jednak, jak wielką przyjemnością jest nagrodę otrzymywać.

Patronkę nowej nagrody, mającej być dorocznym wyróżnieniem klubowym, wspominał jej były student Jan Bończa-Szabłowski, recenzent „Rzeczpospolitej” i gospodarz „Wieczorów Literackich” na antenie RDC.

Medale Zasłużony Kulturze Gloria Artis, przyznane przez ministra kultury na wniosek Zarządu Głównego SDRP – o czym przypomniał celebrujący tę część uroczystości sekretarz generalny SDRP Andrzej Maślankiewicz – odebrali z rąk Brunona Odolczyka, doradcy ministry Hanny Wróblewskiej: red. Alina Kietrys, inicjatorka konkursu, sekretarz kapituły, redaktorka „Rocznika Sopockiego”, autorka głośnej książki „Niespokojni” o wybitnych postaciach, które odegrały ważną rolę w kulturze, polityce, działalności publicznej i artystycznej w drugiej połowie XX w., oraz red. Tomasz Miłkowski, przewodniczący kapituły, redaktor miesięcznika „Yorick”, autor wielu książek o teatrze i literaturze, takich jak „Teatr Norwida” czy „166 monodramów”, dobrze znany Czytelnikom „Przeglądu”.

Obecni (i nieobecni) na spotkaniu przyjaciele, koleżanki i koledzy nie tylko z tzw. branży przyjęli te wyróżnienia jako naturalny wyraz uznania dla ich trudnych do wyliczenia osiągnięć zawodowych i społecznych. Sami nagrodzeni nie kryli wzruszenia, Alinie Kietrys trochę łamał się głos, kiedy dziękowała za otrzymany medal, a Tomasz Miłkowski zauważył przy okazji: „W ostatnich dekadach, tak się składało, wielokrotnie wręczałem nagrody i wyróżnienia, wygłaszałem laudacje ku czci laureatów. Było to zawsze wielką radością. Nie przypuszczałem jednak, jak wielką przyjemnością jest nagrodę otrzymywać”.

(red)

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 6f5983c5b5

Wesele i pogrzeb

Choćbyśmy mieli w składzie największego piłkarza, nie zmieni to naszej parszywej doli, możemy za to się pocieszać jego trofeami zagranicznymi

Wojciech Kuczok

Wejście do „klubu 100" w Lidze Mistrzów po Cristianie Ronaldzie i Leo Messim to wyczyn, o którym należałoby napisać bez względu na pochodzenie napastnika. A że dokonał tego Polak, sprawa wymaga rozkładówki, wersalików, fanfar i czego tam jeszcze – Robert Lewandowski już dawno zbudował swoją legendę jednego z najlepszych piłkarzy w historii futbolu, teraz trwają prace wykończeniowe.

Gdyby ktoś na chwilę zapomniał, że ma szczęście żyć w erze polskiego mistrza, kolejne liczby wyrwą go z otępienia. Przyzwyczailiśmy się do tego, że Robert nieustannie „coś tam" strzela w najważniejszych rozgrywkach, ale od czasu do czasu te gole sumują się w liczby przełomowe, legendarne, piszą na naszych oczach historię, do której będziemy rzewnie tęsknić za parę lat. O jego rekordach bundesligowych nigdy nie przestanie być głośno: pięć goli w dziewięć minut przeciw Wolfsburgowi zdobytych w roli rezerwowego złamało system, 41 goli w jednym sezonie (na pobicie tego wyczynu stale zasadza się Harry Kane, nie życzę powodzenia), 312 goli na niemieckich boiskach (najskuteczniejszy obcokrajowiec w historii Bundesligi). W każdym kraju, w którym przyszło mu grać, zdobywał wszystko: koronę króla strzelców i tytuł mistrzowski, w reprezentacji Polski, choć często obwiniany o niepowodzenia drużyny, a nawet pomawiany o „niepatriotyczny" brak zaangażowania, też pozostanie rekordzistą wszech czasów (na razie 84 gole w 156 meczach).

To wszystko są liczby z kosmosu, jakby sobie chłopak z kampinoskiej wioski wybrał tryb kariery w piłkarskiej grze komputerowej i do znudzenia ładował gole, ustawiając przeciwników na poziom amatorski – dzieciaki tak mają, że nigdy się nie nudzą zwycięstwami. I teraz ten chłopak wskoczył na podium, i to tak, że się Ziemia zatrzęsła i wszystkie media globu wymieniają obok siebie trzy nazwiska geniuszy sportu: Ronaldo, Messi, Lewandowski.

W wygranym 4:0 meczu Barcelony z Realem w La Liga Lewandowski strzelił dwa gole. Madryt, 27 października 2024 r.

W ostatniej kolejce Champions League, najbardziej prestiżowych rozgrywek na świecie, Lewy trafił po raz 100. i 101. I będzie trafiał nadal, w przeciwieństwie do Argentyńczyka (129 bramek, obecnie aktywna emerytura na Florydzie) i Portugalczyka (150 goli, teraz trafia dla saudyjskich szejków).

Upłyną lata, zanim kolejni realni kandydaci do przekroczenia liczby 100 goli w Lidze Mistrzów zdołają choćby się zbliżyć do Roberta. Kylian Mbappé przeżywa w Madrycie zdumiewający kryzys, ostatnio nie udało mu się wykorzystać jedenastki. Manchester City cierpi katusze po kontuzji Rodriego, zespół nie wygrał sześciu kolejnych spotkań, więc i Haaland ma mniej okazji do cieszynek. Na razie Lewandowski ma więcej goli w Champions League niż obaj ci młodzieńcy razem wzięci. Urodził się nam przed 36 laty na Mazowszu napastnik doskonały, drugiego takiego już nie dożyjemy. I to jest wiadomość tyleż radosna, co druzgocąca dla polskich kibiców, bo nasza kadra nawet z jednym z gigantów futbolu w składzie nie osiągnęła nic. Jej sufitem okazały się ćwierćfinał mistrzostw Europy oraz wyjście z mundialowej grupy.

Czasem w głębokiej depresji kibicowskiej roiliśmy sobie alternatywną historię futbolu i wzdychaliśmy: ach, gdyby taki Messi był Polakiem, tobyśmy rządzili… Otóż nie rządzilibyśmy

eprasa.pl 6f5983c5b5

nawet z Maradoną w składzie – siła złego wykształcenia piłkarskiego na jednego geniusza uczyniłaby bezradnym każdego mistrza; w reprezentacji Polski Messi, Ronaldo czy inny Pele męczyliby się i frustrowali dokładnie tak samo jak Robert Lewandowski. Choćbyśmy mieli w składzie największego piłkarza, nie zmieni to naszej parszywej doli, możemy za to się pocieszać jego trofeami zagranicznymi.

To, co zwieńczyły gole z Brestem (wykorzystanie osobiście wywalczonej jedenastki i piękny, techniczny, „leniwy", upokarzający bramkarza i obrońców strzał w doliczonym czasie), zaczęło się 13 lat temu w Pireusie. Robert trafił pierwszy raz w Lidze Mistrzów do bramki Olympiakosu, przyjmując piłkę zagraną przez późniejszego mistrza świata, Maria Götzego. Bezczelnie ją sobie podbił i załadował precyzyjnie z woleja, jednak tamten mecz Borussia przegrała. W następnym sezonie trafiał już w meczach zwycięskich i zwrócił na siebie uwagę jako kat Realu Madryt, któremu strzelił w dwumeczu pięć goli.

Już drugi gol w LM był majstersztykiem – zwiedzenie obrońcy Ajaxu fake shotem i strzał do bramki. Młody Robert fascynował żywiołowością, istny demon pola karnego. Zanim zaczął wykorzystywać jedenastki, pierwsze dziesięć goli zdobył z gry, wszystkie prawą nogą, choć jest zawodnikiem obunożnym. Poza tym pracusiem i perfekcjonistą, który nie mógłby sobie pozwolić na odpuszczenie jakiejś niedoskonałości.

Sławnego lania, które Borussia spuściła Realowi wiosną 2013 r., nie widziałem, wracałem wtedy pociągiem z jakiegoś spotkania autorskiego, zasięg się ciął, poprosiłem Żonę o relację. Myślałem, że dostaję zapętlonego SMS-a, bo raz za razem czytałem w telefonie: „Lewandowski – gol!". Jak się kradnie show, ładując cztery gole Realowi, przy trzecim zwodząc samego Pepe jak podwórkowego niedojdę (to najpiękniejszy pucharowy gol Roberta), traci się anonimowość bezpowrotnie.

Jeśli świat nie słyszał wcześniej o Panu Piłkarzu Lewandowskim, to w kwietniu 2013 r. dotarło do wszystkich, że oto pojawiła się klasyczna „dziewiątka", która sporo jeszcze namiesza w futbolu na najwyższym poziomie.

Pierwszy raz głową trafił dopiero za 18. razem, kiedy Borussia zniszczyła AS Roma, wygrywając 7:1 w Rzymie, potem już strzelał główki nadzwyczaj często, przy swoich 185 cm wzrostu łatwo stał się w tej dziedzinie fachowcem nad fachowcami. Komentatorzy nie mogli zaś się nadziwić, jak „piłka go szuka" w polu karnym, ale nie mieli racji – w pierwszych latach kariery zagranicznej to Lewy piłki szukał. Bazował na swojej dynamice i perfekcji technicznej, a to nawijając obrońców na swój firmowy zwód, a to wychodząc do prostopadłych podań i strzelając sam na sam, a to ładując z okolic szesnastki.

Dopiero dzisiejszy Robert, piłkarz w średnim wieku, doskonale rozumie ekonomię gry, zachowuje siły, nie biega już tyle, za to intuicyjnie ustawia się tak, żeby „piłka go szukała". Dla Bayernu natłukł tych bramek najwięcej, stał się bezlitosnym egzekutorem w drużynie, która grała na niego. To w Monachium wszedł w buty wielkiego poprzednika, Gerda Müllera, stając się sępem pola karnego, mistrzem dobitek i trafień z najbliższej odległości. Koledzy nierzadko strzelali gole Lewandowskim – czasem wystarczyło mu dostawić nogę albo wręcz pozwolić piłce odbić się od ciała.

W 2016 r. trafił po raz pierwszy bezpośrednio z rzutu wolnego, w samo okienko bramki Atletico Madryt. W listopadzie 2021 r. na zmrożonym boisku w Kijowie strzelił po raz pierwszy przewrotką. W Barcelonie zaczął od razu od hat tricka przeciw Viktorii Pilzno, wciąż pozostaje najlepszym snajperem Blaugrany, obsługiwany tym razem przez gwiazdy przyszłości, z Lamine'em Yamalem na czele.

Oglądając tych 101 goli (warto, a nawet trzeba to sobie okolicznościowo odtworzyć w internecie), wyraźnie widać, jak Robert doskonalił autorski sposób wykonywania jedenastek – od ledwie zauważalnego przyhamowania przed strzałem do słynnej dwu-, a czasem nawet trójfazowej metody, kiedy nieomal zatrzymuje się przed oddaniem strzału i spogląda, gdzie rzuca się bramkarz.

Mamy zatem powody do wszelkiej celebry, choć 26 listopada będzie w historii polskiej piłki datą słodko-gorzką, zanim bowiem Lewy przekroczył kolejną magiczną barierę, zmarł Jan Furtok, legenda GKS Katowice i najskuteczniejszy przed Lewandowskim polski piłkarz w Bundeslidze.

Przerażająco wcześnie dopadła go choroba Alzheimera, Furtok zaczął się z nią zmagać grubo przed sześćdziesiątką, odszedł w wieku zaledwie 62 lat.

Pamiętam jeszcze bramki tria Furtok-Koniarek-Kubisztal oglądane na żywo z „blaszoka" przy Bukowej, gdzie w głębokich latach 80. kamuflowałem swój „niebieski" rodowód, żeby popatrzeć na czołowych snajperów ligi. To były czasy, w których podium Ekstraklasy było górnośląskie, jeździłem na Górnika, GKS i chodziłem na Ruch. Człowiek się naoglądał gwiazd, spośród których Furtoka wyróżniała swojskość. Ten synek z Kostuchny znał tylko jeden język, godoł po ślunsku na boisku i poza nim, wyrósł w skrajnej biedzie. Wedle niektórych nadzwyczajną gibkość zawdzięczał temu, że w dzieciństwie kradł węgiel z wagonów – nauczył się wtedy skakać i uciekać sprintem. Swoją chlubną kartę reprezentacyjną nieco skalał niesławnym golem z San Marino, kiedy to dzięki niezauważonej przez sędziego ręce Furtoka wygraliśmy 1:0 w bodaj najbardziej haniebnym występie kadry narodowej w dziejach. Miał Furtok pecha, bo w powszechnej pamięci zapisał się poprzez to kuriozum, choć w Katowicach zasłużył sobie na pomnik. ■

Czasem w głębokiej depresji kibicowskiej roiliśmy sobie alternatywną historię futbolu: ach, gdyby taki Messi był Polakiem, tobyśmy rządzili…

FOT. ABACA/EAST NEWS

eprasa.pl 6f5983c5b5

Rządzący krajem nieprzerwanie od 2015 r. premier Justin Trudeau, do niedawna uważany za jedną z najjaśniejszych gwiazd światowego liberalizmu, szoruje po dnie w sondażach.

Rewolucja w raju

Kanada przez dekady uchodziła za jeden z najrozsądniej zarządzanych krajów. To właśnie się zmienia

Mateusz Mazzini

Ta katastrofa jest zapowiadana od tak dawna, że ostatecznie może przejść niezauważona. Wprawdzie najbliższe wybory parlamentarne w Kanadzie odbędą się dopiero za kilka, może kilkanaście miesięcy (data nie została wyznaczona), lecz ich wynik wygląda na niemal przesądzony. Rządzący nieprzerwanie od 2015 r. premier Justin Trudeau, jeszcze niedawno uważany za jedną z najjaśniejszych gwiazd światowego liberalizmu, szoruje po dnie w sondażach. Niemal dekadę temu jego Partia Liberalna zdobywała pewną większość parlamentarną, a on wchodził na salony niczym mesjasz. Wszystko w tej historii się zgadzało. Dynastia polityczna, dziedzictwo ojca, też premiera, który rządem Kanady kierował dwukrotnie, łącznie przez 15 lat. Pierre Trudeau został zresztą zapamiętany jako polityk nie tylko skuteczny, ale także lubiany i bliski ludziom. Był rozpoznawalny na arenie międzynarodowej i cieszył się szacunkiem. Również dlatego, że zbliżył Kanadę do Stanów Zjednoczonych oraz Wielkiej Brytanii, dwóch najważniejszych graczy świata anglosaskiego.

Trudeau junior wszedł więc na scenę po czerwonym dywanie. Trochę jako delfin, wieczny następca tronu, trochę jako niegrzeczny chłopiec, który w młodości lubił boksować, czasem też umazał sobie twarz na czarno dla żartu, co teraz, przy innych normach społecznych, uznawane jest za przejaw rasizmu. Ale Kanadyjczycy, jeszcze niedawno zakochani w Justinie, nie chcą go już widzieć na oczy. Posypała się jego osobista popularność, ale i fundamenty polityki, nie tylko tej uprawianej przez Partię Liberalną. Kanadyjskie społeczeństwo, dość powszechnie uznawane za granicą za spokojne, postępowe i przede wszystkim otwarte na imigrantów, przechodzi poważną transformację. Czy polityka za tym nadąży?

Odległe drugie miejsce

Liberałowie te wybory przegrają, jedynie cud mógłby ich uratować. Według sondaży z połowy listopada, publikowanych przez stację CBC News, poparcie dla Partii Konserwatywnej kierowanej przez Pierre'a Poilievre'a jest prawie dwa razy wyższe od ich notowań. Prawica może w tej chwili liczyć na 41,2% głosów kanadyjskich wyborców, co i tak nie jest rekordem w ostatnich miesiącach. Niekiedy słupek dochodził nawet do 42-43%.

Partia Liberalna wciąż znajduje się na drugim miejscu, ale jest ono bardzo odległe: 23,9% w sondażach

eprasa.pl 6f5983c5b5

i przeciętne perspektywy na przyszłość. Jakby tego było mało, pierwsze porażki już nadeszły. Wybory krajowe odbędą się najpóźniej 20 października 2025 r., ale w tym roku ekipa Trudeau parę razy huknęła o ziemię w głosowaniach uzupełniających, i to nie byle gdzie. Szczególnie dotkliwa była wrześniowa porażka w okręgu LaSalle-Émard-Verdun na przedmieściach Montrealu, jednym z najważniejszych bastionów ugrupowania Trudeau. W Kanadzie obowiązują jednomandatowe okręgi wyborcze, w związku z tym wyniki wyborów parlamentarnych na poziomie pojedynczych obszarów można w zasadzie interpretować jako wotum zaufania (bądź nieufności) dla aktualnego rządu. Na pierwszy rzut oka rezultaty nie były bardzo słabe, bo kandydatka liberałów Laura Palestini przegrała z Philippe'em Sauvé o niecałe 5 pkt proc. Ale mandatu nie zdobyła, a od 2015 r. ten okręg zawsze padał łupem ekipy obecnego premiera. W dodatku niepokoi fakt, że tym razem przejął go nacjonalista z Bloc Québécois, formacji nawołującej do większej autonomii francuskojęzycznej części Kanady.

LaSalle-Émard-Verdun to bogate przedmieście na wschodzie kraju. 70% mieszkańców stanowią biali, etnicznych mniejszości jest stosunkowo niewiele. Nawet krajobraz nie pozostawia wątpliwości. Mieszka tu raczej zamożna klasa średnia, białe kołnierzyki i przedstawiciele zawodów kreatywnych. Jeśli więc Partia Liberalna nie wygrywa wyborów w takim miejscu, to gdzie może to się udać?

Justin Trudeau robi oczywiście dobrą minę do złej gry. Zapewnia, że stanie na głowie, żeby „odzyskać zaufanie" swoich wyborców. I przypomina, że do końca kadencji zostało jeszcze sporo czasu, ale komentatorzy polityczni wskazują, że już raz uciekł spod topora. W 2021 r. Partia Liberalna wygrała wprawdzie wybory parlamentarne, lecz zdobyła tylko 160 mandatów – o 10 za mało, żeby rządzić samodzielnie. Premier stworzył więc rząd mniejszościowy, wiszący na poparciu mniejszych partii. Już wtedy dało się zauważyć negatywny dla liberałów trend. W liczbach bezwzględnych wygrała bowiem Partia Konserwatywna, na którą zagłosowało prawie 200 tys. osób więcej. Ordynacja wyborcza nie dała jej za to premii w postaci dominacji w parlamencie, a wiele osób na prawicy było sfrustrowanych faktem, że Trudeau utrzymał się przy władzy. Egzekucja nie została jednak odwołana, tylko przesunięta w czasie.

Partia Konserwatywna idzie po władzę, również pod hasłami odzyskania dumy narodowej.

Pożegnanie z urzędem

Co więc poszło nie tak w karierze złotego dziecka kanadyjskiej, a trochę i całej światowej polityki, zwłaszcza tej progresywnej? Jednemu aspektowi własnej porażki Justin Trudeau w ogóle nie jest winien. Jego nieuchronne przejście do opozycji będzie po prostu kolejnym dowodem na siłę globalnego trendu usuwania ze stanowiska polityków, którzy rządzili w pierwszych latach po pandemii koronawirusa. To już zjawisko niepodważalne, piszą o nim autorytety analizy politycznej: były doradca Baracka Obamy Ben Rhodes, komentator „New York Timesa" Ezra Klein, były członek brytyjskiej Partii Konserwatywnej Rory Stewart czy założyciel firmy doradczej Eurasia Group i felietonista magazynu „Time" Ian Bremmer. Jak świat długi i szeroki politycy przekonują się, że władza po pandemii to pocałunek śmierci. Dopiero teraz wychodzą na jaw prawdziwe, zwłaszcza ekonomiczne skutki długiej izolacji. A trzeba podkreślić, że w wielu miejscach globu była ona znacznie dłuższa i bardziej restrykcyjna niż w Polsce czy ogólnie w Europie.

Nie ma znaczenia, czy były to rządy prawicowe, czy lewicowe – wyborcy pokazują im czerwoną kartkę, z reguły z powodu rosnących kosztów życia i traumy inflacyjnej ostatnich dwóch lat. Prawicowy strongman Jair Bolsonaro w Brazylii i amerykańscy demokraci, z duetem Biden-Harris na czele, liberałowie Emmanuela Macrona we Francji i japońska prawica rządząca krajem prawie bez przerwy od 1955 r., wreszcie socjaliści w Portugalii, czerwonym bastionie Europy, oraz szerokie koalicje w Niemczech i Holandii – każdy, kto miał nieszczęście rządzić, gdy społeczeństwa przechodziły z kryzysu pandemii w kryzys energetyczny i inflacyjny, powoli żegna się z urzędem.

Trudeau nie będzie pod tym względem wyjątkiem. Wyjątek bowiem stanowią tylko politycy, którzy swoje systemy uszczelnili tak bardzo, że wybory nie mają w nich znaczenia. Trudno jednak się spodziewać, by premier Kanady chciał stawać w jednym szeregu z Władimirem Putinem, Viktorem Orbánem czy Recepem Tayyipem Erdoğanem.

Ceny podstawowych produktów spożywczych podskoczyły, do czego Kanadyjczycy nie byli przyzwyczajeni.

Kanadyjscy liberałowie mają jednak masę problemów znacznie bardziej lokalnych. Inflacja wprawdzie spadła w tej chwili do ok. 2%, ale dwa lata temu wynosiła ponad 8%, z tendencją zwyżkową. Ceny podstawowych produktów spożywczych poszły zdecydowanie w górę, do czego Kanadyjczycy nie byli przyzwyczajeni, bo dotychczas dla większości populacji był to kraj bardzo tani.

Rzadziej, ale z większą siłą, obywatele zderzali się ze ścianą w kwestii mieszkalnictwa. I tu już Trudeau popadł w poważne tarapaty. Rynek mieszkaniowy, zwłaszcza w segmencie lokali tańszych i komunalnych, w ogóle nie nadąża za podażą.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6f5983c5b5

Według kanadyjskiego Parlamentarnego Biura Budżetowego w tej chwili deficyt na rynku nieruchomości w skali całego kraju wynosi ok. 500 tys. mieszkań. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że populacja Kanady będzie w kolejnych latach zmniejszać się w tempie 0,2-0,3% na rok, żeby całkowicie zapełnić lukę, do końca dekady musiałoby powstać łącznie ponad 1,2 mln nowych mieszkań. A to scenariusz, który się nie zmaterializuje, bo nie stało się to nigdzie na świecie. Ale przytoczone liczby pokazują skalę problemu.

Imigranci na celowniku

Z nim wiąże się zresztą inna płaszczyzna tarć w kanadyjskim społeczeństwie i polityce – imigracja. Prawica bowiem szybko znalazła kozła ofiarnego, sugerując, że Kanadyjczycy nie mogą wynająć mieszkania, bo wszystkie nieruchomości są zajęte przez przybyszów z innych krajów. To już na poziomie logiki argument zwyczajnie głupi, bo „przybysz z innych krajów" jest de facto synonimem słowa „Kanadyjczyk". Według danych spisu powszechnego z 2021 r. prawie co czwarta osoba mieszkająca w Kanadzie (23%) urodziła się w innym państwie. Jeśli wliczyć w to migrantów drugiego i trzeciego pokolenia, dochodzi się do ponad 90% populacji. To jest naród imigrantów, zawsze takim był, bo rdzenna ludność albo została wymordowana w czasach kolonialnych, albo podlegała ograniczeniom, także w kwestii przyrostu naturalnego, już w erze suwerennego państwa kanadyjskiego. Absurdem jest więc oskarżanie imigrantów o cokolwiek, zwłaszcza w kwestii problemów strukturalnych.

Z drugiej strony odsetek nowo przybyłych – przypomnijmy, 23% – nigdy w 150-letniej historii kraju nie był tak wysoki. W tej chwili osiedla się tam mniej więcej pół miliona osób rocznie. Wbrew pozorom to wcale nie jest tak wielka liczba, raczej typowe dla każdej rozwiniętej gospodarki tempo przyjmowania nowych mieszkańców, głównie z perspektywy rynku pracy. Dla porównania Niemcy, a więc kraj dwukrotnie liczniejszy od Kanady, musiałyby przyjmować milion imigrantów rocznie, żeby utrzymać bieżące wskaźniki produktywności w gospodarce. Proporcje więc się zgadzają.

Tam jednak, gdzie liberałowie triumfują liczbami, przegrywają narracją. Prawicy udało się imigrantów – a przez to rząd, który ich do Kanady wpuszcza – obwinić za praktycznie wszystko. Brakuje mieszkań? Wina obcych. Deficyt budżetowy? Trudeau wydał za dużo na przyjęcie syryjskich uchodźców uciekających przed wojną domową. Wzrost przestępczości, obawy o bezpieczeństwo publiczne? Gdyby władza nie była tak permisywna, nie pozwalała się rozwijać chociażby społeczności sikhów, rząd Narendry Modiego nie przeprowadzałby tu zamachów terrorystycznych, a pozycja Kanady na arenie międzynarodowej nie byłaby osłabiana sporami dyplomatycznymi z premierem największej demokracji świata.

Trzeba też przyznać, że Trudeau sam daje prawicy amunicję, chętnie występując w roli głównego proroka wszystkich wartości progresywnych razem wziętych. Dobrze ilustruje to chociażby kwestia szerokiego poparcia dla ruchów społecznych opowiadających się po stronie Palestyny w konflikcie z Izraelem. Trudeau był jednym z niewielu zachodnich przywódców, którzy kilkakrotnie otwarcie skrytykowali Beniamina Netanjahu, między wierszami sugerując poparcie dla utworzenia suwerennego państwa palestyńskiego. Specjalnej popularności na lewicy i tak mu to nie przyniosło, bo co radykalniejsi demonstranci domagali się bardziej stanowczego potępienia Izraela. Miał za to kłopoty z kanadyjskimi Żydami, którzy oskarżają go o tolerowanie antysemityzmu. Na takie oskarżenie zawsze trudno odpowiedzieć skutecznie, ale liczby są niepokojące. Według informacji podanych przez stację CBC liczba przestępstw na tle antysemickim wzrosła w zeszłym roku dwukrotnie wobec 2022 r., do prawie 5,8 tys. incydentów w całym kraju.

Im bardziej Trudeau był za taką politykę krytykowany, tym bardziej w nią brnął. Naczelny feminista, obrońca mniejszości etnicznych, chętnie przepraszający za wszystkie dawne krzywdy. Choć wiele tych ruchów było zasadnych, politycznie często okazywały się samobójstwem, bo Partia Liberalna przegrywa wojnę kulturową. Tu też Kanada nie jest wyjątkiem względem reszty świata. Nikt nie lubi przepraszać zbyt często i zbyt dużo, zwłaszcza za czyny popełnione przez inne pokolenia. Nie ma zatem co się dziwić, że Partia Konserwatywna idzie teraz po władzę, również pod hasłami odzyskania dumy narodowej.

Przejęcie kontroli nad krajem przez Poilievre'a nie musi zwiastować rewolucji na miarę powrotu Donalda Trumpa do Białego Domu. Ale pewne rzeczy się zmienią, bo tego chcą wyborcy. Nadchodzi era wewnętrznej deregulacji, ostrzejszej polityki migracyjnej, mniejszego zaangażowania po stronie Zachodu w rozmaitych formatach dyplomatycznych. Kanada nadal będzie atrakcyjna dla milionów i raczej nie przestanie wpuszczać chociaż części chętnych, bo zwyczajnie za bardzo ich potrzebuje. Jednak jej wizerunek „najbardziej rozsądnego kraju na świecie" – jak napisał niedawno „New York Times" – na jakiś czas stanie się historią.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f5983c5b5

Oko w oko

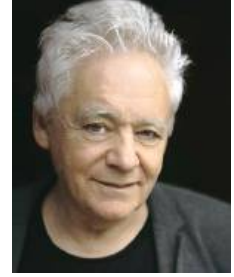

Tomasz Jastrun

Kura i jajko

Do Trzebini przez Kraków. Mało ładnego w Trzebini, ale kończy się budowa przeszklonej biblioteki. Śpię w dworze Zieleniewskich, gdzie znajduje się centrum kultury. Mam tam dwa spotkania z uczniami ze szkół w Trzebini i w Chrzanowie. Wykłady, powiedzmy – warsztaty dla uczniów o tym, jak gromadzić materiał do tekstów i jak pisać. Mają brać udział w konkursie na pracę o ofiarach Holokaustu w Trzebini i w pobliskim Chrzanowie. Nie wiem, co z tego wyjdzie, skoro już prawie nie ma świadków. Pytam uczniów, czy są wśród nich antysemici. Dwóch chłopców z liceum w Chrzanowie śmiało podnosi rękę. Nie zapytałem, dlaczego tak o sobie myślą. Miałem chyba poczucie, że to intymne zwierzenie, jakby mieli mówić o wstydliwej chorobie. Teraz żałuję. Druga klasa, wojskowa, była z Trzebini, przyszli w gustownych mundurach. Okazali się wolni od uprzedzeń, ale czy byli szczerzy? Tak się porobiło, że trochę wstyd mieć uprzedzenia rasowe. Nauczycielka podeszła potem do mnie i, potwierdzając moje podejrzenia, powiedziała, że sprawa nie jest taka prosta.

Spotkania zorganizowała Agnieszka Kostuch, z którą znamy się od dawna, pochodzi z małego Trzemeszna. Jest sporo młodsza ode mnie. Ma pasję do literatury i wiele innych. Jej ostatnie zainteresowania to dawna społeczność żydowska i Holokaust. W Trzemesznie wskrzesiła zniszczony przez czas i ludzi cmentarz żydowski, wciągnęła w to grupkę osób. A w Trzebini, gdzie teraz mieszka, powołała Stowarzyszenie Kehila Trzebinia, które walczy o uratowanie zrujnowanej synagogi w tym mieście i organizuje spotkania. Wspaniale, że są tacy ludzie, rozsiani po małych miasteczkach jak drogocenne kamienie.

•

Pod moją nieobecność sąsiad dokonał mordu. Ściął świerk, który po brzegi wypełniał okno mojej pracowni. Zdrowe, potężne drzewo. Plac zabaw dla ptaków i wiewiórek. Siedziałem zawsze przy komputerze zwrócony twarzą do gęstwiny jego gałęzi. Teraz po amputacji pusto, aż boli. Dlaczego sąsiad to zrobił? Tłumaczył się, że igły i szyszki wpadały mu do ozdobnego baseniku. Rzeczywiście wielka bieda. Jak to się stało, że ekspert z administracji dał zgodę na egzekucję? Na zdrowy rozum to niemożliwe. Ale u nas przecież wszystko da się załatwić.

W tym czasie w „Polityce" czytam tekst Piotra Pytlakowskiego o mołdawskich oszustach, którzy naprawiają dachy i rynny, obiecują bajecznie niską cenę, a potem żądają wielkich pieniędzy. Mnie przekonali, że moje rynny są dziurawe, i zaoferowali podejrzanie tanio nowe, które potem okazały się atrapami. Prawdziwa cena była astronomiczna. Zapłaciłem mniej, ale co z tego, skoro rynny są do wymiany. Jedna z głupszych rzeczy, jakie zrobiłem w życiu. Mała pociecha, że inni, bardziej rozsądni niż ja, również dali się nabrać. W przypadku Piotra (zadzwoniłem do niego), gdy nie chciał płacić, oszuści zachowali się agresywnie, padły groźby karalne. A policja była zupełnie bezradna, choć przedstawił pełne dossier, zdjęcia bandytów, numer ich konta i numery rejestracyjne samochodu. Piotr ciężko choruje, mieszka samotnie, tym łatwiej było go sterroryzować (gdzie się podziały czasy, gdy graliśmy z zespołem „Polityki" w piłkę nożną, grał też Jurek Pilch). Są już setki oszukanych, bo złodzieje długo pozostawali bezkarni. Policja mówiła, że to nie jej sprawa, to się nadaje tylko na postępowanie cywilne. Tak samo powiedzieli na komendzie mojej żonie. Wraca uczucie, którego nie miałem już od jakiegoś czasu: państwo jest słabe, nieobecne lub chore.

Nawrocki już zdążył nabredzić, że są pełni i połowiczni Polacy. On jest pełny. Niezależny pisowski kandydat.

Zaczynam się przyzwyczajać do tego, że świerk nie wypełnia okna pracowni. Staram się znaleźć dobre strony nowej sytuacji. W pokoju jest więcej światła, otworzyła się szeroka, piękna perspektywa na las. I widzę teraz panoramiczne okno w domu sąsiadów, jest jak scena w teatrze, na której grają swoje życie. Pisarz zawsze lubi podglądać. Za szybko mija żal po zmarłych.

•

Jak można było się spodziewać, Rafał Trzaskowski zdecydowanie wygrał prawybory z Radosławem Sikorskim. Trochę mi żal Sikorskiego. Dobrze, że sam nie musiałem wybierać. Byłbym rozdarty. Pamiętam Trzaskowskiego jako siedmioletniego chłopca, lubię go, ale Sikorski zdaje się mieć znacznie większy format, za to mniejsze szanse na wygranie wyborów prezydenckich.

PiS w końcu, po ciężkim zaparciu, wydusiło swojego kandydata. Karol Nawrocki – gładki, cyniczny, nacjonalista flirtujący z ONR, zdaje się niezłym łobuzem. Nieprzypadkowo uwielbiają go kibice piłkarscy, a w nich tyle jest mroku. Nawrocki już zdążył nabredzić, że są pełni i połowiczni Polacy. On jest pełny. Niezależny pisowski kandydat. To jakby kura wypierała się jajka, które przed chwilą zniosła. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f5983c5b5

Rafał Skąpski

Trzeci Wokulski

Kim był Leon Krupecki, pierwowzór bohatera „Lalki" Bolesława Prusa

Zapewne część Czytelników pomyśli, że będę zachęcał do kolejnej ekranizacji „Lalki" Bolesława Prusa i proponował nazwiska aktorów, którzy powinni zagrać Stanisława Wokulskiego. Nic z tych rzeczy. Wystarczą dwie wspaniałe dotychczasowe ekranizacje, a Mariusz Dmochowski i Jerzy Kamas w rolach Wokulskiego wydają się niedoścignieni. Bohaterem książki jest Leon Krupecki, kupiec warszawski z drugiej połowy XIX w., zesłaniec syberyjski. Elementy jego ciekawej i barwnej biografii oraz cechy charakteru skłoniły mnie do uznania go za najbliższego bohaterowi „Lalki". Prus nie mógł o nim nie słyszeć. Może nawet odwiedzał jego sklepy?

•

W bogatej literaturze krytycznej analizującej fabułę powieści, cechy bohaterów, tło obyczajowe, realia historyczne czy topograficzne, nie ma w zasadzie poszukiwań prototypów poszczególnych osób występujących w „Lalce". Wokulskiemu przypisuje się cechy postaci dwóch pierwowzorów, dwóch warszawskich kupców, współczesnych autorowi powieści.

Pierwszy z nich to Stanisław Strójwąs, uczestnik powstania styczniowego. Strójwąs po powstaniu wyemigrował do Holandii, gdzie zajmował się handlem. Po powrocie do kraju prowadził rozległe interesy z kupcami holenderskimi. Około 1890 r., gdy syn Stanisław junior ukończył nauki, przekazał mu interes i kontakty. I ten jeden jedyny element – wyjazd z Warszawy w wyniku represji popowstaniowych, choć w zgoła innym kierunku – plus pewna zbieżność cech charakteru Strójwąsa i Wokulskiego skłoniły Jerzego Kasprzyckiego do postawienia tezy, że to Strójwąs jest pierwowzorem Wokulskiego. Jednak sam Kasprzycki pisze, że o Strójwąsach, ojcu i synu, stało się w Warszawie głośno na przełomie wieków, a więc nieco późno. Lalka była już wtedy ukończona, a w formie książki wydana w roku 1890. Identyczność imion ojca i syna powoduje, że pojawiają się trudności z przypisaniem niektórych danych.

Leon Krupecki, kupiec warszawski z drugiej połowy XIX w., zesłaniec syberyjski.

Drugi to Jakub Lange,przybysz ze Szwajcarii. Zamieszkał w Warszawie w połowie XIX w. Początkowo zajmował się prawdopodobnie kowalstwem, następnie pracował w jednej z warszawskich cukierni, a po roku 1863 posiadał już własny lokal przy ulicy Chłodnej 10. W roku 1878, w ciągu dziewięciu miesięcy dorobił się majątku na interesach na Bałkanach. Był wówczas udziałowcem spółki zajmującej się dostawą pieczywa dla armii rosyjskiej. W „Lalce" Prus wysyła Wokulskiego także na tereny dzisiejszej Bułgarii, by tam, w ciągu ośmiu miesięcy, podczas wojny rosyjsko-tureckiej (1877--1878), zbił majątek potrzebny mu do lepszego życia, do awansu towarzyskiego. Wedle Zbigniewa Klejna ta – znów tylko ta jedyna – zbieżność przemawia za uznaniem Szwajcara Jakuba Langego za pierwowzór bohatera „Lalki". Inne elementy jego życia różnią się już jednak od biografii Wokulskiego.

W roku 1998 w Tarnowie ukazała się niewielka książeczka wydana prywatnym sumptem w symbolicznym nakładzie. To „Listy zesłańca na Sybir Leona Krupeckiego". Książkę do druku podała nieżyjąca już prawnuczka Krupeckiego Elżbieta z Lewickich Jakacka wraz ze swoim mężem Adamem. Zachowało się zaledwie 15 listów. Treścią pierwszego jest relacja z etapów podróży zesłańca. W drugim liście namawia żonę, by i ona, jego wzorem, udała się w „podróż", wskazując jednak kierunek przeciwny – do Drezna. W kolejnych listach znajdują się szczegółowe rady w kwestii właściwego wychowania dzieci, ich edukacji, doboru lektur, nauki muzyki. Korespondencję przepełnia troska o pozostałą w kraju rodzinę, nie tylko o żonę i dzieci, ale i o ojca, brata, siostrę. Opisy codzienności życia zesłańców, panujących wśród nich zwyczajów, omówienia lektur książek i prasy przewijają się w każdym niemal liście. Czyta się z wielkim zainteresowaniem, ale i wzruszeniem.

Dołączone do listów noty od edytorów spowodowały, że zacząłem poszukiwać wiadomości o autorze listów, szczegółowo badać życiorys Leona Krupeckiego i porównywać go z losami Wokulskiego, Langego i Strójwąsa. W wyniku poszukiwań odnalazłem znacznie więcej faktów łączących Krupeckiego z Wokulskim niż przytoczone wyżej wobec Jakuba Langego czy Stanisława Strójwąsa seniora. Lata życia i profesja są u wszystkich postaci zbliżone. Krupecki, tak jak i Strójwąs, w wyniku popowstaniowych represji opuszcza Warszawę, ale Strójwąs wyjeżdża do Holandii, Krupecki zaś, a w powieści Wokulski, jest karnie zesłany na Sybir.

eprasa.pl 6f5983c5b5

Obaj także, Krupecki i Wokulski, poprzez udane finansowo małżeństwa wchodzą do grona warszawskiej elity kupieckiej i towarzyskiej. Krupecki żeni się bogato (posag to prawie 50 tys. rubli) z córką swego pryncypała Franciszka Mentzla – Marią. Wokulski zawiera związek małżeński z wdową po swym pryncypale – Małgorzatą, obejmując sklep i 30 tys. rubli. Zbieżność staje się większa, gdy przypomnimy nazwisko patrona Wokulskiego – Mincel. Krupecki, tak jak i Wokulski, prowadzi duży, na wysokim poziomie, sklep na Krakowskim Przedmieściu.

Analizując postać Wokulskiego, Marian Płachecki pisze: „(…) jego biografia jest przepełniona faktami ponad miarę (…) składają się nie w jedną, a w kilka osobowości". Ewa Paczoska stwierdza: „Biografia Wokulskiego wpisuje się w model nowego bohatera, który często pojawia się w literaturze wiktoriańskiej już od lat 60. XIX w. To (…) gentelman nowych czasów, mężczyzna, który zarabia na życie własną pracą i czerpie stąd poczucie swej tożsamości". Wypisz wymaluj – Krupecki.

Podane wyżej zbieżności pozwalają mi nie tylko dołączyć nazwisko Leona Krupeckiego do dwóch poprzednich (Langego i Strójwąsa), ale i umieścić je śmiało na pierwszym miejscu.

•

Krupecki, korzystając z wysokiego posagu, w ciągu kilkunastu lat powiększa swój majątek, tworząc sieć składów (sklepów), handlując artykułami kolonialnymi, głównie herbatą. W roku 1856 kupuje część pałacu Ossolińskich-Mokronowskich przy Krakowskim Przedmieściu 9. Dwa lata później kupuje pałacyk na terenie tzw. Folwarku Koszyki, dawnego założenia stanisławowskiego w rejonie dzisiejszej ulicy Lwowskiej. W roku wybuchu powstania styczniowego Krupecki posiada skład główny i sklep przy Nowym Świecie 67/69 (pałac Zamoyskich), sklep i skład przy ulicy Leszno, sklep i skład przy Krakowskim Przedmieściu w domu Retzla, sklep w domu Kaczkowskiego, także przy Krakowskim Przedmieściu, i skład konsygnacyjny na Pradze.

•

Na początku lat 60. XIX w. Leon Krupecki zamieszkał w pałacu Zamoyskich, Nowy Świat 67/69. Jest to, warto dodać, ostatni adresowy numer Nowego Światu. Dziś powiedzielibyśmy, że był to pałac z wieloma mieszkaniami „pod wynajem". Mieszkało w nim ok. 660 osób. Budynek kolejny, przyległy do pałacu Zamoyskich, to już Krakowskie Przedmieście, na początku którego Prus umieścił sklep Mincla/Wokulskiego. Zamieszkiwało tu wiele znakomitych osób. W pierwszej połowie XIX w. mieszkał tu Stanisław Staszic. Później wśród słynnych mieszkańców zauważyć trzeba pioniera jedwabnictwa i dyrektora ogrodu botanicznego, prof. Jerzego Aleksandrowicza. Tu także, od roku 1842, mieszkała Jadwiga Łuszczewska, znana później pod pseudonimem Deotyma, pisarka i poetka. Notabene Krupecki w jednym z listów, zalecając żonie sposób edukacji dzieci, daje przykład rodziców Łuszczewskiej, którzy: „(…) woleli jej udzielać mało nauki, a wyborowej, niż obarczać jej umysł natłokiem wiadomości, czemu zawdzięcza to, że zachowała później pierwotny zapał do nauki i świeżość pamięci". Krupecki pisze w tym liście o Jadwidze Łuszczewskiej protekcjonalnie per „Deotymka", co świadczy o zażyłości współmieszkańców pałacu. Inną znaną lokatorką pałacu była siostra Fryderyka Chopina – Justyna Izabella Barcińska z mężem Antonim oraz matką Justyną Chopinową, która zmarła tu w 1861 r. Do takiej listy dołącza Leon Krupecki z rodziną.

Pałac Zamoyskich, w którym mieszkali Krupeccy, przeszedł do historii z powodu represji, jakie dotknęły jego mieszkańców po nieudanym zamachu na carskiego namiestnika Teodora Berga. 19 września 1863 r. namiestnik wracał Nowym Światem na zamek ze służbowego objazdu, spadło na jego powóz kilka bomb z poddasza pałacu. Wybuch poranił parę koni z eskorty i adiutanta Berga, namiestnik wyszedł nietknięty. Sprawców nie zdołano schwytać, lecz Berg wziął srogi odwet na mieszkańcach pałacu. Wojsko wtargnęło do wnętrza, wszystkich mężczyzn zabrano do Cytadeli, a następnie sporą część z nich wywieziono na Sybir. Mieszkania splądrowano, żołnierze rozkradli srebra i lepszą odzież. Meble, obrazy, książki, pościel wyrzucono przez okna na bruk. Ruchomości te zebrano w stos obok pomnika Kopernika i spalono.

Z mieszkania Barcińskich wyrzucono fortepian będący ongi własnością Fryderyka Chopina. „Jękły głuche kamienie: ideał sięgnął bruku", jak zapisał Norwid.

Fragment książki Rafała Skąpskiego *Trzeci Wokulski. Leon Krupecki pierwowzorem Wokulskiego?*, Wydawnictwo Austeria, Kraków, Budapeszt, Syrakuzy 2024

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6f5983c5b5

ARTYSTKĄ SIĘ BYWA

Te wyjątkowe momenty są ulotne i najczęściej poprzedzone ogromną pracą

Magdalena Kuszewska

Artystka nie kojarzy się z walką, raczej z wrażliwością.

– Mój mąż mawiał, a ja się do tego przychylam, że artystką się bywa. Nasz zawód jest przede wszystkim jednak rzemiosłem, w dużej mierze polega na warsztacie. Artysta to wielkie słowo. Te wyjątkowe momenty są ulotne i najczęściej poprzedzone ogromną pracą. Ale dla nich warto uprawiać ten zawód. Takie pojedyncze chwile przeżyłam, grając ukochany spektakl męża i mój „Wiera Gran" w reżyserii Barbary Sass, o pełnej determinacji kobiecie, która musiała stoczyć niejedną ciężką walkę… (…) W kawiarni, w której siedzimy, jeszcze przed wybuchem II wojny światowej występowała Wiera Gran. Akompaniował jej Władysław Szpilman. Po drugiej stronie, przy alei Solidarności, kiedyś ulicy Leszno, znajdowała się Cafe Sztuka. Tam z kolei Wiera śpiewała już w czasie wojny, w trakcie pobytu w getcie warszawskim. Słuchacze na widowni pili gorącą wodę, ewentualnie stać ich było na kawałek chleba. Ale przede wszystkim słuchali piosenek Wiery i dzięki nim przenosili się mentalnie i emocjonalnie do innego świata. W tych krótkich chwilach mur oddzielający getto od strony „aryjskiej" nie istniał! To była walka tych ludzi o każdą minutę życia. (…)

JUSTYNA SIEŃCZYŁŁO
– aktorka teatralna i telewizyjna, dyrektorka naczelna i artystyczna warszawskiego Teatru Kamienica, który założyła z mężem Emilianem Kamińskim

Justyna Sieńczyłło z Emilianem Kamińskim na 10-leciu Teatru Kamienica.

Dostałaś za tę tytułową, wielką rolę nominację do Feliksa, jednej z najważniejszych nagród teatralnych w Polsce.

– To miłe, ale dla mnie największą nagrodą jest to, że w teatrze komediowym ten dramatyczny spektakl jest dla ludzi czymś więcej niż przedstawieniem. Często słyszę po nim od widzów, że im pomogłam, dotknęłam ważnych strun, a nawet, że wyleczyłam z traumy. Niezwykle budujące jest, że gramy ten tytuł już od 12 lat. Nie zdejmujemy go z afisza.

Inną walczącą kobietą, o której zrobiłam spektakl w Kamienicy, była Pola Negri. Wybitna artystka, która przed wojną mieszkała tuż za rogiem, przy Elektoralnej. Oddajemy tu cześć i honor wielu wybitnym artystkom i artystom. Widzowie mówią o nas, że Kamienica to najbardziej warszawski teatr w Warszawie. Na tym bardzo zależało Emilianowi, cieszę się, że nasi widzowie to doceniają. (…)

Walczysz każdego dnia. Na jakich poziomach?

– Jeśli musisz coś zrobić i wiesz, że tylko ty możesz tego dokonać, bo liczą na ciebie inni, to możesz naprawdę dużo! Nawet przenosić góry. Zdajemy egzamin każdego dnia. Czasem prostszy, czasem trudniejszy. Kiedy wchodziłam do zawodu dwadzieścia kilka lat temu, miałam zupełnie inne doświadczenia i oczekiwania, i inne walki do stoczenia niż teraz, jako matka dwóch dorosłych

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

eprasa.pl 6f5983c5b5

synów, jako dyrektorka teatru, której zmarł mąż, jako aktorka. Życie stawia na naszej drodze przeszkody skrojone na naszą miarę. Czasami ludzie mnie dopytują: jak dałaś radę? (…) Gdybyś mnie o to zapytała 20 lat temu, gdy Emilian zaczął już realnie tworzyć wymarzony przez siebie teatr, odpowiedź byłaby inna. Spodziewałam się, że będzie ciężko, ale nie sądziłam, że aż tak. On też się tego nie spodziewał. Bagaż odpowiedzialności, który dźwigamy, rośnie z roku na rok. Zatrudniamy ludzi, którzy z tej pensji utrzymują siebie i swoje rodziny. To wielka odpowiedzialność.

A wracając do mojej walki, to walczę również o to miejsce, o tę kamienicę. Nie jest tajemnicą, że lata temu pojawiła się grupa ludzi, która chciała przejąć przestrzeń Teatru Kamienica na inne cele. To nie jest nasza własność, tylko wspólnoty mieszkaniowej, która wynajmuje piwnicę pod działalność teatru. Stan prawny jest skomplikowany. Miasto ma większość praw własności w tej przestrzeni. Teraz walczymy o to, aby móc odkupić choć część tej przestrzeni, którą zajmuje Teatr Kamienica, bo to sprawi, że nie będzie nas można stąd usunąć i już nikt z dnia na dzień nie będzie próbował zabetonować naszych drzwi, jak to się działo kilka lat temu. Sprawa ciągnie się i wyniszcza nas od lat, ale my się nie poddamy. Teraz, gdy Emiliana już nie ma, walczę ja. (…) Rozmawiam z urzędnikami, z aktorami, z dziennikarzami, muszę działać.

Czasami zdarzają się cuda. Nie wolno wątpić. Do końca.

Latem 2003 r. Emilian Kamiński przyszedł do ogrodu przy waszym domu, gdzie akurat siedziałaś z przyjaciółką. Oznajmił, że ma pomysł na Teatr Kamienica.

– Wtedy w ogóle nie było to oczywiste. Nikt w Polsce nie zbudował prywatnego teatru, własnymi rękami. Tak, własnymi, bo Emilian już jako nastolatek ciężko pracował, m.in. na budowach, przy rozładunku wagonów z węglem, i te wszystkie umiejętności, które posiadł we wczesnej młodości, wykorzystał przy tworzeniu teatru. Jego marzenie dotyczące własnego teatru też nie rozpoczęło się tamtego lata w 2003 r. Kiedy w PRL Emilian był etatowym aktorem Teatru Ateneum w Warszawie, do Polski przyleciał Joseph Papp, producent amerykański. Zobaczył Emiliana na scenie, zachwycił się jego talentem i charyzmą. Zaprosił go jako jedynego aktora z teatru na obiad, wraz z ówczesnym dyrektorem Ateneum, panem Warmińskim. Papp chciał Emiliana poznać osobiście. To tam, jak wynikało z relacji mojego męża, powiedział prorocze słowa, że Emilian powinien otworzyć swój teatr. Jak się jednak okazało, Papp zarzucił wędkę, pomysł, z którym mój mąż chodził przez kolejne lata. Po 1989 r. sytuacja w kraju się zmieniła. Kiedy pojawiły się fundusze unijne, Emilian wymyślił, by ubiegać się o dofinansowanie z Unii. Wraz z grupą zapaleńców rozpoczęliśmy starania o środki unijne i wygraliśmy w konkursie dotację na budowę Teatru Kamienica. Marzenie Emiliana zaczęło nabierać realnych kształtów, choć był to dopiero początek długiej drogi.

Czego nauczyła was walka najpierw o powstanie, a potem o przetrwanie Kamienicy?

– Tego, że nie ma nic za darmo. Nic na tacy. Może się zdarzyć, że coś wielkiego nam przypadnie w udziale, ale uważam, że wciąż musi to być poparte staraniami, ciężką pracą. Mój mąż, tworząc ze mną ten teatr, powtarzał raz po raz: „Dlaczego wszystko musimy wyrwać, wymordować, wywalczyć, wyżebrać? Dlaczego wszystko jest pod górę?”. Za sukces płacisz wielkim wysiłkiem, często życiem osobistym, rodzicielstwem, karierą, wyrzeczeniami na wielu polach. To, że stworzyliśmy Kamienicę, jest naszym największym sukcesem: moim i Emiliana, ale także wielu ludzi, którzy nam w tym pomogli. (…)

Kiedy mąż zmarł, mogłaś zamknąć teatr i pewnie byśmy to zrozumieli.

– Nigdy! Kocham to miejsce, mój zespół, kocham mój teatr! Trudno mi sobie wyobrazić życie bez Kamienicy. I czuję zobowiązanie wobec publiczności, bo w naszym teatrze to widz jest najważniejszy. (…)

Kiedy mąż oznajmił, że stworzy prywatny teatr, powiedziałaś: „Trudno, najwyżej sporo stracimy, ale za to będziemy żyć ciekawie”… To wymarzona reakcja żony, którą każdy wizjoner chciałby usłyszeć.

– W czasie pandemii COVID-19 wyznałam Emilianowi, że życzę sobie mniej ciekawych czasów… Gdy zamknięto wszystkie teatry, kolejny raz pojawiło się ryzyko bankructwa i utraty wszystkiego. Ale teatr przetrwał.

Nie mogłaś przeżyć w pełni żałoby, nabrać siły, bo musiałaś przecież stanąć samodzielnie za sterami Kamienicy.

– Kiedy Emilian odszedł, takie emocje jak tęsknota za nim czy właśnie przeżywanie żałoby, której nie przerobiłam, zamknęłam na klucz. Po to, aby sobie poradzić. Aby dalej funkcjonować. Muszę trwać, muszę być dzielna. I wyznaczać sobie nowe cele. Nieraz ze smutkiem słucham, jak ludzie spierają się o drobiazgi, rzeczy nieistotne. Proszę zawsze wtedy: rozejrzyjcie się, ile nieszczęścia jest wokół. Doceńcie, co macie. Często skupiamy się na tych drobnych nieporozumieniach, gdy nie radzimy sobie z relacjami, z emocjami, z trudną codziennością. My z Emilianem nie byliśmy parą idealną, jak uważają niektórzy, znający nas tylko ze sceny czy z mediów. Ale łączył nas wspólny cel. Misja. Nie żałuję niczego. (…)

Jak sobie radzisz w roli dyrektorskiej?

– Zostałam bez Emiliana, z zatrudnionymi kilkudziesięcioma osobami, z wieloma współpracującymi z nami

To, że stworzyliśmy Teatr Kamienica, jest naszym największym sukcesem: moim i Emiliana, ale i wielu ludzi, którzy nam pomogli.

eprasa.pl 6f5983c5b5

artystami, z rozprawami sądowymi, z ogromnymi problemami. Nie o wszystkich problemach miałam pojęcie… W mojej sytuacji pomogło mi wiele kobiet. Nie o wszystkich mogę tutaj mówić z nazwiska, ale doceniam je i bardzo jestem im wdzięczna. Żeby tylko naświetlić skalę wyzwania: przez 20 lat nie mogliśmy ruszyć pewnych spraw związanych z wykupem fragmentu teatru, co zabezpieczyłoby przyszłość i dalsze istnienie Kamienicy. Rękę podały mi właśnie kobiety, które wreszcie mogą podjąć pewne decyzje. I rzeczywiście, wokół mnie są teraz głównie kobiety. (…)

Przez pięć lat nie miałaś na własne życzenie żadnej nowej premiery teatralnej. Owszem, grałaś swoje ukochane role, ale dlaczego nie podjęłaś nowego wyzwania? Zmienił to dopiero spektakl „Petarda" w reżyserii Jerzego Bończaka.

– Gdybym nie musiała zrobić w tym spektaklu nagłego zastępstwa za inną aktorkę, pewnie dalej bym nie miała nowej premiery. Dlaczego? To był mój wybór. Ze względu na prowadzenie teatru zrezygnowałam świadomie z pewnego rodzaju kariery aktorskiej. Ponadto chcę dawać szansę na rozwój moim cudownym koleżankom po fachu; mam świadomość, jak wiele z nich powinno grać, a nie są zapraszane do współpracy. Uważam się za wygraną, bo dzięki Emilianowi i mojej pracy w Kamienicy mogę grać, kiedy chcę, nie czekam na angaż z zewnątrz. Już na trzecim roku studiów aktorskich w Warszawie miałam wielki przywilej pracować w – moim zdaniem najlepszym wtedy w stolicy – Teatrze Powszechnym, wśród wybitnych artystów. Miałam okazję obserwować wielkie nazwiska w pracy i być z nimi na scenie. Krystyna Janda, Joanna Szczepkowska, Jadwiga Jankowska-Cieślak, Joanna Żółkowska, Edyta Olszówka, Daria Trafankowska, Tadeusz Łomnicki, Janusz Gajos, Kazimierz Kaczor, Franciszek Pieczka i wielu innych. Wielkie osobowości, które były dla mnie inspiracją i od których uczyłam się zawodu.

Obserwowałaś w Powszechnym walkę o role i aplauz?

– To były sprawy zakulisowe, zdarzała się rywalizacja, ale ja nie byłam częścią tej walki, bo kim byłam wobec tych legend sceny jako 22-letnia studentka? Jeśli Krystyna Janda dała mi możliwość stworzenia głównych ról, najpierw w spektaklu „Na szkle malowane", a potem w „Pannie Tutli Putli", jak mogłam nie być zachwycona? Niedługo potem w moim życiu pojawił się Emilian, a potem dzieci. Rodzina była i jest dla mnie najważniejsza, ale jestem wdzięczna Emilianowi, że stworzyliśmy Teatr Kamienica, bo mam dla kogo żyć i ciężko pracować. Nie czuję zawodowego niespełnienia.

Czujesz, że na wielu polach wygrałaś?

– Tak, jestem szczęściarą! Myślę, że trzeba doceniać to, co się ma, cieszyć się z małych rzeczy i nie żądać od życia zbyt wiele. To moja recepta na szczęście. Otaczający nas świat, pełen wojen, niesprawiedliwości, sporów politycznych i społecznych, powoduje ogromne frustracje i niepewność jutra. Dlatego też zasada Emiliana – „by zapalać słońce w naszych spektaklach" – bardzo się sprawdza. Teatr pozwala na chwilę dystansu wobec własnych problemów, a spektakle, które bawią i wzruszają, dają nadzieję na lepsze jutro. Nasi widzowie wychodzą z Kamienicy uśmiechnięci i silniejsi do stawiania czoła codzienności. Zdaję sobie sprawę z tego, że ten wykreowany świat jest pewnego rodzaju bańką. (…)

Błędy sprawiają, że stajesz się mądrzejszy, nieraz bywają cenniejsze niż sukcesy.

W szkole aktorskiej nie czułaś, że chcesz więcej i więcej?

– Szkoła teatralna dała mi możliwość poznania tak wielu wspaniałych profesorów i profesorek, wybitnych osobowości i znakomitych pedagogów. Spośród morza chętnych dostaje się garstka – i ma możliwość uczyć się od najlepszych. To wielki zaszczyt. Mój rok to ludzie, którzy mimo różnic naprawdę się lubili. Dowodem na to jest fakt, że do dziś spotykamy się od czasu do czasu i, kiedy trzeba, wspieramy się nawzajem. Przyjaźnimy się od ponad 30 lat.

To przywilej mieć takie osoby przy sobie.

– Przywilej, że możemy z nimi być, rozmawiać, dawać i otrzymywać wsparcie. Co jakiś czas w moim życiu odchodzi ważna, bardzo bliska osoba. Emilian, wcześniej najbliższa przyjaciółka, nasz wspaniały prawnik Andrzej Leśniewski, z którym tworzyliśmy ten teatr, a jeszcze wcześniej Barbara Sass, ukochana reżyser. (…) Nauczyłam się też, że nie jestem w stanie pomóc wszystkim tym, którzy się do mnie o tę pomoc zwracają. Ponadto zdarzały się sytuacje, że byliśmy wraz z Emilianem wykorzystywani, czasem okazywaliśmy się zbyt naiwni.

Może to zbyt duża autokrytyka?

– Każdy człowiek ma prawo do błędów. Błędy sprawiają, że stajesz się mądrzejszy, nieraz bywają cenniejsze niż sukcesy w drodze do samodoskonalenia się. Dlatego daję sobie prawo do błędów i słabości. Ale daję sobie również prawo do tego, by marzyć. Emilian jest przykładem tego, że jeżeli ma się marzenie, to warto ryzykować, bo w życiu wszystko jest możliwe. (…) A Emilian pracował i umierał… Uważał, że nikt go nie zniszczy. Zjadł go stres i obciążenie. Walka o to miejsce, walka o naszych widzów i stres związany z rozprawami sądowymi, które ciągną się od lat. Za to zapłacił najwyższą cenę.

Jak udało ci się to udźwignąć? Wiedziałaś o jego odchodzeniu, musiałaś dotrzymać tajemnicy.

– To trzeba sobie najpierw osobiście przepracować. Ułożyć w głowie. Wierzę w to, że czasami zdarzają się cuda. Nie wolno wątpić. Do końca. (…)

Fragmenty rozmowy z książki Magdaleny Kuszewskiej *Wojowniczki*, Lira, Warszawa 2024

eprasa.pl 6f5983c5b5

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Na co kicham

Wieść niesie, że każdy mężczyzna wielokrotnie w życiu umiera na katar, ja się z tym zasadniczo zgadzam. Umiem sobie radzić z dolegliwościami większych znacznie rozmiarów, próg bólu chyba też mi się przesunął w górę po rozmaitych przypadkach (pierwsze miejsce na podium: zmiażdżenie palca w górskim wypadku, drugie miejsce: zdejmowanie foliowego opatrunku ze stopy obdartej ze skóry i martwicy, trzecie miejsce: punkcja krwiaka w kolanie), ale katar mnie demoluje i rozbija jak nic innego.

Chusteczek nie wystarcza, wysmarkane rolki papieru toaletowego walają się wszędzie wokół, leje się z nosa i oczu, sił nie ma, jest wstyd i upokorzenie, bo to tylko katar, siostra ma raka i nie narzeka, ludzie cierpią od wojny. Męski katar listopadowy, ogólnie znana depresja nosogardzieli, sezonówka, kilkudniówka, leży się i się nie chce, a wróble ćwierkają, żeby choć je wziąć w garść, jeśli siebie się nie może. Nie mam apetytu, bo się wstydu najadłem, smaku nie czuję, bo wszystko cieknie z nosa, z pyska. Piję wodę, piszę na leżąco, aplikuję sobie w ramach psychoterapii opowieści o prawdziwym cierpieniu.

Na pierwszy rzut załzawionych oczu rozsławiony już spektakl Mateusza Pakuły „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję". Odkrywam przy okazji z niejakim opóźnieniem, że Teatr Telewizji wrócił na pełnej, można sobie w sieci odpalić wreszcie coś więcej niż biografie wyklętych i męczenników, co zachowali się jak trzeba. IPN VOD zmieniło się wreszcie w TTV VOD i za sprawą nowego kierownictwa kultura zastąpiła ideologię. Choć może nie do końca, bo tym, co osłabia ten wstrząsający sceniczny dziennik z łóż śmierci ojca, są antyklerykalna publicystyka i bluzgi bohatera, który sam mówi, że „chce wywołać dyskusję" o prawie do eutanazji, ale czyni to, obrzucając mięsem katolski ciemnogród i jego dogmaty. Mam tu podobny problem jak niegdyś z „Klątwą" Frljicia – słuszna sprawa nie usprawiedliwia łopatologii, episkopatu nie pokona się butelkami z benzyną, jest zanadto opancerzony, tu potrzeba konia trojańskiego i wyszukanego podstępu. Kiedy bohater, wściekły za cierpienia ojca na konowałów i katabasów, wywrzaskuje swoje wulgarne tyrady, słyszę tylko: „Wypierdalać!", jak niegdyś na manifestacjach Strajku Kobiet – nasz krzyk jest miodem dla uszu cynicznych, bezkarnych sukinsynów, oni karmią się władzą nad naszymi emocjami.

Jednakowoż dwie godziny tej wycieńczającej opowieści o tym, jak się umiera na raka, opowieści pełnej empatii i heroizmu – bo ojciec autora mimo fizycznych cierpień umierał w otoczeniu najbliższych, poświęcających się bez reszty choremu – owe dwie godziny Pasji według Mateusza Pakuły zmieniają się w świetny teatr za sprawą fantastycznego Szymona Mysłakowskiego, który gra tutaj kilkanaście ról drugoplanowych, zmieniając rejestry z wirtuozerią, od zrzędliwej babci, przez gburowatego ordynatora, po pracowników firmy pogrzebowej. I niczym Poliszynel dodaje tej czarnej tragedii komizmu.

Obejrzałem, katar nie przeszedł, ale znoszę go mężniej, się wyekspediowałem pod prysznic, a nawet zmusiłem do gorących inhalacji, wola i ochota wciąż raczej śpią, ale jeszcze sobie z drugiej mańki zarządzam biblioterapię i zauważam po stosie ksiąg na podorędziu, że miał być parytet, a jest feminoprzechył, no i dobrze, o ile faktycznie jest on jakościowo uzasadniony. U mnie akurat arcydzieła lub dzieła dużej klasy. A to repetytorium ze Świrszczyńskiej, w której nowo wydanych (i opatrzonych okropnym posłowiem) „Poezjach zebranych" akurat dotarłem do „Budowałam barykadę", poetyckiego odpowiednika „Pamiętnika z powstania warszawskiego", jednego z najdoskonalszych tomików w historii polskiej literatury. A to nagrodzone wiersze Urszuli Kozioł (salomonowa decyzja tegorocznego gremium Nike). A to „Ciała" Annie Ernaux, rozpoczęte arcydzielnym „Zdarzeniem" o horrorze, jaki przeżywała dziewczyna chcąca usunąć ciążę w Gileadzie (w tym przypadku to była Francja lat 60.). A to „Hałastra" Moniki Helfer, gotowy scenariusz filmowy, rzecz o doli kobiety, którą odchodzący na wojnę mąż „powierzył opiece" innego mężczyzny.

Episkopatu nie pokona się butelkami z benzyną, jest zanadto opancerzony, tu potrzeba konia trojańskiego i wyszukanego podstępu.

Parytetowe wzmożenie wydawców przynosi wiele dobra, ale w symetrię stosowaną w ciemno, dogmatycznie, nie wierzę. Dlatego oburza mnie raczej awantura wokół wypowiedzi Marka Żydowicza, szefa festiwalu Camerimage, niż same jego słowa. „Chodzi o szybką ewolucję, a nie fanatyczną rewolucję". Nie jestem zwolennikiem punktów za płeć. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f5983c5b5

MIĘDZY OKŁADKAMI

Whitney Chadwick
Artystki i surrealizm
tłum. Anna Arno
Smak Słowa, Sopot 2024

Gdy książka powstawała, na początku lat 80., większość opisanych w niej artystek jeszcze żyła, choć często w zapomnieniu. Z niektórymi Chadwick nawet się zaprzyjaźniła. Nie wszystkie poparły jej projekt – wysunięcie na pierwszy plan twórczości kobiet, różnorodnej i jednak odrębnej. Dorothea Tanning i Leonor Fini uważały, że skupianie się na kobietach

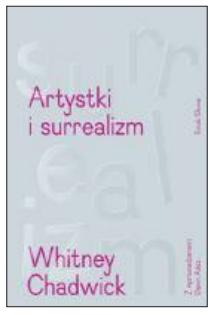

tylko pogłębia ich izolację. Meret Oppenheim, autorka słynnego obiektu „Śniadanie w futrze", podkreślała, że duch twórczy jest androginiczny, a surrealiści bez uprzedzeń przyjmowali artystki i pisarki. I faktem jest, że w żaden inny ruch nie zaangażowało się ich tyle, choć głównie poprzez związki osobiste i towarzyskie. Lata mijają, a pytanie, które zadawała sobie Chadwick, nadal zaognia np. dyskusje o parytecie: czy traktować obie płcie „równo", czy zrobić miejsce tym, które dotąd go nie miały? Choć w ramach drobnego wyrównania rachunków dla sporej grupy konsumentów kultury Diego Rivera to dziś ten niewierny, brzuchaty mąż Fridy Kahlo... Surrealiści nią i jej uteatralizowanym życiem byli zafascynowani, ona jednak teorie André Bretona uznała za pretensjonalne i nudne. Jego idealistyczne wywody o femme-enfant i muzie były projektowaniem na kobiety męskich wyobrażeń, ale czy nie usprawiedliwiały też przerzucania się na nowe „źródła natchnienia"? „Artystki i surrealizm" to nie tylko omówienie symboliki prac oraz inspiracji ich autorek w odniesieniu do tego ruchu i na tle wydarzeń historycznych. To przede wszystkim zachęta do odkrywania dla siebie niezwykłej twórczości Remedios Varo, Kay Sage, Toyen czy Leonory Carrington. *Aleksandra Pańko*

NA EKRANACH

Delikatny zabójca

Eddiego Redmayne'a kojarzyliśmy dotąd raczej z rolami wrażliwców w takich filmach, jak „Dziewczyna z portretu" czy „Teoria wszystkiego". Teraz Brytyjczyk udowadnia, że jego delikatna uroda pasuje także do roli psychopaty. Aktor wciela się w Szakala, zabójcę na zlecenie, który eliminuje prominentne postacie ze świata polityki i biznesu. Facet wyspecjalizował się w podkradaniu tożsamości – za pomocą specjalnego makijażu i dzięki talentowi do naśladowania głosu upodabnia się do ludzi z otoczenia tych, których ma sprzątnąć. Poznajemy go, gdy spektakularnie kończy jedną akcję, ale że pojawiają się komplikacje, od razu musi się podjąć kolejnego zadania, jeszcze trudniejszego. Twórcy uwspółcześnili fabułę, różni się więc i od literackiego pierwowzoru Fredericka Forsytha, i od najsłynniejszej adaptacji Freda Zinnemanna z lat 70., a co najważniejsze, wciąga. Jest też na co popatrzeć, bo są wybuchy, pościgi, strzelanki, jest wielka polityka. No i magnetyczny Redmayne, który w pełnej charakteryzacji bywa nie do poznania. Nic, tylko oglądać. *Artur Zaborski*

„Dzień szakala", reż. Brian Kirk, Paul Wilmshurst, Anu Menon, Anthony Philipson, prod. Wielka Brytania, SkyShowtime, premiera 6 grudnia

KURTYNA W GÓRĘ

Michał Dobrzyński, „HI§TORY", dyrygent Karol Szwech, reżyseria Maciej Wojtyszko i Jakub Krofta, Polska Opera Królewska, premiera 23 listopada 2024

Witek Gombrowicz uczy historii

Rok Witolda Gombrowicza obfituje w opery do jego tekstów. W Poznaniu pokazano „Ślub", a w Warszawie „HI§TORY". To świetne przedstawienie parodiujące nasze dzieje w XX w. Na scenie pojawia się nawet Józef Piłsudski, który wysyła Witolda z misją do Hitlera. Jest car Mikołaj II i cesarz Prus. Młody Witek zdaje też, z problemami, egzamin maturalny. Wszystko odbywa się śpiewająco, ale wyczuwa się w tym kpinę z historii.

Bronisław Tumiłowicz

WYDARZENIE

17. Międzynarodowy Festiwal Teatralny BOSKA KOMEDIA
Kraków, 6-15 grudnia

Kraków ponownie stanie się centrum teatralnego świata i żarliwej debaty podczas 17. już edycji Boskiej Komedii. Tegoroczne hasło „You Are So Fucking Special", inspirowane utworem brytyjskiego zespołu Radiohead, podkreśla indywidualizm twórczy artystek i artystów oraz wyjątkowość każdej ludzkiej historii, jest też manifestem akceptacji i afirmacji różnorodności. „Hasło festiwalowe nie jest żadną tezą, stawiamy pytania i tworzymy spektrum, po którym porusza się sam widz", zaznacza Bartosz Szydłowski, dyrektor artystyczny. Festiwal nie boi się prowokacji, badań nastrojów w dramatycznie spolaryzowanych społeczeństwach Zachodu ani pytań o nasze prawdziwe miejsce w świecie, a postawi je ponad 20 spektakli z Polski i zagranicy. Szczegółowe informacje: **boskakomedia.pl.** *(bdo)*

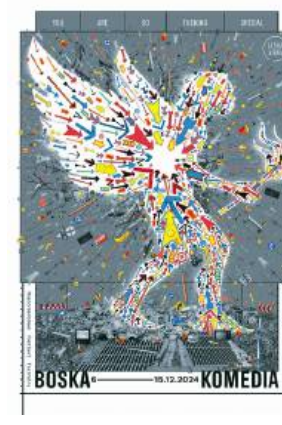

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6f5983c5b5

Czeski skarb zagrożony

Czesi i piwo, piwo i Czesi – ten romans, dla wszystkich tak oczywisty, powoli przemija

W zeszłym roku Czesi wypili średnio 128 litrów piwa na osobę. Sporo, zarazem najmniej od 50 lat.

Chrystian Ślusarczyk

Niewiele jest na świecie narodów, których kultura, styl życia oraz historia i tradycja tak bardzo wiążą się z piwem. W Czechach nazywanym „płynnym chlebem" czy „skarbem narodowym". Nawet ci, którzy we własnym kraju nie przepadają za tym trunkiem, będąc w Pradze czy Pilźnie, nie mogą się oprzeć smakowi czeskich piw. Szczególnie tych beczkowych albo z kija, nazywanych *výčepní*.

Od niewielkiego kraju nad Wełtawą świat kulinarny uczył się i wciąż uczy kultury piwnej. Nie tylko jak piwo robić i z czym je pić. Pojęcia takie jak pilzner (od miasta Pilzno w zachodnich Czechach) czy bud (od Czeskich Budziejowic) na trwałe weszły do różnych języków. Zresztą rywalizacja obu tych czeskich miast światowemu piwowarstwu wyszła jedynie na dobre.

Młodzi i drożyzna dobijają piwo

Od dziesięcioleci w światowych rankingach spożycia piwa Czesi zajmują czołowe miejsca. Pod koniec 2024 r. jest podobnie, aczkolwiek coraz wyraźniej spożycie w tym kraju spada. W roku 2023 Czesi wypili średnio 128 litrów piwa na osobę. Może się wydawać, że to sporo. Statystyki jednak szybko to korygują. Ilość piwa wypita przez Czechów w ubiegłym roku była najniższa od 50 lat. W rekordowym 2005 r. wypili zaś o ponad 40 litrów więcej niż obecnie.

„Trend jest jasny. Ten spadek to nie tylko nasz problem, bo obserwowany jest w całej Europie", twierdzi Tomáš Slunečko, prezes Czeskiego Stowarzyszenia Browarów i Słodowni. „Obecnie piwo pije u nas 79% mężczyzn, a jeszcze dekadę temu robiło to 91% moich rodaków. W przypadku kobiet spożycie piwa w analogicznym okresie spadło z 57% do 42%. Czesi, wypijając rocznie po 11 litrów czystego alkoholu na osobę, wciąż plasują się w pierwszej piątce w Europie, jednocześnie to o 4 litry mniej niż dekadę temu", podsumowuje Slunečko.

Wraz z systematycznym spadkiem zainteresowania piwem w Czechach i na Słowacji z tamtejszego krajobrazu szybko znikają výcepy i výcapy.

Podobnie jak w innych krajach regionu piwo w Czechach stale drożeje. Średnia cena piwa beczkowego w ciągu ostatnich pięciu lat wzrosła o 50%, z 36 do 53 koron.

Dla przeciętnego Czecha to sporo. Dla cudzoziemców zwiedzających ▸

eprasa.pl 6f5983c5b5

Pragę czy Brno wydanie 2 euro na kufel przedniego piwa to wciąż nie jest dużo. Za to w czeskich miasteczkach i wsiach taka cena piwa, którego wypija się więcej niż po jednym kuflu, jest nie do przyjęcia. Luboš Kastner z Czeskiego Instytutu Gastronomii przewrotnie przekonuje, że „piwo przez lata było zbyt tanie i teraz wszystkich zaskakuje jego wyższa cena".

Do systematycznego spadku spożycia piwa w Czechach przyczyniają się młodzi. W 1998 r. prawie każdy 15-letni Czech (98% chłopców i 97% dziewcząt) miał już doświadczenie z napojami alkoholowymi. Głównie z piwem, w mniejszym stopniu z winem. W roku 2022 było to już mniej niż 75%. Najnowsze badania pokazują, że dziś, wyłączając osoby powyżej 70. roku życia, największy odsetek abstynentów znajdziemy w grupie wiekowej 15-24 lata.

Czesi wpisują się zatem w globalny trend – przedstawiciele generacji Z piją o 20% mniej alkoholu niż w ich wieku pokolenie milenialsów. Młodzi Czesi nie uważają już picia alkoholu za „fajne", nie jest ono też postrzegane jako bilet do dorosłości.

Młodych (z przedziału wiekowego 18-30 lat) znudził już klasyczny pilzner. Mało tego, inne alkohole również. Szukają więc czegoś nowego. Dla nich piwo nie musi być napojem alkoholowym. I nie musi być pite wedle „zasady kreskowej", która przez dziesięciolecia obowiązywała w czeskich lokalach, gdzie przy kliencie znajdowała się kartka, na której każda kreseczka oznaczała kolejny wypity kufel. Czeska młodzież stawia na coraz bardziej wyszukane drinki o niskiej zawartości alkoholu.

Na przykład na Morawach konkurentem piwa stają się tamtejsze wina. Enoturystyka, wyprawy winnymi szlakami, często na rowerach, cieszy się coraz większą popularnością. A zadymione knajpy z rustykalnym wystrojem jednoznacznie kojarzą się młodym z komunistyczną, czechosłowacką przeszłością, którą odrzucają. Dla nich napitkiem skutecznie wypierającym piwo są napoje energetyczne, spożywane codziennie, wręcz zbyt często. A jak wiadomo, działanie energetyków zachęca do ich konsumpcji. Jednak budzi to obawy o wpływ na zdrowie.

Výčepy i hospody przechodzą do historii?

W ciągu ostatnich pięciu lat udział piwa sprzedawanego we wszystkich rodzajach lokali gastronomicznych spadł o 30%. W Czechach *výčep*, na Słowacji *výčap*, to coraz bardziej miejsce zapomniane, a dla młodego pokolenia wręcz nieznane. Także młodsi Polacy, tak chętnie odwiedzający Czechy i Słowację mogliby mieć problem z odpowiedzią na pytanie, co to słowo znaczy. I nic dziwnego. Wraz z systematycznym spadkiem zainteresowania naszych południowych sąsiadów piwem z tamtejszego krajobrazu w zaskakująco szybkim tempie znikają výčepy i výčapy. Knajpy, w których serwowane jest piwo, najczęściej z jednego browaru, i proste przekąski.

Jeszcze parę lat temu każda wioska, każda dzielnica w czeskim i słowackim miasteczku miała *výčep*. Niemal zawsze lokal był mocno zadymiony, bo liczba wypalanych papierosów przewyższała ilość wypitych browarów. Jak wiadomo, dziś cała Europa, a Czesi i Słowacy nie są tu wyjątkiem, prowadzi skuteczną wojnę z palaczami. Naturalnym następstwem owych zakazów jest więc omijanie objętych nimi miejsc przez palących.

Do systematycznego znikania takich przybytków z map czeskich i słowackich miejscowości przyczynia się też brak zainteresowania grą w karty czy w szachy. Jeszcze w latach 90. ubiegłego stulecia w większości lokali piwnych miejscowi, jako duchową przekąskę organizowali prawdziwe karciane czy szachowe turnieje. Jako że trwały one godzinami, wypijano tuziny kufli.

„Knajpki po wsiach znikają zastraszająco szybko – mówi Luboš Kastner. – Powodów jest kilka. Ludzie coraz częściej piją piwo w domu. Nie z sąsiadem, nie z przyjacielem z pracy, ale do telewizora czy komputera. Wiejskie i małomiasteczkowe gospody przestają już pełnić tradycyjną funkcję miejsca, gdzie dzieje się wszystko, wszystkiego można się dowiedzieć i każdego spotkać".

Radość po rozlaniu następnej kolejki.

Za zaistniałą sytuację Kastner wini także czeskie władze. Wskazuje tu irracjonalną politykę rządu, który w ubiegłym roku zdecydował o podwojeniu stawki VAT za piwa beczkowe.

Nie tak gwałtownie, ale z czeskiego i słowackiego krajobrazu znikają również hospody, czyli ludowe karczmy z charakterem. W odróżnieniu od výčepów mają

eprasa.pl 6f5983c5b5

bogatszy wystrój, a do piwa (wybór też większy) możemy zamówić kilka czy nawet kilkanaście potraw. W ostatnim czasie menu w hospodach europeizuje się na tyle, że do niektórych dań piwo kompletnie nie pasuje. Starsi Czesi twierdzą, że kiedyś, gdy razem ze Słowakami tworzyli wspólne państwo, było to nie do pomyślenia. Ich pokolenie zaczyna omijać hospody szerokim łukiem. Choć podkreślmy, że serwowane tam piwa (całkiem spory wybór, czego przeciętny Czech wcale nie wymaga) wciąż są bardzo wysokiej jakości.

Właściciele pubów w Pradze ubolewają nad postępującą dezercją piwoszy.

Kampanie przynoszą efekt?

Podczas gdy czescy właściciele pubów ubolewają nad postępującą dezercją piwoszy z ich lokali, eksperci ds. zdrowia twierdzą, że nadal potrzeba więcej regulacji rozwiązujących ogólnonarodowy problem alkoholowy.

„Powinniśmy w końcu postawić na bardziej skuteczne kroki ograniczające znacząco spożycie alkoholu – mówi Helena Horálek z Katedry Addyktologii Uniwersytetu Karola w Pradze. – Mam tu na myśli zakaz reklamy alkoholu, zwiększenie akcyzy na wszystkie alkohole, w tym wina, które od lat nie są u nas w ogóle opodatkowane. Powinniśmy też skuteczniej kontrolować zakup i spożycie alkoholu przez nieletnich. Kroki te zostały wdrożone w przypadku przemysłu tytoniowego i przyniosły spodziewany efekt. Dlaczego nie dzieje się tak w przypadku alkoholu?”.

Dla Czecha piwo nie jest prawdziwym alkoholem, jest napojem półalkoholowym. W tym temacie Czech jest konserwatywny i dlatego nie chce ani nie oczekuje żadnych regulacji odgórnych. Niedawno Partia Piratów zaproponowała wprowadzenie pewnych ograniczeń w nocnej sprzedaży alkoholu, w tym piwa, którego nie można by również reklamować. Jak nietrudno się domyślić, większość społeczeństwa ostro to skrytykowała. Jednak kobiety i osoby młodsze poszły pod prąd, nieśmiało wspierając takie pomysły władz. Antyalkoholowe kampanie w Czechach przez lata nie przynosiły żadnego efektu. Ale przynajmniej część społeczeństwa jest świadoma szkodliwości wlewania w siebie hektolitrów piwa.

Jak dziś być v pohodě

Být v pohodě (czy nawet samo *v poho*) to czeski zwrot trudno przetłumaczalny na inne języki. W przybliżeniu to stan oznaczający „luz”, „wszystko w porządku” albo „jest przyjemnie i niech tak zostanie”. Jak twierdzą Czesi, długie spożywanie piwa w odpowiednim miejscu i w odpowiednim towarzystwie taki stan znacząco ułatwia. Jednak coraz trudniej dziś *být v pohodě*.

Systematyczny spadek konsumpcji piwa coraz wyraźniej wpływa na kondycję firm od lat związanych z browarnictwem. Piwny biznes pamiątkarski może jeszcze nie padł, ale z roku na rok przeżywa coraz większy kryzys. Trudno o dokładne dane, ilu Czechów bezpośrednio lub tylko pośrednio związanych jest z tą działalnością. W pełnej turystów Pradze to kilka tysięcy osób.

Widoczna coraz większa niechęć do piwa jest wprost proporcjonalna do odrzucania klasyków rodzimej kuchni, które od lat w każdym výčepie i hospodzie widniały pod smacznym szyldem Něco k pivu (coś do piwa). Tych doskonale pasujących przekąsek są dziesiątki. To m.in. *utopence* (marynowane kiełbaski w zalewie z cebulką), *tlačenka* (odmiana salcesonu) czy *škvarki*. W produkcję takich smakołyków zaangażowane są (były?) tysiące firm, jeszcze doskonale prosperujących na przełomie XX i XXI w. Ci do niedawna spożywczy potentaci przeżywają trudne chwile.

Nieciekawie też wygląda przyszłość hut szkła, które skoncentrowały działalność na produkcji kufli. Obserwując najnowsze antypiwne trendy, muszą szybko przerzucić się na inne produkty. Gdy idziemy do hospody czy jakiejkolwiek innej restauracji, pamiętać musimy o postawieniu kufla na specjalnej kartonowej podkładce, najczęściej z logo piwa, które pijemy. Jeśli jeszcze je pijemy... Krucho robi się i u tych, którzy zalewali rynek masą piwnych kosmetyków i piwnymi kalendarzami adwentowymi.

Producenci tych niby mało istotnych, ale w czeskiej rzeczywistości niezbędnych gadżetów nie mogą spać spokojnie. Ich dalszy biznesowy byt jest zagrożony. Świat się zmienia. Dlatego oni i wielu innych związanych z produkcją chmielowego złota nie mogą dziś *být v pohodě*.

Chrystian Ślusarczyk

Zadymione knajpy z rustykalnym wystrojem jednoznacznie kojarzą się młodym z komunistyczną, czechosłowacką przeszłością.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6f5983c5b5

Cienie Inżynierskiej

O ulicy Inżynierskiej na warszawskiej Pradze-Północ zrobiło się głośno wskutek dramatycznego zdarzenia z 23 listopada br. Podczas interwencji zginął policjant, śmiertelnie postrzelony przez innego funkcjonariusza biorącego udział w akcji. Także proceder handlu substancjami odurzającymi, który ostatnio tu kwitnie, kładzie się cieniem na ciekawej historii ulicy. Inżynierska powstała bowiem jako trakt dojazdowy do wybudowanej na początku lat 80. XIX w. remizy tramwajów konnych. W 1907 r. nadano ulicy obecną nazwę, odnoszącą się do zakładów inżynieryjnych związanych z przebudową i elektryfikacją praskich linii tramwajowych. Zniszczenia II wojny ominęły kamienice przy Inżynierskiej, pozwalając zachować jej historyczny charakter.

1. Kwiaty i znicze w miejscu postrzelenia policjanta.
2. Budynek dawnej remizy tramwajowej, Inżynierska 6.
3. Antykwariat Zakładka obok zakładu szewskiego przy Inżynierskiej 1.
4. Podwórko przy Inżynierskiej 3.
5. Warsztat naprawy rowerów, Inżynierska 1.

eprasa.pl 6f5983c5b5

3

fot. Krzysztof Żuczkowski

6. Siedziba grupy działania Centrum Młodych.
7. Róg Inżynierskiej i Wileńskiej, w 1900 r. powstała tu wielka czynszówka.
8. Wnętrze Galerii Nizio, Inżynierska 3.

4

7

8

eprasa.pl 6f5983c5b5

Zębom na ratunek

Próchnicę ma prawie 40% trzylatków oraz niemal 80% sześciolatków i dzieci wczesnoszkolnych

DR N. MED. AGNIESZKA WAL-ADAMCZAK
– prezes Polskiej Akademii Stomatologii Dziecięcej

Czy w Polsce rodzice dbają o zęby dzieci już od urodzenia?

– Jeśli pytanie dotyczyłoby dużych miast, odpowiedź brzmiałaby: „tak". Jednak najnowsze ogólnopolskie badania z lat 2016-2020 pokazują przerażające dane: próchnicę ma prawie 40% trzylatków oraz niemal 80% sześciolatków i dzieci wczesnoszkolnych.

„Nie warto dbać o mleczaki, bo i tak wypadną". Wielu z nas wciąż tak myśli?

– Tak. Jest to jedno z najbardziej powszechnych i szkodliwych przekonań. Próchnicy nie można lekceważyć – również w przypadku zębów mlecznych. Nieleczona prowadzi do zapaleń i chorób ogólnoustrojowych, takich jak zapalenie wsierdzia, stawów, nerek, czy do chorób oczu. Może nie tylko wywołać przewlekłe dolegliwości zdrowotne, ale także zagrażać życiu.

Jak więc dbać o zęby najmłodszych?

– Profilaktyka zaczyna się od ich codziennego czyszczenia rano i wieczorem. Kluczowy jest wybór pasty. Zalecamy, aby te dla dzieci miały odpowiednią ilość fluoru: 1000 ppm dla najmłodszych i 1450 ppm dla dzieci powyżej szóstego roku życia (ppm, czyli *parts per milion*). Bardzo dobrym wyborem są produkty z fluorkiem cyny: w porównaniu ze zwykłymi związkami fluoru zastosowanie go w bezpiecznej ilości w połączeniu z jonami cyny daje skuteczną ochronę przeciwpróchnicową. Cieszy nas, że producenci coraz częściej stosują opisy na opakowaniach, bo pozwala to rodzicom wybrać odpowiedni preparat.

Czy szczoteczki elektryczne są dobre dla dzieci?

– Oczywiście. Jako stomatolodzy pediatryczni polecamy zwłaszcza te z okrągłą główką, bo skutecznie oczyszczają powierzchnię zębów. Nawet dzieci poniżej trzeciego roku życia mogą ich używać, jeśli nie boją się wibracji i dźwięków. Przeznaczone dla nich modele szczoteczek są delikatniejsze dla zębów niż te dla

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6f5983c5b5

dorosłych, wykonują też mniejszą liczbę obrotów i mają mniejsze końcówki. Pamiętajmy jednak, że najlepszą szczoteczką jest ta, której dziecko używa regularnie! Domowa profilaktyka jest fundamentem zdrowych zębów i dziąseł, tylko ona może skutecznie zapobiegać ich chorobom.

Dzieciom przydarzają się też różnego rodzaju urazy zębów.

– Niestety tak. Są dwa okresy, w trakcie których do tego dochodzi: przedszkolny, gdy dzieci mają uzębienie mleczne, oraz szkolny, kiedy pojawiają się zęby stałe. Szacujemy, że ok. 30% dzieci w wieku przedszkolnym doznaje urazów zębów mlecznych, a wśród dzieci z zębami stałymi odsetek ten sięga 33%. Urazy są różne – od drobnych pęknięć po całkowite wybicie. Najczęściej dotyczy to jedynek i dwójek. Obrażenia mogą prowadzić do powikłań, a brak szybkiej pomocy bywa przyczyną trwałych uszkodzeń.

Co się dzieje, gdy wybity zostaje ząb mleczny?

– Nie replantujemy go, czyli nie próbujemy umieścić z powrotem w zębodole. Zęby mleczne mają inne właściwości niż stałe – ich korzenie się resorbują, czyli znikają, aby zrobić miejsce dla zębów stałych. Dlatego replantacja zębów mlecznych nie jest ani konieczna, ani wskazana. Mimo to dziecko powinno trafić do stomatologa, by ocenił stan innych zębów i sprawdził, czy nie doszło do urazów dziąseł lub kości.

Jakie kroki należy podjąć, jeśli doszło do wybicia zęba stałego?

– Należy jak najszybciej umieścić go w zębodole. Szybka replantacja, najlepiej w ciągu 15 minut od momentu urazu, daje największe szanse na przyjęcie się zęba. Trzymamy go za koronę, nie dotykając korzenia, ponieważ na jego powierzchni są komórki odpowiedzialne za integrację z kością. Przed włożeniem do zębodołu przepłuczmy ząb płynem fizjologicznym lub mlekiem, co pozwoli zachować delikatne fibroblasty na korzeniu. Po włożeniu zęba prosimy dziecko, by przytrzymało go chusteczką higieniczną, i pędzimy do gabinetu stomatologicznego.

Co się dzieje, gdy ząb uda się replantować?

– Pacjent otrzymuje szynę stabilizującą, aby zapewnić prawidłowe ustawienie i możliwość integracji zęba z kością. Przez pierwsze dwa tygodnie ważne jest, by dziecko unikało nagryzania tym zębem i zrezygnowało z takich nawyków jak obgryzanie paznokci czy długopisu. Zalecamy także lekkie, papkowate posiłki oraz delikatne mycie zębów ultramiękką szczoteczką.

A jeśli nie znajdziemy wybitego zęba?

– Brak zęba powoduje brak możliwości rozwoju kości w miejscu jego utraty, co w przyszłości może utrudnić odbudowę ubytku. W takiej sytuacji rozważamy zabieg autotransplantacji, czyli przeniesienia własnego zęba dziecka z innej okolicy jamy ustnej do miejsca utraconego zęba. Najczęściej transplantowanym zębem jest drugi przedtrzonowiec, który można dopasować do miejsca brakującego siekacza. Decyzja o zabiegu podejmowana jest przez zespół specjalistów – chirurga szczękowego, ortodontę oraz stomatologa dziecięcego.

Korona zęba stałego też może się ułamać. Co wtedy?

– Dobrze byłoby znaleźć odłamany fragment, zanurzyć go w płynie fizjologicznym lub mleku i pojechać z dzieckiem do dentysty. Daje nam to szansę na ponowne zacementowanie utraconego fragmentu. Jeżeli natomiast mamy do czynienia z urazem klasyfikowanym jako jeden z trzech najczęściej występujących, czyli zwichnięciem albo przemieszczeniem zęba, trzeba od razu jechać do stomatologa.

Czy urazy zębów u dzieci mogą powodować powikłania?

– Niestety tak. Najczęstszym jest martwica miazgi. Im szybciej więc wykonamy replantację, tym większa szansa, że ząb zachowa żywotność. Jeśli dojdzie do martwicy, konieczne jest leczenie kanałowe, które może być trudniejsze u młodszych pacjentów, zwłaszcza gdy korzeń zęba jest jeszcze w trakcie rozwoju. U dzieci możemy zastosować metody regeneracyjne w ramach nowoczesnego leczenia endodontycznego, jednak jest to skomplikowany proces.

Jak skutecznie zapobiegać urazom zębów?

– Podstawową metodą profilaktyki są szyny ochronne *boil and bite*. Można je kupić w sklepach sportowych i samodzielnie dopasować do kształtu zgryzu. W przypadku dzieci uprawiających sporty kontaktowe polecamy wykonane na zamówienie w gabinecie stomatologicznym szyny, które dokładnie przylegają do zębów i zapewniają lepszą ochronę. Dla najmłodszych zalecane są także kaski z tzw. gardą, czyli osłoną brody, do używania podczas jazdy na rowerze, rolkach czy hulajnodze.

Gdzie szukać informacji, gdy dziecku przytrafi się coś złego z zębami?

– Zachęcam, by korzystać z oficjalnych, rzetelnych źródeł. Doskonałe materiały edukacyjne oferuje Międzynarodowe Towarzystwo Traumatologii Zębów (IADT). Polecam szczególnie plakat „Uratuj swój ząb", który zawiera instrukcje dotyczące pierwszej pomocy. Znajdą go Państwo na stronie iadt-dentaltrauma.org. Pomocna jest także aplikacja mobilna ToothSOS, dostępna w Google Play i App Store, która krok po kroku wskazuje, jak postępować w razie urazu zęba.

Najlepszą szczoteczką jest ta, której dziecko używa regularnie!

Domowa profilaktyka jest fundamentem zdrowych zębów i dziąseł, tylko ona może skutecznie zapobiegać ich chorobom.

Autoryzowany wywiad prasowy przygotowany przez Stowarzyszenie Dziennikarze dla Zdrowia w związku z prelekcją dr n. med. Agnieszki Wal-Adamczak w trakcie XXIII Ogólnopolskiej Konferencji „Polka w Europie", zorganizowanej pod hasłem „Medycyna 2024 – leczyć bezpiecznie i efektywnie!". Jesień 2024

eprasa.pl 6f5983c5b5

JOLKA

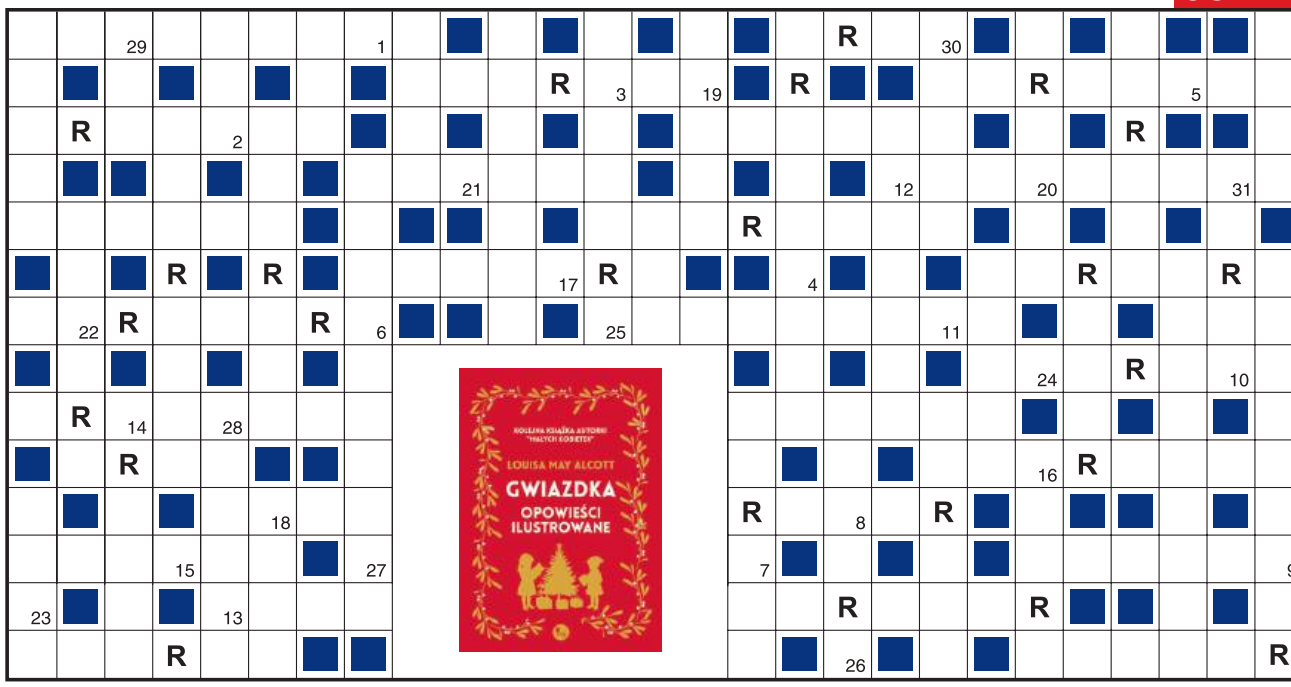

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 31 utworzą końcowe hasło.

- kraina historyczna na Peloponezie
- Marek… – zaufany Oktawiana Augusta
- materiał rzeźbiarski z Volterry
- bije się na niego lub go podnosi
- sprzymierzeniec wojenny
- i materiał wybuchowy, i kopalny głowonóg
- przerwa w teatrze, operze
- „tygrysia" kraina na Nizinie Hindustańskiej
- przypadłość, niedomaganie
- nerka zwierzęca
- o największej intensywności czegoś negatywnego
- amator przygód miłosnych, uwodziciel
- najwyższy dygnitarz wenecki i genueński
- pusty, symboliczny to cenotaf
- odłamki muru, kawałki cegły
- potężny łyk
- kawalerzysta spod Kircholmu, Chocimia
- oznacza drugą niewiadomą
- letnie lub zimowe olimpijskie
- Austen, Fonda lub Goodall
- ojciec Danusi z „Krzyżaków"
- chodziły w nim w koło woły, konie
- impreza z nagrodami dla laureatów
- skorupiak pustelnik
- ręczny warsztat tkacki
- miasto nad Łebą
- Święta z sanktuarium maryjnym
- tafla ograniczona bandami
- świecący ślad po kosmicznej bryle
- zaświadczenie o urodzeniu
- ciamkanie, cmoktanie
- aktorzy grający w filmie
- winny do potraw
- przygotowywanie gleby pod zasiew
- życiowy, biznesowy lub osoba równorzędna
- gbur, prymityw
- pierwszy model maszyny
- element zawieszenia łagodzący wstrząsy
- Gorgiasz – grecki, rzymski – Seneka Starszy
- sidło na ptaki lub sieć na ryby
- koncentracja
- wyciśnięty z owoców
- malborskim i generalnym w Prusach był Zbigniew Tęczyński
- nie ma go superwulkan
- chrząszcz z kleszczami na odwłoku
- naturalne połączenie kości czaszki
- ...rzeka – bardzo obszerne zagadnienie
- zadawanie bólu, męczarnia
- spokojne, ustronne miejsce
- Morskie blisko Kołobrzegu
- potyczka, sprzeczka
- umożliwienie tymczasowego, bezpłatnego korzystania
- imię autora nagrobka Kazimierza Jagiellończyka
- pracuje przy wzmacnianiu betonu
- świętojańskie – dziurawiec
- wielkie publiczne spotkanie
- wielkość mogąca przybierać różne wartości
- leśny, chroniony kot
- kosmetyk pod prysznic lub do włosów
- poręcza za pożyczkobiorcę

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1198". Do rozlosowania książki „Gwiazdka" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 8 grudnia 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1195" z nr. 46: *Zabłąkany nie wskaże drogi.* Nagrody otrzymują: Janusz Jędrasik z Kobyłki, Janusz Koćwin z Opola, Dorota Mierzwińska z Harty.

eprasa.pl 6f5983c5b5

Duda zawiesza strajk?

Beton kruszeje. Jak poinformował szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Mieszko Pawlak, Andrzej Duda „wyraził wstępną zgodę na powołanie Agnieszki Bartol-Saurel na stanowisko Stałego Przedstawiciela przy UE w randze ambasadora".

Pawlak tłumaczył, że jakiś czas temu przyszło pismo od szefa MSZ Radosława Sikorskiego z prośbą o zgodę na kandydaturę „jednego ambasadora", Agnieszki Bartol-Saurel, która ma zostać stałym przedstawicielem RP przy Unii, i „prezydent taką wstępną zgodę wyraził". To pokazuje, mówił, że „gdy są zachowywane dotychczasowe dobre procedury, gdy jest przestrzegane prawo i obyczaj, to nie można mówić, że po stronie prezydenta jest jakieś blokowanie".

Dodał jeszcze, że spodziewa się, iż kandydatura pani Bartol-Saurel będzie opiniowana przez sejmowe komisje, a „później spodziewamy się kolejnego stosownego pisma do prezydenta w sprawie nominacji i mianowania nowej pani ambasador, stałego przedstawiciela RP przy UE".

Jak na dłoni widać zatem, że Duda swoim blokowaniem się zagrał i teraz chce z tego jakoś wyjść. Do tej pory nie podpisał nominacji nikomu, toteż Radosław Sikorski mógł sobie z niego kpić, że „prezydent strajkuje". I w pewnym momencie w MSZ przestano się zastanawiać, czy dany kandydat będzie dobrze postrzegany w Kancelarii Prezydenta, czy nie, bo i tak nie miało to znaczenia.

Dlatego zapowiedzi prezydenckiego urzędnika w sprawie Agnieszki Bartol-Saurel brzmią mało groźnie, bo ona już od października kieruje stałym przedstawicielstwem, zastąpiła Piotra Serafina, który będzie unijnym komisarzem ds. budżetu. Kieruje, aż furkocze, więc pomruki z Dużego Pałacu, że prezydent coś podpisze albo nie podpisze, to jedno, a realne życie – drugie.

Oczywiście dziwne by było, gdyby w czasie prezydencji, która już za chwilę, Polskę w Brukseli reprezentował chargé d'affaires zamiast ambasadora, ale kraj jakoś by to przeżył. Agnieszka Bartol-Saurel zna Brukselę i tamtejsze gabinety jak własną kieszeń. Przepracowała tam 20 lat, m.in. od roku 2003 pracowała w Radzie UE, specjalizując się w obszarach polityki spójności i usług finansowych; od 2009 r. była odpowiedzialna za sprawy instytucjonalne i budżet UE, następnie zajmowała się Radą Europejską. W 2016 r. została dyrektorką gabinetu sekretarza generalnego Rady UE, a w 2022 r. dyrektorką generalną ds. komunikacyjnych w Radzie UE.

Po wygranych wyborach Tusk ściągnął ją do Warszawy, na stanowisko sekretarza stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, zajmowała się tam sprawami europejskimi, przygotowywała unijne szczyty, była tzw. szerpą polskiego premiera. Zna zatem wszystkich i oni ją znają.

Kwestionowanie jej kandydatury tylko ośmieszyłoby Dudę. A dodajmy, że prezydent będzie miał ochotę odegrać podczas prezydencji jakąś rolę, więc wojna z polskimi dyplomatami w Brukseli nie jest mu potrzebna. Zwłaszcza że, jeśli przyjrzymy się ekipie, która będzie prezydencją administrowała, są to dyplomaci, którzy w MSZ pracowali za poprzedniej władzy, i to na ważnych stanowiskach.

Ale to już inna opowieść.

Attaché

Gimnazjalny egzamin końcowy w Usli w północnym Sudanie, 24 listopada 2024 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 6f5983c5b5

PENETRACJE

POLITYKA

JERZY BACZYŃSKI,
REDAKTOR NACZELNY

Karol Nawrocki nie musi być wyborem ostatecznym. Jeśli w ciągu czterech miesięcy, jakie pozostały do oficjalnej rejestracji kandydatów, nie uda mu się wyjść na sondażowe 30-35% albo popełni jakieś gafy lub wyjdą ciemne sprawy z jego (rzeczywiście tajemniczej) przeszłości, może być podmieniony, najpewniej na Przemysława Czarnka, faworyta pisowskich wyborców, „polskiego Trumpa". Być może Nawrocki też jest „zającem" i ma przede wszystkim wymęczyć Trzaskowskiego.

Monde diplomatique

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Co takiego stało się w Walvis Bay? Otóż władze Namibii odmówiły prawa wejścia do portu płynącemu z Wietnamu statkowi MV Kathrin, który – jak się okazało – przewoził materiały wybuchowe do Izraela. Stojąca za tą decyzją namibijska ministerka sprawiedliwości Yvonne Dausab uzasadniła zakaz solidarnością swojego rządu z prawem Palestyńczyków do samostanowienia oraz potępieniem dla dokonywanego w Strefie Gazy ludobójstwa. Namibia dołączyła tym samym do wydłużającej się listy krajów, które okazały się zdolne przejść od słów do czynów w sprawie wydarzeń na Bliskim Wschodzie. Wcześniej znalazły się na niej RPA, która wniosła skargę przeciw Izraelowi do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, Kolumbia, Boliwia i Belize, które zerwały z Tel Awiwem stosunki dyplomatyczne, Chile, które odwołało swojego ambasadora w Izraelu. Na liście znalazły się także kraje zachodnie – Hiszpania, Irlandia, Norwegia.

na szczycie

REINHOLD MESSNER,
PIERWSZY ZDOBYWCA KORONY HIMALAJÓW I KARAKORUM

Nie obchodzi mnie polemika, która rozpętała się wokół wejść na najwyższe szczyty. W pierwszej fazie alpinizmu chodziło głównie o zdobycie wierzchołka, co nazywam alpinizmem zdobywczym. Gdy wszystkie góry zostały zdobyte, zaczęto szukać na nie nowych dróg, więc już nie sam szczyt był celem. To tzw. alpinizm oparty na trudnościach i w tym podejściu dorastałem. Chcieliśmy wejść na górę jak najtrudniejszą drogą z jak najmniejszym wyposażeniem.

TYGODNIK ANGORA

MACIEJ WOLDAN,
PUBLICYSTA

Kibiców dodatkowo rozsierdził ich filmik z pomeczowym nagraniem, na którym widać, jak uśmiechnięci od ucha do ucha Nicola Zalewski i Piotr Zieliński proszą Cristiana Ronalda o wspólną pamiątkową fotkę. Zawodnik Interu Mediolan na konferencji prasowej buńczucznie tłumaczył się, mówiąc, że miał ochotę, więc sobie zrobił zdjęcie, bagatelizując zarzuty o brak honoru czy po prostu pokory po kompromitującej porażce. – To co, miałem się schować w kącie? – odbijał piłeczkę 30-latek, któremu zdecydowanie lepiej wychodzi granie w piłkę niż branie w obronę siebie i drużyny. Udowodnił to, gdy próbował tłumaczyć zespół po następnej przegranej. Też dotkliwej, tym razem ze Szkotami. – Mogło być 4:2, 6:2, 5:3 i inaczej byśmy rozmawiali! – irracjonalnie licytował się przed kamerami. Przy całym uznaniu dla talentu Zielińskiego, robiącego karierę w kolejnych włoskich klubach, trudno się oprzeć wrażeniu, że kapitańska opaska nie jest dla niego.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (3)

eprasa.pl 6f5983c5b5

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorem jest Henryk Jagodziński.

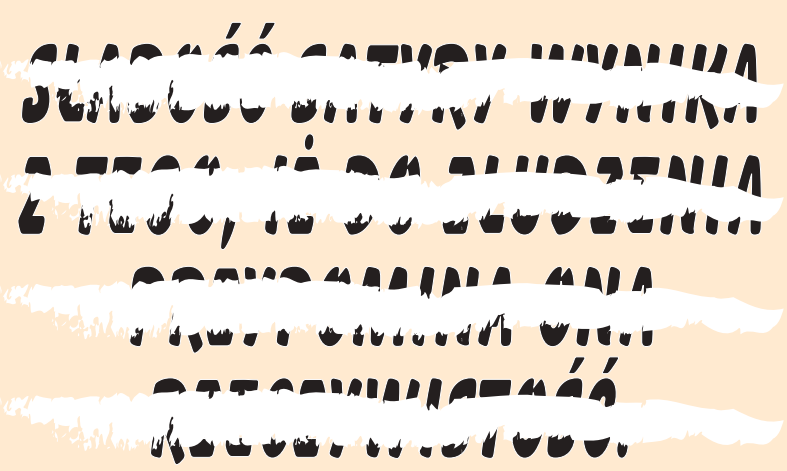

ROZWIĄZANIE: SŁABOŚĆ SATYRY WYNIKA Z TEGO, IŻ DO ZŁUDZENIA PRZYPOMINA ONA RZECZYWISTOŚĆ.

Aby język giętki…

PROF. JERZY HAUSNER O RZĄDZIE TUSKA
Jestem krytykiem, ale umiarkowanym, bo rozumiem, co jest po drugiej stronie.

MICHAŁ SZUŁDRZYŃSKI O KAROLU NAWROCKIM
Zamiast do PiS Ludwika Dorna, Lecha Kaczyńskiego, Kazimierza Ujazdowskiego czy Radosława Sikorskiego Nawrocki najlepiej pasuje do PiS Jacka Kurskiego, Patryka Jakiego, Dariusza Mateckiego czy Dominika Tarczyńskiego.

AGNIESZKA DULĘBA-KASZA O CIOTECZNEJ BABCE
Maria Dulębianka była malarką i kochanką Konopnickiej. Ciekawe, czy prawica w końcu przełknie, że autorka „Roty" była lesbijką?

SŁAWOMIR MENTZEN O UKRAINIE
Ukraina w NATO to mrzonka. Nikt Ukrainy tam nie przyjmie, bo nikt normalny, poza niektórymi polskimi politykami, nie pali się do wojny z Rosją.

ANTONI SZPAK O ROBERCIE BIEDRONIU
Żałosny bojownik spraw ogromnych – Papkin rządzącej koalicji.

JOANNA SARAPATA O ZAUFANIU
Swoim wrogom wybaczam, mogę usiąść z nimi przy stole, ale nie zapominam.

MAGDALENA RÓŻCZKA O JANIE HOLOUBKU
Gdy przyszło mi zagrać u mojego mężczyzny, pomyślałam: Boże, zepsuję mu ten film! Wszystkim mogę zepsuć, tylko nie jemu.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 6f5983c5b5

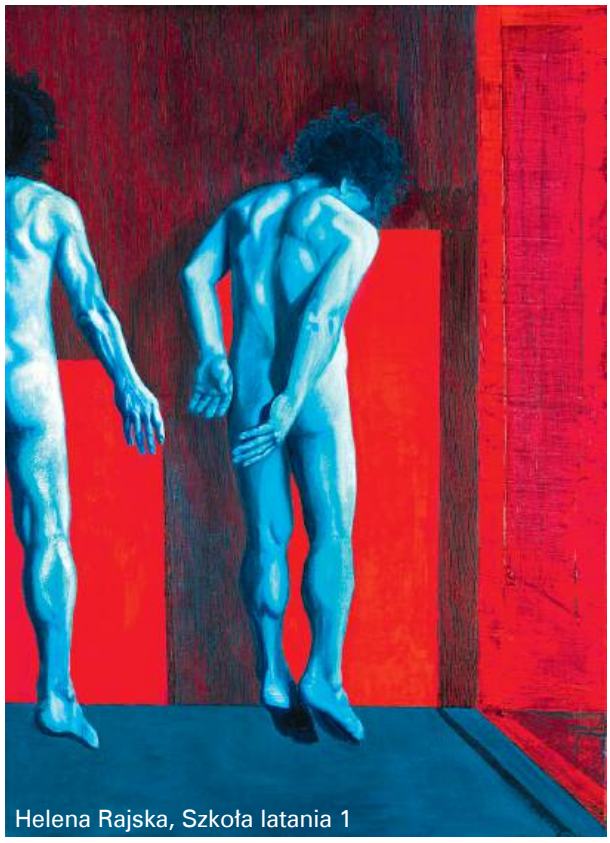
Helena Rajska, Szkoła latania 1

Julia Moroz, Bogini Wolność I

Kobieca Strona Sztuki V

To wyjątkowa okazja, by odkryć nowe oblicza sztuki tworzonej przez kobiety. Już 3 grudnia o godz. 19 w warszawskiej Defabryce odbędzie się – połączony ze sprzedażą – wernisaż wystawy prac 51 artystek, laureatek piątej edycji konkursu „Kobieca Strona Sztuki". Zobaczymy dzieła m.in. Agnieszki Gewartowskiej, Lidii Kiersztyn, Anety Sramskiej-Piątek, Kingi Stanowskiej, Sylwii Wenskiej czy Zuzanny Zubały. Każda praca jest świadectwem wyjątkowości twórczyń, które nie boją się wyrażać siebie, opowiadać własnych historii, a jednocześnie angażować się w szerszy dialog o współczesnych problemach, w tym o roli kobiety w sztuce i społeczeństwie.

Defabryka
Warszawa, ul. Duchnicka 3
do 9 lutego 2025

Aleksandra Kosmala-Czarnecka, Bez tytułu

Karolina Zwoniarska, Rozmowa z Izydą

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6f5983c5b5

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 6f5983c5b5

Sarajevo Film Festival
Najlepszy Film

JFF JERUSALEM FILM FESTIVAL
Najlepszy reżyser

RUMUŃSKI KANDYDAT DO OSCARA

FESTIVAL DE CANNES
KONKURS GŁÓWNY
PALMA QUEER

EUROPEAN FILM AWARDS
Oficjalna selekcja

TRZY KILOMETRY DO KOŃCA ŚWIATA

REŻYSERIA EMANUEL PÂRVU

MIŁOŚĆ, NIENAWIŚĆ, WINA, MORALNA PANIKA

W KINACH OD 6 GRUDNIA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

eprasa.pl 6f5983c5b5